

Guillaume Musso

KIM

BYŁBYM

BEZ CIEBIE?

Guillaume Musso

**KIM
BYŁBYM
BEZ CIEBIE?**

Z francuskiego przełożyła
JOANNA PRĄDZYŃSKA



Tytuł oryginału: QUE SERAIS-JE SANS TOI?

Copyright © XO Éditions, Paris, 2009 All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2011

Polish translation copyright © Joanna Prądyńska 2011

Redakcja: Hanna Machlejd-Mościcka

Ilustracje na okładce:

Oronoz/MJS (*most*)

Alamy/MJS (*samolot*)

Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz

Skład: Laguna

ISBN 978-83-7659-375-3

Dystrybucja

Firma Księgarska Olesiejuk sp, z o.o, sp, k.-a.

Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

t./f. 22.535.0557, 22.721.3011/7007/7009

www.olesiejuk.pl

Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe

www.empik.com

www.merlin.pl

www.gandalf.com.pl

www.ksiazki.wp.pl

www.amazonka.pl

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS A. KURYŁOWICZ

Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com

2011. Wydanie I Druk: WZDZ - Drukarnia Lega, Opole

*Historię tę, napisaną tamtej magicznej,
bolesnej zimy, poświęcam*

Ingrid

*Zawsze wolałem szaleńczą namiętność
od rozsądnej obojętności.*

ANATOLE FRANCE

*Wszyscy to znamy...
Tę samotność, która czasem nas męczy.
Która niszczy sen, szpeci spokój poranka.*

*To smutek pierwszego dnia w szkole.
To chwila, kiedy na szkolnym dziedzińcu on całuje
najpiękniejszą dziewczynę w liceum.
To Orly albo Gare de l'Est, kiedy romans się kończy.
To dziecko, którego nigdy razem nie poczniemy.*

*Czasem to ja.
Czasem to ty.*

*Ale czasem wystarczy
jedno spotkanie...*

1.

Tamtego lata...

Pierwsza miłość jest zawsze ostatnia.

TAHAR BEN JELLOUN

San Francisco, Kalifornia
Lato 1995

Gabrielle ma dwadzieścia lat.

Jest Amerykanką, studentką trzeciego roku na uniwersytecie w Berkeley. Tamtego lata często chodzi w jasnych dżinsach, białej koszuli i dopasowanej, skórzanej kurtce. Ma długie gładkie włosy i zielone oczy, w których igrają złote punkciki. Podobna jest do Françoise Hardy, na fotografii zrobionej w 1960 roku przez Jean-Marie Pènerà. Tamtego lata spędza całe dnie w bibliotece uniwersyteckiej albo pracuje jako ochotniczka w oddziale straży pożarnej przy California Street. Tamtego lata przeżyje swoją pierwszą miłość.

Martin ma dwadzieścia jeden lat.

Jest Francuzem, dopiero co zrobił licencjat z prawa na Sorbonie. Tamtego lata pojechał do Stanów Zjednoczonych, żeby szlifować swój angielski i poznać kraj od wewnątrz. Ponieważ „groszem nie śmierdzi”, przez siedemdziesiąt godzin tygodniowo wykonuje drobne prace: jest kelnerem, sprzedawcą lodów, ogrodnikiem... Tamtego lata ma półdługie krucze włosy i wygląda jak młody Al Pacino. Tamtego lata przeżyje swoją ostatnią miłość.

Berkeley, kafejka uniwersytecka

– Hej, Gabrielle! Mam list dla ciebie!

Młoda kobieta siedząca przy jednym ze stolików podnosi oczy znad książki.

– Słucham?

– Mam dla ciebie list, ślicznotko! – powtarza Carlito, kierownik kafejki, kładąc na stoliku Gabrielle kremową kopertę obok filiżanki z herbatą.

Gabrielle marszczy brwi.

– Od kogo?

– Od tego Francuzika, Martina. Skończył już tu pracować, ale przyszedł dziś rano specjalnie, żeby zostawić ten list.

Gabrielle bezradnie patrzy na kopertę, po czym wsuwa ją do kieszeni i wychodzi.

Na wielkim, zielonym terenie kampusu, nad którym króluje dzwonnica, panuje wakacyjna atmosfera. Gabrielle idzie główną alejką, potem skręca w boczne, szukając w cieniu stuletnich drzew wolnej ławki.

Siada w oddali od ludzi i otwiera kopertę z lękiem i ciekawością.

*

26 sierpnia 1995

Droga Gabrielle,

Chcę Ci po prostu powiedzieć, że jutro wracam do Francji i że nic nigdy nie będzie się dla mnie tak liczyło jak te kilka chwil spędzonych z Tobą podczas mojego pobytu w Kalifornii, w kafejce uniwersyteckiej na rozmowach o książkach, filmach, muzyce i przebudowywaniu świata.

Chcę Ci po prostu powiedzieć, że kilka razy naprawdę żałowałem, że nie jestem bohaterem powieści. W powieści lub filmie bohater daje jakoś dyskretnie bohaterce do zrozumienia, że mu się podoba, że lubi z nią rozmawiać i że kiedy na nią patrzy, przechodzą go dreszcze – delikatne, bolesne i paraliżujące zarazem. Że czuje się speszony wrażeniem totalnego porozumienia, przedziwnej, zbijającej z tropu bliskości. Że jest to coś wyjątkowego, czego nigdy przedtem nie czuł ani nie podejrzewał istnienia czegoś takiego.

Chcę Ci po prostu powiedzieć, że tamtego popołudnia, kiedy w parku zaskoczył nas deszcz i schroniliśmy się na ganku biblioteki,

coś nieoczekiwanie pchnęło mnie ku Tobie. Myślę, że Ty także to poczułaś i że to nas oszołomiło. Mało brakowało, a pocałowałibyśmy się. Nie uczyniłem żadnej próby w tym kierunku, bo opowiadałaś mi o Twoim chłopaku, tym podróżującym po Europie, któremu byłaś wierna, i ponieważ nie chciałem, żebyś pomyślała, że jestem jednym z tych facetów, którzy bezczelnie i nachalnie Cię podrywają.

Wiem jednak, że gdybyśmy się wówczas pocałowali, odjeżdżałbym szczęśliwy, nie przejmując się niczym, bo wiedziałbym, że trochę Ci na mnie zależy. Wiem, że ten pocałunek szedłby za mną stale i wszędzie jako niezapomniane wspomnienie, które dawałoby mi otuchę w chwilach samotności. Z drugiej strony mówi się, że najpiękniejsze historie miłosne to te niespełnione. Być może na tej zasadzie pocałunki, których się nie wymieniło, wzruszają dużo silniej niż te przeżyte.

Chcę Ci po prostu powiedzieć, że kiedy na Ciebie patrzę, myślę o filmie z taśmą przesuwaną z szybkością dwudziestu czterech klatek na sekundę. U Ciebie pierwsze dwadzieścia trzy klatki są świetliste i promienne, ale z dwudziestej czwartej emanuje prawdziwy smutek, który jest wielkim kontrastem ze światłem, jakie w sobienosisz. Jest jak niewidoczna rysa w brylancie: brak, który określa Cię skuteczniej, niżbyś miała podziwiać wszystkie swe zalety czy sukcesy. Wiele razy zastanawiałem się, skąd ten smutek, wiele

razy miałem nadzieję, że otworzysz się przede mną, ale to nie nastąpiło.

Chcę Ci po prostu powiedzieć, żebyś dbała o siebie, żebyś nie poddawała się melancholii. Nie pozwól zatriumfować dwudziestej czwartej klatce. Zabroń wstępu demonom do Twojej anielskiej duszy.

Chcę Ci po prostu powiedzieć, że ja również uważam, iż jesteś wspaniała, słoneczna. Ale to mówią Ci wszyscy jak dzień długi, więc w końcu okazałem się taki jak inni.

Chcę Ci po prostu powiedzieć, że nigdy Cię nie zapomnę.

Martin

*

Gabrielle unosi głowę. Jest zachwycona i zaskoczona.

Już po pierwszych zdaniach zorientowała się, że ten list jest inny. Wie, o czym Martin pisze, lecz dotychczas patrzyła na to pod innym kątem. Rozgląda się, nie chce, aby jej twarz zdradziła wzruszenie. Kiedy czuje wzbierające łzy, ucieka z kampusu i wsiada do metra jadącego do centrum San Francisco. Zamierzała jeszcze zostać, żeby popracować w bibliotece, ale w obecnej sytuacji nie czuje się na siłach.

Siada na ławce w kolejce podziemnej. Z jednej strony jest zaskoczona treścią listu od Martina, z drugiej – list sprawił jej przyjemność, wprawiając jednocześnie w zakłopotanie. Nie codziennie

zdarza jej się wzbudzić podobne zainteresowanie. Nie codziennie ludzie starają się ją zrozumieć, przeważnie rejestrują jej urodę i na tym się kończy.

Wszyscy myślą, że Gabrielle jest silna i towarzyska z natury, podczas gdy tak naprawdę jest bardzo wrażliwa i pełna sprzeczności. Nawet ci, którzy znają ją od lat, nie mają o tym pojęcia, a on przejrzał ją, zrozumiał w ciągu kilku tygodni.

Tego lata całe kalifornijskie wybrzeże dusi się w upale. Nawet San Francisco ze swoim mikroklimatem nie stanowi wyjątku. Pasażerowie kolejki podziemnej wyglądają jak otepiałe od upału duchy. Ale duch Gabrielle nie jest z nimi. Gabrielle stała się bohaterką średniowiecznej powieści, eposu z czasów rycerskich. Z czasów, kiedy pojawia się miłość dworska. Chrétien de Troyes przysłał jej właśnie list, zdecydowany zmienić przyjaźń, którą ona go obdarza, w...

Gabrielle ponownie czyta list. Sprawia jej to wielką przyjemność, ale jednocześnie także ból.

Nie, Martinie Beaumont, zdecydowanie nie jesteś taki jak inni...

Czyta list znowu i znowu. Jest szczęśliwa, zrozpaczona, niezdecydowana.

Do tego stopnia niezdecydowana, że zapomina wysiąść na swojej stacji. Żeby wrócić do domu, będzie musiała przejechać dodatkowo przystanek w tym upale.

Brawo, średniowieczna bohaterko, *well done!*

*

Nazajutrz, 09.00

Lotnisko w San Francisco

Pada.

Jeszcze niezupełnie obudzony Martin zdusza ziewnięcie i zaciska dłoń na autobusowym pręcie. Sfatygowany pojazd tańczy na wirażu. Martin ma na sobie popelinowy płaszcz, dziurawe dzinsy, zniszczone adidas i T-shirt z podobiznami członków jakiegoś zespołu rockowego.

Tamtego lata wszyscy chłopcy mają w sobie coś z Kurta Cobaina.

W głowie Martina kłębią się wspomnienia z dwóch miesięcy spędzonych w Ameryce. Naoglądał się i przeżył też sporo. Kalifornia jest tak bardzo różna od Évry i paryskich przedmieść. Przed wakacjami zamierzał na jesieni złożyć papiery i podejść do konkursowego egzaminu na oficera policji, ale teraz, po pobycie w Kalifornii, po wakacjach, w czasie których symbolicznie przeszedł inicjację do dorosłości, wszystko się zmieniło. Ten chłopak z przedmieść nabrał w Ameryce pewności siebie, bo choć życie tam było równie ciężkie jak gdzie indziej, ambitni mieszkańcy tego kraju nigdy nie tracili nadziei na realizację swoich marzeń.

A marzeniem Martina było zostać pisarzem i pisać wzruszające historie, historie o zwykłych ludziach, którym zdarzają się rzeczy niezwykle. Bo rzeczywistość mu nie wystarczała, fikcja była zawsze obecna w jego życiu. Już gdy był małym chłopcem, jego ulubieni bohaterowie wyciągali go często z tarapatów, pocieszali, gdy

był smutny i zawiedziony. Bajki karmiły jego wyobraźnię, wysubtelniały emocje, pozwalały spojrzeć na rzeczywistość w świetle, które czyniło ją możliwą do zaakceptowania.

Autobus z Powell Street wyrzuca pasażerów przed terminalem lotów międzynarodowych. Wszyscy się przepychają, Martin chwytając swoją gitarę. Objuczony jak muł wychodzi ostatni z autobusu, grzebie w kieszeni, znajduje bilet i zaczyna się rozglądać.

Nie od razu ją zauważa.

Zaparkowała w drugim rzędzie samochodów, nie gasząc silnika. Gabrielle.

Jest przemoczona od deszczu, jest jej zimno i lekko drży.

Rozpoznają się. Biegną ku sobie.

Obejmują się i serca tłuką im się w piersiach, tak jak to się dzieje za pierwszym razem, kiedy wszystko wydaje się możliwe.

Potem ona uśmiecha się i mówi zaczepnie:

– A więc, Martinie, naprawdę myślisz, że najgorętsze pocałunki to te, których się nie wymieniło?

Całują się.

Usta szukają ust, oddechy łączą się w jeden, mokre włosy Gabrielle mieszają się z mokrymi włosami Martina. Martin dotyka dłonią szyi Gabrielle, ona przykładła dłoń do jego policzka. Szybko, niezręcznie, wymieniają kilka miłosnych słów.

– Zostań jeszcze trochę! – prosi Gabrielle Martina.

Martin nie wie, że przeżywa najszcześniejsze chwile w życiu.

Nigdy nie spotka go nic podobnie czystego, promiennego i gorącego jak spojrzenie zielonych, błyszczących w deszczu oczu Gabrielle tamtego ranka, tamtego lata. I ten proszący głos: „Zostań jeszcze trochę!”.

*

San Francisco **28 sierpnia – 7 września 1995**

Dopłacając sto dolarów, Martin przebukował bilet. Ta suma pozwoliła mu przeżyć dziesięć najważniejszych dni w życiu.

Kochają się.

Przytulają do siebie w księgarniach na uliczkach Berkeley, gdzie panuje wciąż atmosfera cyganerii.

W kinie na Reid Street niewiele dociera do nich z akcji z wyświetlanego właśnie *Leaving Las Vegas*, tak zajęci są pocałunkami i pieszczotami.

Podobnie w restauracyjce przy ogromnym hawajskim hamburgerze z ananasem i butelce wina.

Są w sobie zakochani.

Wyglupiają się, zachowują jak dzieci, gnają po plaży, trzymając się za ręce.

Są w sobie zakochani.

W pokoju w akademiku on improwizuje dla niej na gitarze nową wersję *Walca na tysiąc taktów* Jacques'a Brela. Ona tańczy, najpierw wolno, rozmarzona, potem coraz szybciej, wirując jak derwisz z wyciągniętymi w górę ramionami, a dłońmi zwróconymi

wewnętrzną stroną ku niebu.

On porzuca gitarę i przyłącza się do jej transu. Wirują i przetracają się na ziemię jak puszczone w ruch dziecinny bąk...

Kochają się...

Wiszą w powietrzu... Fruną...

Są Bogiem, aniołami, są sami, jedyni.

Świat wokół znika, staje się dekoracją w teatrze tylko dla nich stworzonym.

Są zakochani.

Ta miłość jest ich krwią.

Ich alkoholem.

Ich jest ten moment, ich cała wieczność.

Jednocześnie czują strach.

Strach przed uzależnieniem się od siebie.

Strach, że zabraknie im powietrza.

Oczywistość. Konsternacja.

Grom. Unicestwienie.

Najpiękniejsza z wiosen, najgwałtowniejsza z burz.

Ale są w sobie tak zakochani...

*

Ona go kocha.

W środku nocy.

W samochodzie, na parkingu w Tenderloin, niebezpiecznej dzielnicy miasta. Z radia rozbrzmiewa wibrujący dźwięk gangsta rapu i piosenki *Smells Like Teen Spirit*.

Nieważne ryzyko, nieważne, że w każdej chwili w świetle reflektorów mogą zostać zaatakowani przez członków jakiegoś gangu albo zaskoczeni przez patrol policji.

Tamto spełnienie na parkingu to nie romantyczne zaloty, ukradkowe spojrzenia czy bukiet róż. To druga strona miłości, to jak przypalenie rozżarzonym metalowym prętem, które wrywa więcej, niż ofiarowuje. Tamtej nocy to dawka narkotyku, zachłyśnięcie się narkomana. Gabrielle chce mu pokazać swoją inną, nie tak gładką stronę pozornie romantycznego portretu. Pęknięcie, rysę, dwudziestą czwartą klatkę. Chce się przekonać, czy on pójdzie tam za nią, czy też zostawi ją samą.

Tamtej nocy nie jest jego ukochaną, jest jego kochanką.

Because the night belongs to lovers.

Because the night belongs to us.

*

On ją kocha.

Kocha ją czule.

Na plaży, rankiem.

Zasnęła na jego płaszczu. Położył głowę na jej brzuchu.

Młodzi kochankowie, pieszczeni letnim wiatrem, w różowym świetle kalifornijskiego nieba.

Zmęczeni miłością, serca mają złączone, sklezione. Małe radio stojące obok na piasku nadaje starą balladę.

*

8 września 1995, 09.00
Lotnisko w San Francisco

Koniec snu.

Oboje stoją w holu lotniska, pośród tłumu, w hałasie.

Rzeczywistość w końcu wygrała pojedynek z iluzją ponadczasowego uczucia.

Szok jest brutalny. Boli.

Martin szuka wzroku Gabrielle. Tego ranka z oczu opadły mu złote łuski. Nie wiedzą, co mają sobie powiedzieć. Obejmują się gorączkowo, wczepiają w siebie, każde z nich stara się znaleźć w tym drugim siłę, której mu brak. W tej grze Gabrielle jest silniejsza. Ona wiedziała, że dni szczęścia wykrada losowi, podczas gdy on myślał, że szczęście będzie trwało wiecznie.

Ale to jej jest zimno. Martin zdejmuje więc płaszcz z moleskinu i okrywa jej ramiona. Na początku ona odmawia w stylu: „Jestem odporna”, „wcale mnie marzną”, ale on naciska, widzi, że dziewczyna trzęsie się z zimna. Teraz ona zdejmuje z szyi srebrny łańcuszek z maleńkim Krzyżem Południa i daje mu go do ręki.

Po raz ostatni wzywają pasażerów do samolotu. Teraz już naprawdę muszą się rozstać.

Po raz setny Martin pyta Gabrielle:

– Ten twój chłopak, który jest teraz w Europie... Kochasz go?

Gabrielle jak zwykle przy tym pytaniu zamyka mu usta palcem i nie patrzy na niego.

Obie sylwetki odklejają się od siebie. Martin idzie w kierunku terminalu odlotów, nie spuszczać Gabrielle z oczu.

*

9 września, Paryż

Lotnisko Charles'a de Gaulle'a

Po dwóch międzylądowaniach i wielu opóźnieniach lot Aer Lingus ląduje na Roissy pod wieczór. W San Francisco było jeszcze lato. W Paryżu jest już jesień. Niebo ciemne, brudne. Skonsternowany, z oczami czerwonymi od niewyspania Martin czeka na swój bagaż. Na ekranie telewizora jakaś blondyna po liftingu krzyczy: „Bóg dał mi wiarę!”. Jeszcze tego ranka Martin był w Ameryce Clintona, a wieczorem jest już we Francji Chiraca. I nienawidzi swej ojczyzny, bo nie jest to ojczyzna Gabrielle.

Bierze walizkę i gitarę, po czym rusza w długą podróż do domu: najpierw RER-em linii B do stacji Châtelet-Les Halles, potem RER-em linii D w kierunku Corbeil-Essonnes, żeby dotrzeć do Évry, a potem autobusem jadącym do osiedla Piramidy. Chciałby, żeby muzyka odcięła go od codzienności, ale baterie w walkmanie dawno się wyczerpały. Martin jest spłoszony, zdezorientowany, czuje się tak, jakby ktoś wstrzyknął mu truciznę do serca. Po pewnym czasie uświadamia sobie, że po policzkach płyną Olu łzy i że głupie typy obok gapią się i wyśmiewają z niego. Stara się opanować: lepiej nie okazywać słabości, jeśli siedzi się w autobusie

jadącym w kierunku Piramid. Odwraca więc głowę i po raz pierwszy uświadamia sobie, że tej nocy nie będzie przy nim Gabrielle. I tży płyną z podwójną siłą.

*

Północ.

Martin wychodzi z pokoiku, który zajmuje w mieszkaniu komunalnym należącym do jego dziadków.

Winda nie działa. Trzeba zejść pieszo z dziewiątego piętra. Skrzynki na listy powyrywane, na klatce ktoś się awanturuje. Tutaj nic się nie zmieniło od jego wyjazdu.

Przez pół godziny szuka budki telefonicznej, która nie byłaby zdewastowana, po czym wsuwa do otworu kartę na pięćdziesiąt jednostek i wykręca numer na drugim kontynencie.

*

W odległym o dwanaście tysięcy kilometrów San Francisco jest wpół do pierwszej po południu. W kafejce na terenie kampusu Berkeley dzwoni telefon...

*

49, 48, 47...

Z żołądkiem związanym w supeł Martin zamyka oczy i mówi:

– Gabrielle? To ja. Stawiam się wiernie jak zwykle w południe.

Gabrielle najpierw uśmiecha się, bo jest zaskoczona i szczęśliwa, a potem płacze, bo to rozstanie jest męką.

38, 37, 36...

Martin mówi, jak bardzo mu jej brak, że ją uwielbia, że nie wie, jak będzie mógł żyć bez niej...

Gabrielle mówi, jak bardzo chciałaby być obok niego, spać u jego boku, całować go, pieścić, gryźć, zabić z miłości.

...25, 24, 23...

Martin słucha jej głosu i wszystko do niego wraca: czuje zapach jej skóry, woń piasku, jej włosy pełne wiatru, jej „całuję cię”...

...jego „całuję cię”, jego dłoń na swojej szyi, jego oczy szukające jej oczu, uściski gwałtowne i łagodne zarazem.

...20, 19, 18...

Martin patrzy w panice na ekran z płynnego kryształu w aparacie telefonicznym; obserwowanie, jak szybko mijają opłacone jednostki czasu, jest męką.

...11, 10,9...

Potem już tylko milczą, bo wzruszenie ściska im gardła.

Słuchają bicia swoich serc, które uderzają jednym rytmem, i oddechów, które, chociaż rozdzielone setkami kilometrów kabla telefonicznego, jednak mieszają się ze sobą.

...3, 2, 1, 0...

*

W tamtych czasach nie było jeszcze Internetu, e-maili, Skype'a czy różnych ICQ.

W tamtych czasach listy miłosne wysyłane z Francji do Kalifornii szły dziesięć dni.

W tamtych czasach, kiedy napisałeś „Kocham Cię!”, musiałeś czekać na odpowiedź trzy tygodnie.

A czekanie przez trzy tygodnie na „Kocham Cię” naprawdę jest nieludzkie, kiedy się ma dwadzieścia lat.

*

Tak więc listy od Gabrielle pojawiają się coraz rzadziej, aż zupełnie przestają przychodzić.

Potem Gabrielle coraz rzadziej odpowiada na telefon, czy to w kafejce, czy w jej pokoju w akademiku, a najczęściej zleca swojej współlokatorce odbieranie wiadomości od Martina.

Którejś nocy doprowadzony do ostateczności Martin wrywa słuchawkę z telefonu i rozbija nią szklaną ścianę budki. Ze wściekłości zrobił to, co zawsze potępiał u innych. Stał się taki jak ci, których zawsze nienawidził, którzy niszczyli mienie społeczne, którzy przed snem wypijali karton piwa, cały dzień palili trawkę, mając w nosie życie, szczęście i nieszczęście, wczoraj i jutro.

Martin w rozpacz zaczyna żałować, że spotkał taką miłość, ponieważ teraz nie wie, jak żyć. Każdego dnia wmawia sobie, że jutro będzie lepiej, że czas leczy rany, ale następnego dnia tylko pogłęża się jeszcze bardziej.

*

W końcu jednak dochodzi do wniosku, że jeśli ponownie chce zdobyć Gabrielle, musi w to włożyć całe serce. Postanawia działać, żeby mieć siłę wypłynięcia na powierzchnię. Wraca na uniwersytet, znajduje pracę w Carrefourze w Évry 2. W nocy pracuje jako parkingowy i oszczędza każdy grosz.

W tym momencie życia przydałby mu się starszy brat, ojciec, matka, wierny przyjaciel, ktoś, kto by mu doradził, żeby nigdy w nic nie wkładał „całego serca”, ponieważ ten, kto tak robi, ryzykuje, iż nigdy już nikogo nie pokocha.

Ale Martin nie ma nikogo bliskiego, kogo rad mógłby posłuchać, słucha więc tylko swego głupiego serca.

*

10 grudnia 1995

Najukochańsza Gabrielle,

Pozwól mi jeszcze tak się do Ciebie zwrócić, nawet jeśli to będzie ostatni raz.

Nie robię sobie złudzeń, wiem, że mi się wymykasz.

Co do mnie, to rozstanie wzmocniło moje uczucie i mam nadzieję, że jeszcze choć trochę za mną tęsknisz.

Gabrielle, wciąż jestem przy Tobie.

Jestem bliżej Ciebie niż kiedykolwiek.

Na razie jesteśmy jak dwie osoby stojące po dwóch stronach rzeki, które dają sobie znaki. Czasem spotykają się na chwilę na moście, spędzają razem trochę czasu, chroniąc się przed złym

wiatrem, a potem każda z nich wraca na swój brzeg, czekając, aż kiedyś będą mogli spotkać się na dłużej. Kiedy zamykam oczy i wyobrażam sobie nas za dziesięć lat, ukazują mi się obrazy szczęścia: słońce, śmiejące się dzieci, porozumiewawcze spojrzenia, jakie rzucają sobie wciąż zakochani małżonkowie.

Nie chcę tego stracić.

Jestem tu, Gabrielle, na drugim brzegu.

Czekam na Ciebie.

Rozdzielający nas most wygląda, jakby był w złym stanie, ale jest solidny, zbudowany z pni stuletnich drzew, które oparty się wielu burzom.

Rozumiem, że boisz się po nim przejść.

Wiem, że może nigdy się na to nie zdobędziesz.

Ale zostaw mi trochę nadziei.

Nie proszę Cię o żadne obietnice, o odpowiedź, o decyzję.

Daj mi tylko znak

Ten znak możesz mi dać w bardzo prosty sposób. Wraz z moim listem wysyłam Ci prezent na Boże Narodzenie: bilet na samolot do Nowego Jorku z datą 24 grudnia. Przyjdę tego dnia na Manhattan i przez cały dzień będę na Ciebie czekał w Café DeLalo obok Empire State Building. Przyjdź tam, jeśli wierzysz, że mamy przed sobą wspólną przyszłość.

Całuję Cię,

Martin

**24 grudnia 1995,
Nowy Jork, 09.00**

Kroki Martina skrzypią na świeżym śniegu. Zimno jak na biegunie, ale niebo jest przejrzyste i niebieskie, w powietrzu na lekkim wietrze wirują płatki śniegu.

Nowojorczycy odśnieżają chodniki przed swymi domami. Ich dobry humor podtrzymują dekoracje świąteczne i dźwięki kołęd, dobiegające z każdego, nawet najmniejszego sklepiku.

Martin wchodzi do Café DeLalo. Zdejmuje rękawiczki, czapkę i szalik, zaciera ręce, żeby się rozgrzać. Nie spał od dwóch dni i czuje się tak, jakby miał gorączkę, jest podniecony, jak gdyby przez kroplówkę dostał dawkę kofeiny.

Miejsce jest przytulne i panuje w nim świąteczna atmosfera. Z sufitu zwisają girlandy, aniołki z cukru i figurki z piernika. Pachnie cynamonem, kardamonem i racuszkami bananowymi. Muzyka w tle to kołеды na przemian ze standardami popu. Tej zimy najpopularniejszy jest zespół Oasis. Co godzina każda stacja nadaje *Wonderrwall*.

Martin zamawia gorącą czekoladę z warstwą maleńkich pianek cukrowych, po czym siada przy stoliku koło okna.

Jest pewien, że Gabrielle stawi się na spotkanie.

O dziesiątej po raz tysięczny sprawdza godziny na bilecie, który jej wysłał:

Wylot – 23 grudnia

22.55 – San Francisco SFO

Przylot – 24 grudnia

07.15 – Nowy Jork JFK

Nie niepokoi się: pada śnieg, więc samoloty na pewno będą opóźnione. Za oknem na chodniku przepływający tłum wygląda jak oddziały pokojowej armii, która zamiast broni dzierży w dłoniach kubeczki z plastikowymi pokrywkami.

O jedenastej Martin przegląda egzemplarz „USA Today” zostawiony na stoliku przez jakiegoś klienta. W gazecie niekończąca się dyskusja na temat uniewinnienia O.J. Simpsona, nagłej zmiany na giełdzie i *Ostrego dyżuru*, serialu, którym pasjonują się ostatnio wszyscy Amerykanie. Bill Clinton jeszcze nie spotkał Moniki i dzielnie forsuje swój projekt polityki socjalnej w Kongresie.

Gabrielle na pewno przyjdzie.

W południe Martin zakłada słuchawki walkmana i zamyśla się, spacerując wraz z Bruce'em Springsteenem „po ulicach Filadelfii”.

Gabrielle na pewno przyjdzie.

O pierwszej Martin kupuje sobie hot doga przy ulicznym straganie, nie spuszczaając oczu z wejścia do kawiarni, na wypadek gdyby...

Gabrielle na pewno przyjdzie.

O drugiej zaczyna czytać *Buszującego w zbożu*, którego egzemplarz kupił na lotnisku.

Mija następna godzina. Martin przeczytał cztery strony.

Gabrielle na pewno przyjdzie.

O czwartej Martin wyjmuje swego Game Boya, przegrywa cztery partie Tetrisa w niecałe dziesięć minut.

Czy Gabrielle przyjdzie?

O piątej pracownicy kawiarni zaczynają spoglądać na niego podejrzliwie.

Przyjdzie albo nie przyjdzie.

O szóstej zamykają lokal. Martin wychodzi ostatni.

Jest już na ulicy, ale jeszcze myśli, że Gabrielle może przyjść.

Tymczasem...

*

San Francisco, 15.00

Ze ściśniętym sercem Gabrielle idzie po plaży w stronę oceanu. Pogoda odzwierciedla jej nastrój: Golden Gate ginie we mgle, nad Alcatraz wiszą ciężkie chmury i wieje silny wiatr. Żeby nie było jej tak zimno, otuliła się płaszczem od Martina.

Siada po turecku na piasku i wyjmuje z torby plik listów od niego. Czyta powtórnie niektóre fragmenty. *Kiedy myślą o Tobie, serce bije mi szybciej. Chciałbym, żebyś tu była, żebyś weszła w moją noc. Chciałbym zamknąć oczy, otworzyć je i zobaczyć Cię...* Gabrielle wyjmuje z koperty drobne upominki od niego: czterolistną koniczynę, szarotkę, stare czarno-białe zdjęcie Jean Seberg i Jeana-Paula Belmondo w filmie *Do utraty tchu...*

Wie dobrze, że połączyło ich coś wyjątkowego. Powstała między nimi silna więź. Na podobne porozumienie z drugą osobą nie ma co liczyć. Wyobraża sobie Nowy Jork i czekającego na nią

Martina, w tej kawiarni, gdzie mieli się spotkać. Myśli o nim i płacze.

*

W Nowym Jorku kawiarnia jest zamknięta od pół godziny, ale Martin stoi nieruchomo, trzęsąc się z zimna, i wciąż czeka. W tym momencie nie wie, co naprawdę czuje do niego Gabrielle. Nie wie, jakim zbawieniem był dla niej związek z nim, nie wie, jak bardzo potrzebowała jego uczucia, nie wie, jak była zagubiona i rozbita, zanim go poznała. Nie wie, jaką był dla niej podporą w bardzo trudnym momencie...

*

W San Francisco Gabrielle nadal stoi na plaży, ale zaczyna padać deszcz. Z daleka słychać ponury sygnał organów wodnych*, który wibruje przy akompaniamencie fal wpływających w ich kamienne korytarze. Gabrielle wstaje i idzie do tramwaju, który jedzie w górę stromego wzniesienia Fillmore Street. Jak automat jedzie tą trasą, która prowadzi ją do miejsca położonego o dwie przecznice za Grace Cathedral, do Lenox Medical Center.

* Ang. *Wave Organ* – rodzaj organów wodnych skonstruowanych na końcu mola za St. Francis Yacht Club w San Francisco, kiedy w 1986 roku likwidowano tam dziewiętnastowieczny cmentarz. „Instrument” zrobiony jest z resztek kamieni nagrobnych, pomników, rur PCW i z cementu, aby „grał muzykę zatoki”, kiedy fale morskie będą wpływały do rur, wydając rezonans.

Owinięta płaszczem Martina przechodzi przez kilka automatycznych drzwi. Mimo świątecznych dekoracji w oświetlonym mdłym światłem holu panuje atmosfera smutku.

Doktor Elliott Cooper, który stoi przy automacie z napojami, poznaje Gabrielle i domyśla się, że dziewczyna musiała płakać.

– Dzień dobry, Gabrielle! – mówi, starając się uśmiechem dodać jej animuszu.

– Dzień dobry, panie doktorze.

*

Martin czekał na Gabrielle do dwudziestej trzeciej, samotny w lodowatą noc. Płomień w sercu wypalił mu się do końca i ogarnął go wstyd. Wstydzi się, że z sercem na dłoni, pełen młodzieńczego entuzjazmu, tak naiwnie się odsłonił.

Postawił wszystko na jedną kartę i przegrał.

Błądzi więc teraz po mieście: po Czterdziestej Drugiej Ulicy, po barach, knajpach, pije, zawiera ryzykowne znajomości. Tej zimy Nowy Jork jest jeszcze Nowym Jorkiem. Nie tym Warhola czy Velvet Underground, ale również nie tym aseptycznym Nowym Jorkiem, którym stanie się parę lat później. Jest to wciąż miasto niebezpieczne, miasto półświatka dla tego, kto wypuści na wolność swoje demony.

Tej nocy po raz pierwszy spojrzenie Martina staje się posępne i bezlitosne.

Nigdy nie zostanie pisarzem. Będzie policjantem, będzie myśliwym.

Tej nocy utracił nie tylko miłość.
Utracił również nadzieję.

*

No i tak.
To jest historia o prawdziwym życiu.
Historia mężczyzny i kobiety, którzy biegną ku sobie.
Wszystko zaczęło się od pocałunku pewnego letniego poranka
pod niebem San Francisco.
Wszystko prawie się skończyło pewnej wigilijnej nocy w nowo-
jorskim barze i w klinice kalifornijskiej.

Minęły lata...

Część pierwsza

Pod niebem Paryża

2.

Najwięksi złodzieje...

*Z tego samego powodu kogoś się kocha,
co nienawidzi.*

RUSSELL BANKS

**Paryż, lewy brzeg Sekwany,
29 lipca, 03.00**

Złodziej

Była letnia noc.

Na dachach muzeum Orsay jakiś cień ukradkiem wślizgnął się za jeden z kominów. Przez chwilę sylwetka jego pojawiła się w poświacie księżyca. Ubrany w ciemny kombinezon Archibald McLean przyczepił do specjalnego urządzenia przy pasku dwie liny. Poprawił czarną wełnianą kominiarkę wsuniętą na pomazaną na ciemno twarz. Oczy miał błyszczące. Przypiął plecak i popatrzył na rozciągające się w dole miasto. Z dachu słynnego muzeum był przepiękny widok na zabytki prawego brzegu Sekwany: wielki

pałac Luwru ugiął się pod zdobięcymi go rzeźbami, bazylika Sacré Coeur górowała nad miastem niczym gigantyczna beza, dach Grand Palais przysłaniał diabelski młyn ustawiony w lunaparku w Ogrodzie Tuileries, w oddali błyszcząca zielonożłota kopuła opery Garniera. Widok stolicy nocą nadawał miastu walor ponadczasowy. To był Paryż Arsena Lupina, Paryż *Upiora z opery*. Archibald naciągnął specjalne rękawiczki, zrobił kilka ćwiczeń rozciągających mięśnie i rozwinął linę wzdłuż kamiennej ściany budynku. Zadanie, które czekało go tego wieczoru, było trudne i ryzykowne, ale tym bardziej kuszące.

Policjant

To szaleństwo! – pomyślał ukryty w samochodzie kapitan policji Martin Beaumont obserwujący przez lornetkę Archibalda McLeana, najśłynniejszego współczesnego złodzieja obrazów, którego śledził już od ponad trzech lat. Martin był podekscytowany. Tego wieczoru miał wziąć udział w aresztowaniu złodzieja, jakiego policjant spotyka w życiu tylko raz. Bardzo długo wyczekiwał tej chwili. Wielokrotnie ją sobie wyobrażał. Ten wyczyn wzbudzi zazdrość zarówno Interpolu, jak i wszystkich prywatnych detektywów wynajętych przez miliarderów, których Archibald okradł.

Martin wyregulował lornetkę, żeby wyostrzyć obraz. Nieuchwytny cień Archibalda wreszcie stał się zauważalny. Z bijącym sercem Martin patrzył, jak złodziej zrzuci linę z dachu i ześlizguje się wzdłuż ściany muzeum, aby dotrzeć do dwóch ogromnych zegarów wbudowanych w elewację budynku od strony Sekwany. Przez chwilę miał nadzieję, że zobaczy twarz Archibalda, lecz ten stał zwrócony plecami do niego i był zbyt daleko. Nie do wiary, ale przez dwadzieścia pięć lat jego „działalności” nikt nigdy nie widział jego twarzy...

*

Archibald zawisł nieruchomo przed wewnętrzną częścią szklanego zegara, z którego padało blade światło. Przylepiony do tarczy o siedmiometrowej średnicy czuł, jak czas go pogania. Wiedział, że w każdej chwili może zostać zauważony. Spojrzał w dół. Nabrzeża Sekwany były spokojne, ale nie wyludnione. Co jakiś czas przejeżdżała taksówka, zauważył też kilku nocnych spacerowiczów oraz ludzi wracających do domu po nocnych atrakcjach.

Nie spiesząc się, uchwycił wystającą kamienną krawędź i odpiął od pasa kółko z diamentowymi zębami. Szybkim, szerokim i spokojnym ruchem zarysował szybę tam, gdzie mosiężny stelaż nachodził na siebie, zaznaczając godzinę szóstą. Tak jak oczekiwał, kółko jedynie zadrapało szkło, rysując maleńki okrąg. Archibald zamocował w nim potrójne przyssawki, po czym wziął aluminiowy cylinder długości latarki ręcznej, którym zręcznym i pewnym ruchem

kilkakrotnie przeprowadził promień lasera po zarysowanej linii. Promień ten niczym nóż do cięcia szkła wbił się w rysę precyzyjnie i głęboko. Rysa pękła. Kiedy szkło ustąpiło, Archibald pchnął przyssawki. Ciężka szyba oddzieliła się od reszty jednolitą masą. Archibald powoli ją odłożył. Przed nim ział okrągły otwór o brzegach ostrych jak gilotyna. Ze zręcznością akrobaty wślizgnął się weń. Znalazł się w jednym z najpiękniejszych muzeów świata. Miał pół minuty do włączenia się alarmu.

*

Z nosem przyklejonym do szyby Martin nie wierzył własnym oczom. Co za spektakularne wtargnięcie do wnętrza muzeum! No, ale lada moment włączy się alarm. Służba ochrony muzeum Orsay została bardzo wzmocniona po zeszłorocznym ataku bandy podpiętych osobników, którzy zdołali wdrzeć się do muzeum, wyłamując wyjście awaryjne. Przez kilka dobrych minut przechadzali się po salach, zanim ich złapano. Pocięli słynny obraz Moneta *Most w Argenteuil*.

Sprawa odbiła się szerokim echem. Minister kultury stwierdził, że to niedopuszczalne, aby można było wejść do muzeum Orsay jak do pierwszego lepszego niestrzeżonego budynku. W rezultacie wyszukano wszystkie słabe strony w systemie alarmowym placówki. Jako członek CBWPZ, Centralnego Biura do Walki z Przemysłem Zabytków, Martin Beaumont został konsultantem w sprawie zabezpieczenia wszystkich wejść do muzeum. Teoretycznie słynne

sale z obrazami impresjonistów były od tej chwili nie do zdobycia.
Ale co jest nie tak z tym cholernym alarmem?!

*

Archibald wylądował na jednym ze stołów kawiarni. Wielki szklany zegar wychodził dokładnie na Café des Hauteurs, na ostatnim piętrze muzeum, niedaleko sal poświęconych impresjonistom. Złodziej spojrzął na zegarek: jeszcze dwadzieścia pięć sekund. Zeskoczył na podłogę i wbiegł po schodach prowadzących do galerii. Niewidzialna armada promieni podczerwonych broniła pięćdziesięciu metrów korytarzy muzealnych. Archibald wyszukał spojrzeniem centralkę alarmu i odkręcił jej obudowę, po czym podłączył do niej urządzenie elektroniczne niewiele większe od iPod'a. Na ekranie ukazały się migające z niezwykłą szybkością rzędy cyfr. Dwie kamery umieszczone na suficie i zaopatrzone w czujniki ciepłe powinny się włączyć lada chwila. Jeszcze tylko dziesięć sekund...

*

Martin nie mógł dłużej wytrzymać. Wysiadł z samochodu i przeciągnął się nerwowo. Siedział nieruchomo przez cztery godziny i czuł mrowienie w nogach. Odzwyczał się od urządzania takich zasadzek. Na początku pracy w policji zdarzało mu się całe noce spędzać na wyczekiwaniu w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach: siedział zaczajony w bagażniku, w śmieciarce, nad

obniżonym sufitem... Nagle zerwał się wiatr. Martin zdrzął i podciągnął zamek skórzanej kurtki. Poczuł gęsią skórkę, co było nawet przyjemne w tę gorącą letnią noc. Od kiedy zaczął pracę w CBWPZ, nigdy nie czuł podobnego napięcia. Czas, kiedy bardzo wysoko i często podnosił się jego poziom adrenaliny, sięgał przynajmniej pięciu lat wstecz, gdy pracował w wydziale policji do zwalczania narkotyków. Było to podłe zajęcie i trudny okres w jego życiu, toteż nie żałował, że to już przeszłość. Wołał obecne stanowisko. Zajmował się sprawami związanymi z kradzieżą dzieł sztuki. W ten sposób zaangażowanie w pracę policji połączyło się z jego pasją malarską.

Policjantów, którzy ukończyli kurs historii sztuki organizowany przez Szkołę Luwru, było we Francji może trzydziestu. Tylko po takim kursie można dostać pracę w specjalistycznym oddziale Martina, który mimo że pracował w zamkniętym środowisku muzeów lub sal aukcyjnych, a obracał się bardziej pośród antykwariuszy i konserwatorów aniżeli dealerów i złodziei majstersztyków, czuł się przede wszystkim policjantem. I to policjantem bardzo zajęтым. Francja była ulubionym celem złodziei zabytków, bo rocznie rejestrowano tutaj ponad trzy tysiące kradzieży, co powodowało, że rynek handlu kradzionymi dziełami sztuki zrównał się poziomem z rynkiem handlu bronią czy narkotykami.

Martin pogardzał przestępcami, którzy okradali wiejskie kapliczki z mszalnych kielichów, figur aniołów i Matki Boskiej. Czuł wstręt do głupoty wandalów, którzy dla zabawy niszczyli posągi

w parkach. Nienawidził wszystkich tych, którzy pracowali na zamówienie nieuczciwych kolekcjonerów czy antykwariuszy. Odwrotnie, niż się ogólnie sądziło, złodzieje dzieł sztuki nie byli działającymi w samotności dżentelmenami. Większość z nich działała w porozumieniu z mafią i środowiskiem bezwzględnych bandytów, którzy opanowali rynek przemytu kradzionego mienia i zajmowali się wywożeniem go poza terytorium Francji.

Oparty o maskę starego audi Martin, nie spuszczać wzroku z fasady muzeum, zapalił papierosa. Przez lornetkę wyraźnie widział otwór w szklanym zegarze. Nie włączył się jeszcze żaden alarm, ale Martin wiedział, że już za moment przenikliwy dźwięk syreny we-drze się w nocną ciszę.

*

Trzy sekundy.

Dwie sekundy.

Jedna sek...

Na twarzy Archibalda pojawiło się uczucie ulgi, gdy zobaczył, jak sześć cyfr na ekranie niewielkiego komputera zatrzymuje się w bezruchu. Po chwili kombinacja zaczęła migotać, dezaktywując czujniki ruchu. Dokładnie tak, jak zaplanował. Któregoś dnia być może popełni błąd. Któregoś dnia wykona o jedno włamanie za dużo. Ale nie dziś. Dziś droga wolna. Spektakl może się zacząć.

3.

Samotny tak jak ja

*Są dwa rodzaje ludzi. Jedni żyją, grają, umierają.
Drudzy przez całe życie balansują na cienkiej linii.*

*Ci pierwsi to aktorzy.
Ci drudzy to cyrkowcy.*

MAXENCE FERMINE

Martin zapalił kolejnego papierosa. Nie mógł się uspokoić. Tym razem był pewien, że coś nie gra. Alarm powinien się włączyć już dobrą minutę temu.

W głębi duszy jednak nie był zawiedziony. Jego sekretnym celem było złapanie Archibalda samemu, bez pomocy strażników czy kolegów z policji kryminalnej, starcie się z nim *mano a mano*, bez świadków.

Martin wiedział, że wielu jego kolegów fascynują wyczyny Archibalda, wielu też uważa, że tropienie takiego przestępcy to przywilej. Prawda, że McLean nie był zwykłym złodziejem. Przez ostatnie dwadzieścia pięć lat przyprawiał dyrektorów muzeów o zimne poty i ośmieszał policję całego świata. Był złodziejem w wielkim stylu, uczynił z rabunku sztukę. Każdy z jego wyczynów

był popisem oryginalności i niezwyklej wirtuozerii. Nigdy nie pozwalał sobie na użycie przemocy, nie oddał ani jednego strzału, nie przelał cudzej krwi. Jediną jego bronią były przebiegłość i śmiałość. Nie dbał o to, jak niebezpieczny dla niego mógł być obiekt jego zainteresowań: obrabował oligarchę mafijnego Olega Mordhrowa i barona narkotykowego Cariosa Ortegę. Płacił za to dużo: ściagała go rosyjska mafia, a kartele południowoamerykańskie wyznaczyły cenę za jego głowę. Martina irytował szczególny sposób, w jaki media systematycznie odmalowywały wyczyny złodzieja. Dziennikarze traktowali Archibalda wyrozumiale, uważali go bardziej za artystę aniżeli przestępcę.

Paradoksalnie policja niewiele o nim wiedziała: nie znano ani jego narodowości, ani wieku, ani jego DNA. Nigdy nie zostawiał odcisków palców. Na filmach kamer przemysłowych prawie nigdy nie widać było jego twarzy, a jeśli, to za każdym razem ukazywał się ktoś inny, tak doskonale Archibald opanował sztukę charakteryzacji. FBI obiecywało wielkie nagrody wszystkim, którzy dostarczyliby informacji pozwalających na zatrzymanie złodzieja, ale zdobyte przez nich dane zaprzeczały sobie nawzajem. Archibald był prawdziwym kameleonem, zmieniał swój wygląd jak najlepszy aktor. Mógł być kimkolwiek. Jego współpracownicy, paserzy, do których pomocy musiał się przecież uciekać, milczeli jak zakłęci. Dlatego panowała opinia, że Archibald pracuje sam, na swój własny rachunek.

W odróżnieniu od kolegów dziennikarzy Martin nie czuł

słabości do tego człowieka. Mimo całej swojej buńczuczności McLean był po prostu złodziejem.

Dla Martina kradzież zabytkowych przedmiotów była czymś innym aniżeli zwykła kradzież. Poza wartością materialną dzieło sztuki miało w sobie coś świętego przez fakt, że reprezentowało dziedzictwo kulturowe przekazywane społeczeństwu od wieków z pokolenia na pokolenie. Kradzież zabytków uderzała w wartości i fundamenty naszej cywilizacji.

Ci zaś, którzy się tą kradzieżą zajmowali, nie zasługiwali na żadną wyrozumiałość.

*

Cisza jak w kościele, żadnego skrzypnięcia, pusto – w muzeum panował dziwny spokój. Archibald wkroczył do środka w skupieniu, jakby szykował się do mszy. Nocne szmaragdowo-niebieskie światło powodowało, że wewnątrz wyglądało jak nawiedzony zamek. Archibald poddał się temu nastrojowi. Zawsze miał wrażenie, że w nocy, w ciszy i mroku, bez ludzkich głosów i fleszy aparatów fotograficznych muzea wreszcie oddychają. Przez nadmierną ekspozycję dzieł sztuki, podkreślanie ich piękna, czyż nie wynaturzono ich i nie działano na ich zgubę? W ciągu jednego roku obraz narażony był na tyle światła, na ile kiedyś potrzebowałby pięćdziesięciu lat ekspozycji. Dzieła wypalały swoją duszę, traciły głębię, umierały.

Archibald wszedł do pierwszej sali poświęconej Paulowi Cézanne'owi. Od ponad dwudziestu lat odwiedził dziesiątki muzeów, miał w rękach największe dzieła sztuki... Mimo to za każdym

razem odczuwał te same emocje, w kontakcie z geniuszem przechodził go ten sam dreszcz. W pomieszczeniu, do którego wszedł, znajdowały się jedne z najpiękniejszych obrazów Cézanne'a: *Wielkie kąpiące się, Grający w karty, Góra Sainte Victoire...*

Z trudem wyrwał się z zamyślenia. Wyciągnął zza pasa cienki pręt z tytanu, który mocno przykręcił do ściany oddzielającej tę salę od następnej.


To nie dla Paula Cézanne'a włamał się do muzeum.

*

Martin zgniótł obcasem niedopałek papierosa i wrócił do samochodu. Nie wolno mu było zwracać na siebie uwagi. Ostatnie dziesięć lat pracy w policji nauczyły go, że nawet najgenialniejszy przestępca w końcu popełni błąd. Taka jest natura ludzka: wcześniej czy później zbytnia wiara w siebie powoduje poluzowanie dyscypliny, a to z kolei prowadzi do popełnienia błędu, nawet małego, ale takiego, który wystarczy, aby zaprowadzić was za kratki. Tymczasem Archibald w ciągu ostatnich miesięcy przeszedł samego siebie z powodu serii włamań, jakich nigdy jeszcze nie widział świat sztuki: między innymi wyniósł z Ermitażu w Petersburgu *Taniec Matisse'a*, z Morgan Library w Nowym Jorku wykradł bezcenny rękopis partytury Mozarta, w Londynie ukradł wspinały akt pędzla Modiglianiego... A jakieś trzy miesiące wcześniej spędzającego weekend na swoim jachcie miliardera rosyjskiego Iwana Wołyńskiego spotkała niemiła niespodzianka: ukradziono mu N°666 Jacksona Pollocka, który kosztował go prawie dziewięćdziesiąt milionów dolarów

w na aukcji w Sotheby's. Kradzież ta wyjątkowo zirytowała miliarda, bo, jak mówiono, nabył ten obraz w prezencie dla swojej nowej, młodej wybranki.

Martin zapalił światło podsufitki w samochodzie i wyjął z kieszeni mały notes z atlasową okładką, w którym sporządził listę ostatnich kradzieży Archibalda:



| DATA | TYTUŁ OBRAZU | AUTOR | DATA ŚMIERCI |
|------------------|--------------------------------------|------------|------------------|
| KRADZIEŻY | | | AUTORA |
| 3 listopada | <i>Taniec</i> | MATISSE | 3 listopada 1954 |
| 5 grudnia | <i>Rękopis partytury</i> | MOZART | 5 grudnia 1791 |
| 24 stycznia | <i>Akt kobiety</i> | MODIGLIANI | 24 stycznia 1920 |
| 6 lutego | <i>Portret Adeli Bloch-Bauer</i> | KLIMT | 6 lutego 1918 |
| 8 kwietnia | <i>Zebrek</i> | PICASSO | 8 kwietnia 1973 |
| 16 kwietnia | <i>Maya naga</i> | GOYA | 16 kwietnia 1828 |
| 28 kwietnia | <i>Tryptyk pośmiertny</i> | BACON | 28 kwietnia 1992 |

Zgodność dat rzucała się w oczy. To nie mógł być przypadek. Archibald McLean niczym seryjny morderca uderzał według konkretnego *modus operandi*. Jakby w celu oddania hołdu artystom, których wielbił, organizował kradzieże ich dzieł w rocznicę ich śmierci. Zarozumiałość czy też jeszcze jeden sposób drażnienia się z policją i konstruowania własnej legendy – każdy rabunek podpisywał wizytówką z rysunkiem Krzyża Południa. To był zdecydowanie ktoś wyjątkowy.

Kiedy Martin zorientował się, że Archibald działa według konkretnej metody, w pierwszym odruchu postanowił sprawdzić zapiński Interpolu. Okazało się, że nikt jeszcze tego nie odkrył. Najwyraźniej był jedynym detektywem, który zauważył, że istnieje związek między datami kradzieży a datami śmierci autorów skradzionych dzieł. Beaumont nie był pewien, czy powinien zawiadomić swego zwierzchnika, podpułkownika Loiseaux, szefa CBWPZ. W końcu jednak postanowił zachować tę informację dla siebie i zacząć działać samemu. Czyżby uległ grzechowi pychy? Z pewnością trochę, ale w grę wchodził również jego charakter: był samotnikiem, niezbyt dobrze czuł się w grupie i niechętnie w niej pracował. Najlepsze wyniki osiągał, prowadząc dochodzenie według swojej metody. I to właśnie zamierzał uczynić dzisiaj wieczoru. Chciał zrobić prezent szefowi CBWPZ i złapać Archibalda na gorącym uczynku. Oczywiście, tak jak zawsze, podpułkownik Loiseaux i jego koledzy nie będą zwlekali z przywłaszczeniem sobie tej zasługi, ale Martin miał to w nosie. Nie po to wstąpił do policji, żeby szukać zaszczytów i uznania.

Opuścił szybę swego starego kabrioletu. W powietrzu wyczuwało się napięcie, noc była pełna grózb i obietnic. Bardzo wysoko w oknach muzeum widać było monumentalne żyrandole, pozostałości po dawnym przepychu.

Martin popatrzył na zegarek, starą, nieomal zabytkową omegę speedmastera, prezent od byłej przyjaciółki, która od dawna znikła z jego życia.

Od kilku godzin był już 29 lipca.
Rocznica śmierci Vincenta van Gogha.

*

– Najlepsze życzenia urodzinowe! – rzucił Archibald, wchodząc do kolejnej sali, w której wystawiono niektóre z najświetniejszych obrazów malarza: *Sjesta*, *Portret doktora Gacheta*, *Kościół w Auver sur Oise...*

Zrobił kilka kroków do przodu i stanął przed jednym z najbardziej znanych autoportretów artysty. W aureoli tajemniczych wibracji dzieło miało w sobie coś z zaświatów, jego główne kolory – turkusowy i zieleń absyntowa – fosforyzowały w mroku.

Van Gogh z portretu w złożonych ramach rzucał na Archibalda ukośne spojrzenie, nieruchome, niepokojące. Spojrzenie, które jednocześnie szło za Archibaldem i uciekało przed nim. Gwałtowne uderzenia pędzla ukazywały ostre rysy wymizerowanej twarzy. Pomarańczowe włosy i ognista broda pożerały twarz malarza jak płomienie, wirując w tle niczym urojone arabeski.

Archibald wbił wzrok w portret.

Van Gogh, podobnie jak Rembrandt czy Picasso, często malował siebie samego. Wizerunki te, powstające jeden po drugim, malowane w niepowtarzalnym stylu, odzwierciedlały wręcz obsesyjne poszukiwania siebie samego. Obliczono i spisano ponad czterdzieści autoportretów van Gogha: bezlitosnych lustrzanych odbić, które pozwalały obserwować rozwój jego choroby i wewnętrznego chaosu. Do autoportretu, na który patrzył Archibald, malarz był

bardzo przywiązany. Może dlatego, że namalował go podczas pobytu w szpitalu psychiatrycznym w Saint Rémy de Provence, niecały rok przed popełnieniem samobójstwa, podczas jednego z bardziej bolesnych, ale najbardziej płodnych okresów swego twórczego życia.

Archibald współczuł malarzowi, którego wymęczona twarz bardzo go poruszyła. Tego wieczoru zobaczył w portrecie kogoś samotnego tak jak on.

Obraz ten mógł ukraść już dziesięć albo dwadzieścia lat temu. Ale wolał zaczekać na dzisiejszą noc. To będzie apogeum jego złodziejskiej kariery.

Piętro niżej rozległ się odgłos kroków, ale Archibald nie mógł oderwać oczu od wzroku holenderskiego malarza, zahipnotyzowany geniuszem, który w pewien sposób zatriumfował nad jego szaleństwem.

Pytania stawiane przez van Gogha na płótnach jego autoportretów kazały Archibaldowi zastanowić się nad własną egzystencją. Kim był naprawdę? Czy w decydujących momentach życia podejmował słuszne decyzje? Czemu ma poświęcić resztę życia? A zwłaszcza zastanawiał się, czy kiedykolwiek będzie go stać na to, aby zrobić pierwszy krok w kierunku jedynej kobiety, która naprawdę się dla niego liczyła, i poprosić ją o wybaczenie?

– No, Vincencie? Zabieramy się do roboty? – spytał, patrząc na obraz.

Z powodu gry świateł wzrok van Gogha jakby zabłysnął silniej. Archibald zdecydował się potraktować to jako przyzwolenie.

– No to przygotuj się. Będzie trochę trzęsło! – uprzedził, zdejmując obraz ze ściany.

W tym samym momencie rozdzwonił się alarm. Ostry dźwięk wypełnił całe muzeum.

*

Siła alarmu spowodowała, że słyhać go było aż na ulicy.

Martin tylko na to czekał, żeby ruszyć do ataku. Otworzył drzwi samochodu, wydając ze skrytki służbową broń: był to dziewięciomilimetrowy, półautomatyczny pistolet marki Sig Sauer, w który wyposażeni byli obecnie prawie wszyscy żandarmi i policjanci francuscy. Sprawdził, czy jest w nim wszystkie piętnaście naboń, i wsadził go do kabury.

Obym tylko nie musiał się nim posłużyć! – pomyślał.

Brakowało mu treningu w użyciu broni. Od kiedy został przeniesiony do CBWPZ, nie oddał ani jednego strzału. W wydziale do zwalczania narkotyków posługiwał się pistoletem regularnie.

Przeszedł przez obydwie jezdnie dzielące go od podjazdu muzeum położonego prostopadle do nabrzeży Sekwany. Ulica de la Legion d'Honneur była wyludniona z wyjątkiem dwóch kloszardów śpiących w śpiworach u wejścia do podziemnych korytarzy RER-u linii C. Beaumont ukrył się za jednym ze słupów reklamowych i obserwował muzeum. Z głową uniesioną do góry zauważył przez lornetkę nowy sznur biegnący wzdłuż wschodniej fasady budynku, który pozwalała dotrzeć do jednego z balkonów pierwszego piętra.

Poczuł przyspieszone bicie serca.

Nie spóźniaj się, Archie. Już tutaj jestem. Czekam na ciebie!

*

Gdy tylko Archibald zdjął płótno ze ściany, kraty bezpieczeństwa opadły z zawrotną szybkością, zamykając odwrót po obu stronach pomieszczenia i uniemożliwiając ucieczkę. Ten sam system ochrony, nie tyle uniemożliwiający złoczyńcy dostanie się do środka, ile blokujący mu odwrót, zainstalowany był dziś we wszystkich wielkich muzeach świata.

W kilka sekund armia strażników zajęła najwyższe piętro muzeum.

– Jest tam, w pomieszczeniu numer trzydzieści cztery! – rzucił szef strażników, wkraczając na korytarz prowadzący do galerii.

Spokojnie i bez pośpiechu Archibald włożył maskę, cienkie okulary ochronne o niebieskawym odcieniu szkiele i wyciągnął z plecaka materiały, dzięki którym miał „zniknąć”.

Patrol zbliżał się, mijając prawie biegiem galerie impresjonistów. Kiedy strażnicy znaleźli się przed stalowymi kratami, zaskoczyły ich trzy odbezpieczone granaty rzucone na parkiet. Spanikowani zamarli. Po chwili granaty wybuchły, uwalniając fioletowy gaz. Natychmiast gęsty, ostry zapach wypełnił całe pomieszczenie, skrywając je we mgle cuchnącej spalonym plastikiem.

– A to drań, chce nas zagazować! – krzyknął szef strażników, cofając się kilkanaście kroków.

Wkrótce zareagowały detektory dymu i do panującego hałasu dołączył głośny dźwięk alarmu przeciwpożarowego. Natychmiast wokół pomieszczenia rozłożyła się metalowa stora, chroniąc obrazy przed potopem automatycznych gaśnic, które włączały się przy zbyt wysokiej temperaturze.

*

W tym samym momencie do komisariatu VII dzielnicy przyszła seria cyfrowych zdjęć z kamer zainstalowanych w muzeum Orsay. System teleochrony, który sygnalizował alarm w muzeum w policji, czasem włączał się przez pomyłkę, ale tym razem potraktowano go poważnie i bezzwłocznie trzy samochody policyjne ruszyły na sygnale w kierunku słynnego muzeum położonego na lewym brzegu Sekwany.

*

– Co ten facet wyrabia, do diabła! – zaklął szef ochrony muzeum, zasłaniając twarz chusteczką, żeby nie wdychać dymu. – Wyślijcie chłopaków bocznymi schodami. Nie wolno go stracić z oczu! – szczerknął do radiotelefonu.

Za prętami kraty widział tylko niewyraźnie poruszający się po sali van Gogha cień. Zanim dym zakrył całą galerię, przyjrzał się pomieszczeniu przez noktowizor. Nie było niebezpieczeństwa, że złodziej ucieknie: zauważył, że krata z drugiej strony sali również

opadła. Policja go złapie, gdy tylko odblokujemy wyjścia! – pomyślał zadowolony.

*

Niestety, nie zauważył cienkiego pręta z tytanu, który zablokował kratę na wysokości pięćdziesięciu centymetrów od podłogi...

*

Lekki uśmiezek pojawił się na twarzy Archibalda, kiedy czołgał się pod kratą, żeby opuścić muzeum tą samą drogą, którą wszedł. Zajęło mu to niecałe pięć minut.

Wystarczyło pięć minut, żeby wynieść z muzeum bezcenny obraz.

4.

Dwaj ludzie z miasta*

* Tytuł słynnego filmu w reżyserii José Giovanniego z roku 1973 z Jeanem Gabinem, Alainem Delonem i Mimsy Farmer w rolach głównych.

*Tylko wrogowie mówią sobie prawdę;
przyjaciele i kochankowie kłamią bez przerwy,
w pułapce pajęczyny obowiązku.*

STEPHEN KING

Archibald przebiegł przez dach i złapał linę, którą przyczepił do karabińczyka, po czym ześlizgnął się na balkon. Od razu przeszedł przez balustradę i znalazł się na grubej, szklanej szybie z matowego szkła nad wejściem do muzeum. Ze zręcznością pantery i prawie bez rozbiegu wykonał kilkumetrowy skok, żeby wylądować na placu przed muzeum.

Niezły numer, akrobato! – osądził Martin w myślach, wciąż oczajony za słupem ogłoszeniowym. Przygotował pistolet, gotów do akcji. Wreszcie osiągnął swój cel! Nie wiedział dlaczego, ale słynny złodziej jakby go opętał. Przysiągł sobie, że odkryje jego tajemnicę. Mimo braku jakichkolwiek informacji na temat McLeana

próbował sporządzić jego profil psychologiczny, starając się myśleć tak jak on, aby wyprzedzić jego decyzje i pojąć tok rozumowania. To nie była fascynacja. To było coś innego: trudna do zaspokojenia ciekawość i rodzaj więzi, jaka powstaje między przeciwnikami w szachach. Coś, co łączyło Broussarda z Mesrine'em, Rogera Borniche'a z Emilem Buissonem, Clarice Sterling z Hannibalem Lecterem...

Dobra, dość tych wygłupów! Wyjdź i złap wreszcie tego faceta! – zdenerwował się w myślach sam na siebie Martin.

Ale mimo to nie ruszał się z miejsca, pozostawał w roli obserwatora filmu, którego nie on był bohaterem. Teraz, gdy pogoń miała się zakończyć, czuł dziwną pustkę. Skąd to wahanie? Skąd ta potrzeba, ta niezdrowa chęć do zabawy w kotka i myszkę?

Czy żeby przedłużyć przyjemność? – zapytał sam siebie.

Archibald tymczasem nie tracił czasu. Szybki jak błyskawica na moment znikł za kioskiem z gazetami na ulicy de la Legion d'Honneur, aby wyjść stamtąd kompletnie odmieniony. Maskujący strój zastąpiła jasna marynarka i płócienne spodnie.

Jego umiejętność przebierania się to nie bujda – pomyślał Martin. Nie tylko strój, zmieniło się również zachowanie ściganego: ciężko szurał nogami i garbił się. W ciągu dziesięciu sekund przybyło mu z dziesięć lat.

Ale największa niespodzianka miała się dopiero wydarzyć.

To szaleństwo! – wykrzyknął w myślach Martin.

W świetle latarni ulicznych na oczach młodego policjanta złodziej wsiadł na veliba! Na jeden z dwudziestu tysięcy rowerów rozstawionych po całym mieście, które służby miejskie oferowały turystom i paryżanom. W ciągu kilku miesięcy szare rowery stały się symbolem stolicy. Najwyraźniej podobały się McLeanowi, nawet jeśli używał ich do swoich specjalnych celów, bo zanim wdrapał się na dach muzeum, starannie przypiął swój kłódką do latarni.

Kiedy koncert syren zapowiadał przybycie policji z komisariatu VII dzielnicy Paryża, Archibald był już na quai Anatole France. Martin zawahał się, czy brać swój samochód, po czym zrezygnował i pobiegł za nim, ale Archibald, który przejechał wzdłuż Sekwany i już zostawił za sobą gmach Assemblée Nationale, pedałowal teraz ku Ile de la Cité. Trzy samochody policyjne zatrzymały się na placu Henry de Montherlant, tuż przy wejściu do muzeum. Wysiadła z nich dziesiątka umundurowanych policjantów. Głównym wejściem wbiegli do środka.

Ani przez chwilę nie przeszło im przez myśl, że rowerzysta, którego minęli kilka chwil wcześniej, to człowiek, którego mają aresztować.

*

Zaskoczony Martin zastanawiał się, co robić. Archibald dojechał do chodnika biegnącego wzdłuż nabrzeży i pedałowal, nie spiesząc się specjalnie, w kierunku przeciwnym do ruchu ulicznego. Ani razu się nie odwrócił, żeby sprawdzić, czy nikt go nie ściga.

Martin, po przeciwnej stronie ulicy, nie zostawał daleko w tyle. Na szczęście velib był dobrze widoczny, miał na szprychach specjalne pasy odblaskowe, a także silne światła z przodu i z tyłu i dzięki temu nie stracił go z oczu. Poza tym ten miejski rower był specjalnie oporzędzony, miał zakryte grubymi metalowymi nakładkami kable i hamulce i musiał być bardzo ciężki. Trudno było na nim udawać Bernarda Hinaulta*.

* Bernard Hinault, słynny francuski kolarz, jako trzeci w historii wygrał pięć razy Tour de France.

Zaczął wiać silny wiatr, szarpiąc flagami zamocowanymi na budynku Caisse des Dépôts. Martin był spięty, ale panował nad sytuacją: nawet jeśli Archibald by go zauważył, nie mógł mu uciec. Nie przy odległości, która ich dzieliła. Martin prawie każdego ranka biegał aż do kompletnego wyczerpania, żeby zachować dobrą formę fizyczną. Gdyby Archibald nagle rzucił się sprintem do ucieczki, nie odbiegłby daleko. Niemniej Martin musiał uważać, żeby dystans między nimi zbytnio się nie powiększył.

Obaj mężczyźni minęli Pont Royal, oparty na pięciu łukach eliptycznych, który łączył ulicę de Beaune z Pavillon de Flore.

Archibaldowi najwyraźniej przypadła do gustu ta przejażdżka, pedałowal nonszalancko, rozkoszując się atmosferą nocnego Paryża jak turysta. Z przodu roweru był przymocowany na dwóch pałkach metalowy koszyk na zakupy. Archibald wsadził do niego worek marynarski koloru khaki, najwyraźniej świeżo kupiony w sklepie

z militariami. W tym worku znajdował się obraz van Gogha wart ponad sto milionów euro...

Przejeżdżając przez quai Voltaire, Archibald zwolnił jeszcze bardziej. Patrzył na galerie, na księgarnie, na wystawy eleganckich antykwariatów.

No tak, zabawiaj się teraz w turystę! – westchnął Martin w myślach.

Ale sam również poddał się urokowi dzielnicy. Nocą quai Voltaire wyglądało jak nie z tego świata, niewiele trzeba było wysiłku, żeby wyobrazić sobie nabrzeże sto lat wcześniej, w czasach gdy mieli tutaj pracownie Ingres czy Delacroix, kiedy Baudelaire w hotelu znajdującym się nieopodal pisał swoje *Kwiaty zła*...

Agresywna reklama na przystanku autobusowym sprowadziła Martina do rzeczywistości. Archibald przejeżdżał właśnie obok metalowych budek bukinistów. Niektóre z nich zostały najwyraźniej niedawno pomazane graffiti; wiadomości przekazywane przez ich autorów nie były specjalnie ambitne: „Dżamila, Kocham Cię”, „Régis to kretyn”, „Sarko* – faszysta”, „Ségo** jest tym dla polityki, czym Paris Hilton dla kultury”.

* Skrót od „Sarkozy”.

** Skrót od Ségolène Royale.

Tuż za Pont du Carrousel złodziej rzucił spojrzeniem fachowca na witrynę sklepu Senneliera, „Les Couleurs du quai”, który zaopatrywał w farby i płótno zarówno Cézanne’a, jak i Modiglianiego czy Picassa. Nieopodal dwóch wartowników gawędziło sobie

przed apartamentem byłego prezydenta Chiraca. Archibald minął ich z uśmiechem.

Potem jednak przestał zabawiać się w turystę i przyspieszył, choć nie tak, żeby mogło to zagrozić Martinowi. Na tym odcinku ulicy stało wiele latarni. Kiedy na horyzoncie zarysowała się forma metalowego Pont des Arts, ruch uliczny się zwiększył, bo na pasie dla autobusów pojawiło się kilka jadących dość szybko taksówek. Od strony nabrzeża Sekwany dwóch sprzątaczy czyściło pokład długiej barki przerobionej na restaurację. Zielono-biała ciężarówka Propreté de Paris* stała zaparkowana na chodniku z zapalonymi światłami postojowymi i pracującym silnikiem, ale, o dziwo, szofer gdzieś wyparował.

* Zakład oczyszczania miasta.

Teraz Archibald zaczął jechać zdecydowanie szybciej. Jak strzała minął kopułę Instytutu Francuskiego, zmuszając Martina do znacznego przyspieszenia. W głowie młodego policjanta zaczęła się gonitwa myśli. Czy zatrzymać McLeana od razu teraz, czy zaryzykować i biec za nim jak najdłużej? Nawet gdyby Archibald znalazł się za kratkami, nic nie gwarantowało odnalezienia jego wspaniałych łupów i odzyskania dziesiątek płócien, na których położył łapę. W wyobraźni Martina pojawił się obraz Aiguille Creuse, tej mitycznej kryjówki Arsène'a Lupina urządzonej w skałach Étretat, w której ów złożył swój skarb: *Gioconde*, najświetniejsze płótna Botticellego, najbardziej ponure obrazy Rembrandta... z pewnością McLean nie miał czego mu zazdrościć.

To ja go nakryłem. Jestem od niego silniejszy. Mogę go zatrzymać obojętnie kiedy... – pomyślał Martin.

Pod gęstymi drzewami quai de Conti Archibald znów zwolnił, co ucieszyło Martina. Sekwaną sunęła motorówka straży wodnej, nabrzeża patrolował radiowóz, ale policja szukała raczej kloszardów niż włamywaczy. Archibald nawet w ich kierunku nie spojrzał i spokojnie jechał dalej ku Ile de la Cité.

Kiedy na horyzoncie pojawił się zarys Pont Neuf, Martin po raz pierwszy zadał sobie pytanie, czy w tym polowaniu na człowieka łupem nie jest przypadkiem on?

*

Na quai des Grands Augustins złodziej zostawił rower przy fontannie Wallace'a, na której cztery kariatydy podtrzymywały z wdziękiem żeliwny wazon zdobny w delfiny i różne rzeczne bóstwa.

Archibald wziął swój worek i zawiesił go na ramieniu, po czym wszedł na Pont Neuf. Zaskoczony Martin znów jakby odruchowo wyciągnął pistolet, ale nie miał innego wyjścia, jak ruszyć za Archibaldem po tym samym chodniku, będąc na widoku.

Ze swymi półkolistymi balkonami i setkami fantastycznych sylwetek zdobiących gzymsy najstarszy most paryski jest również najbardziej czarowny. Dwanaście kamiennych przęseł łączy dwa brzegi Sekwany, kreśląc elegancką złamaną linię, której najwyższy punkt znajduje się na centralnym placyku, przy końcu Ile de la Cité.

Most był dziwnie wyludniony, wiał silny wiatr. Archibald, prawdziwy kameleon, nagle odzyskał gibkość i kondycję. Znikł gdzieś emeryt cyklista, za którym biegł Martin do tej pory. W kilka sekund Archibald minął dwa pierwsze przęsła mostu.

Bez tchu, zlany potem, ze zgiętą ręką, w której trzymał pistolet zwrócony lufą ku ziemi, Martin spanikował. Może z drugiej strony mostu czeka na Archibalda samochód? Może nagle jakiś wspólnik przyjdzie mu z pomocą? Tym razem ryzyko, że Archibald mu ucieknie, było zbyt duże, żeby kontynuować śledzenie go. Martin odbezpieczył pistolet i wykrzyknął:

– Stój, policja!

Złodziej nagle zwolnił.

– Stój, bo strzelam! – Martin chciał wykorzystać efekt zaskoczenia.

Nie musiał powtarzać rozkazu, bo Archibald się zatrzymał. Po raz pierwszy Martin mógł mu się przyjrzeć.

Archibald był dobrze zakonserwowanym, mającym około sześćdziesięciu lat mężczyzną. Jego szpakowate włosy i krótko ostrzyżona broda błyszcząły w świetle nocy. W zielonych bardzo jasnych oczach migotały figlarne błyski, rozświetlając twarz o regularnych rysach, na której widać było kilka ciemnych cieni, resztki charakteryzacji. Nic w tym spojrzeniu nie zdradzało zaskoczenia ani strachu. Przeciwnie, Archibald był spokojny i jakby lekko rozbawiony.

– Witaj, Martinie. Piękna noc, prawda?

Młody policjant poczuł, że krew ścina mu się w żyłach.

Cholera, skąd on mnie zna? – pomyślał w panice, starając się nie zdradzić zmieszania.

– Nie pytam pana o nic! Proszę postawić worek na ziemi!

Archibald puścił worek, który spadł i leżał teraz przy jego stopach. Martin zauważył na nim znak Royal Air Force.

Skąd on wie, że... – zakołatało mu w głowie.

– Miałeś szansę, ale ją przegapiłeś – stwierdził złodziej.

Archibald mówił niskim głosem i miał lekki szkocki akcent, zwłaszcza przy wymawianiu „r”. Martin pomyślał o głosie Seana Connery'ego, który z dumą obnosił akcent swego ojczystego kraju niezależnie od narodowości postaci, którą w danym momencie grał.

– Proszę wyciągnąć ręce w moim kierunku! – krzyknął Martin, wyjmując kajdanki z kieszeni kurtki.

Tym razem Szkot nie posłuchał.

– Zrobiłeś jeden błąd, ale najgorszy, jaki mogłeś. Zostawiłeś sobie możliwość przegranej, mimo że mogłeś wygrać. Wahanie jest zawsze fatalne...

Martin stał jak sparaliżowany. Przeraziła go ta nagła zamiana ról.

– Pechowcy zawsze przegrywają z powodu własnych błędów, a nie przez przeciwników, ale to chyba już wiesz – ciągnął Archibald.

Wiatr wiał coraz silniej. Nagły powiew wzniosł w powietrze chmurę kurzu, zmuszając Martina do zakrycia twarzy. Niewzruszony McLean mówił dalej:

– Czasem jest łatwiej przegrać, niż zapłacić cenę, którą kosztuje zwycięstwo, prawda?

Ponieważ Martin milczał, Archibald powiedział z naciskiem:

– Przyznaj się przynajmniej, że zadałeś sobie to pytanie.

– Jakie pytanie? – zapytał Martin, mimo że nie chciał się odzywać.

– „Gdybym dziś zaaresztował McLeana, jaki sens miałyby moje życie jutro rano?”.

– To „gdyanie” nie ma sensu. Aresztuję pana dziś. Teraz.

– No, synku, przyznaj, że masz w życiu tylko mnie.

– Nie jestem pana synkiem, okay?

– Nie masz żony, dzieci, od wieków nie byłeś w stałym związku. Rodzice? Obydwoje nie żyją. Koledzy? Większością z nich pogardzasz. Zwierzchnicy? Uważasz, że nie doceniają twojej pracy.

Mimo że Archibald patrzył w lufę wycelowanego w niego pistoletu, zachował zadziwiającą pewność siebie. Martin miał do dyspozycji broń, Archibald – tylko słowa. Ale w tej chwili słowa odnosiły większy skutek niż pistolet.

Oczy Archibalda zabłyśły. Biła z niego dziwna mieszanka bezwzględności i elegancji.

– Przyznaj, chłopcze, że tym razem przeceniłeś swoje siły.

– Nie sądzę – skłamał Martin.

Starł się dodać sobie odwagi, ściskając mocno pistolet, który

zdawał się ważyć tonę i wyślizgiwał mu się ze spoconej dłoni, mimo że uchwyt sig sauera był specjalnie chropowaty.

– Dziś wieczorem powinieneś mieć wsparcie kolegów! – dobił go Archibald.

Podniósł płócienny worek leżący u jego stóp, jakby nadeszła chwila rozstania, i wyjął z niego autoportret van Gogha, po czym wystawił rękę z obrazem za balustradę mostu.

– Sytuacja wygląda następująco: albo będziesz miał obraz, albo mnie! – uprzedził, udając, że wrzuca płótno do rzeki.

Martin padł w panikę. Wpatrywał się w obraz, który błyszczał hipnotyzującym błękitem.

Coś tu nie grało. Wiedział, że Archibald był estetą, prawdziwym koneserem. Nigdy nie zniszczyłby dzieła sztuki, nawet gdyby w grę wchodziło własne bezpieczeństwo. Prawda, że w zeszłym roku manifestacyjnie zaprotestował przeciw wystawie Jeffa Koonsa w Pałacu Wersalskim. Domowym sposobem zrobiona bomba umieszczona w wielkim homarze zawieszonym w jednej z sal rozbiła rzeźbę współczesnego artysty w drobny mak. Ale Jeff Koons to jednak nie był Vincent van Gogh...

– Nie wygłupiaj się, McLean!
– Niełatwy wybór, prawda?
– Nie ośmieli się pan! – rzucił Martin. – Znam pana lepiej, niż pan myśli.

– W takim razie... *hasta la vista*, synku! – wykrzyknął

Archibald, rzucając obraz w ciemne wody rzeki jak najdalej mógł.

Przerażony Martin wskoczył na występ zakrywający gzyms mostu. Z powodu wiatru Sekwana była wzburzona niczym niespokojne morze. Martin od zawsze nienawidził pływania i od czasu egzaminu na oficera policji, który ledwo zaliczył w tej dziedzinie, nie zamoczył stopy w basenie. Ale tej nocy nie miał innego wyjścia.

Wziął głęboki oddech i skoczył w czarną wodę.

Życie van Gogha było w jego rękach.

*

Archibald przeszedł przez drugą część mostu, po czym skierował się przed Luwr, gdzie stał zaparkowany elegancki, zabytkowy, angielski samochód w doskonałym stanie. Zasiadł za kierownicą i ruszył w kierunku quai François Mitterrand. Po chwili znikł w nocnym mroku.

5.

Kochankowie z Pont Neuf

*Szkoda, że nie miałem dwóch serc:
jednego nieczulego, drugiego
– wciąż zakochanego. To zakochane
powierzyłbym tym, dla których biło,
a sam szczęśliwie żyłbym z tym pierwszym.*

AMIN MAALOUF

Quai Saint Bernard, 3.20

– Ruszać się, chłopaki! Wezwanie na Pont Neuf!

Kapitan Karine Agneli weszła do pomieszczenia, w którym odpoczywali policjanci, w głównej kwaterze paryskiej straży rzecznej.

– Diaz i Capella, idziecie ze mną. Jakiś facet rzucił się do wody.

Obaj porucznicy poszli za swoją szefową i kilka chwil później wsiadali na pokład kormorana, jednej z motorówek patrolujących nabrzeża Sekwany.

Motorówka zdawała się ślizgać po falach, w których odbijało się złote światło latarni miejskich.

– Do cholery z tymi samobójcami! – zaklął Diaz. – To już czwarty w tym tygodniu.

– Dlaczego nie rzucają się pod pociągi? – westchnął Capella.

– Dość tych głupich żartów! – objechała ich Karine.

Faktycznie mosty paryskie przez cały rok przyciągały różnych desperatów, mobilizując brygadę, której udawało się udaremnić około setki samobójstw rocznie. Ale latem, kiedy nad rzeką spacerowały tłumy, interwencje policji były znacznie częstsze. Po głupich zakładach na zakrapianym wieczorze czy po akcji „Paris plage” coraz więcej ludzi skakało do rzeki. Tymczasem mimo obietnic jeszcze poprzedniego burmistrza kąpiel w Sekwanie nadal była zabroniona. Przy tak natężonym ruchu na rzece wciąż istniało ryzyko wpadnięcia pod którąś z łodzi. Nie mówiąc już o ryzyku złapania leptospirozy*, która mogła spowodować paraliż, a nawet śmierć.

* Leptospiroza – choroba zakaźna człowieka i zwierząt wywołana przez leptospiry, bakterie przenoszone przez szczury.

Motorówka płynęła dalej – quai d'Orléans, przystań Saint Michel, quai des Orfèvres – po czym zwolniła przy Pont Neuf.

– Widzisz coś? – spytał Capella.

– Kurwa, gdzie jest ten kretyn? – rzucił Diaz.

Nie odrywając oczu od lornetki, Karine Agneli starała się zachować spokój. Chłopaki byli dziś podenerwowani. W zeszłym tygodniu na wysokości quai de la Tourelle jeden ze statków Kompanii Bateaux Mouches wszedł w kolizję z motorówką wynajętą

przez turystów. Przygnieciony do filaru mostu statek turystyczny poszedł na dno. Brygada policyjna interweniowała natychmiast, ale niewystarczająco szybko, żeby uratować jedno z dzieci. Trzylatek utonął. Żaden z policjantów straży rzecznej nie popełnił błędu. Niemniej śmierć dziecka zostawiła po sobie traumę w całym oddziale.

– Widzę go! – wykrzyknęła Karine, wskazując palcem w kierunku skweru du Vert Galant.

Motorówka policyjna powoli podpłynęła do brzegu.

– Zostawcie to mnie! – rzuciła młoda kobieta, zapinając kombinizon pływacki.

Zanim mężczyźni zdążyli zaprotestować, już wskoczyła do wody i zaczęła płynąć pięknym kraulem. Wystarczyło jej kilka sekund, żeby przyjść z pomocą mężczyźnie, który z trudem płynął do brzegu.

Kiedy podpłynęła blisko do niego, zobaczyła, że trzymał się jakiegoś obrazu jak deski do pływania.

*

– Jesteście zwykłymi amatorami! Daleko wam do prawdziwych fachowców!

Groźnie wyciągnięty palec wskazujący pani minister spraw wewnętrznych wskazywał na dyrektora muzeum, jego szefa ochrony, dyrektora policji i szefa CBWPZ. W ciągu niecałej pół godziny zwołano specjalne zebranie na terenie muzeum Orsay.

– Tak dłużej być nie może! – krzyczała pani minister.

Kobieta, która jako pierwsza imigrantka, urodzona i wychowana

w trudnych warunkach przedmieść, doszła do tak odpowiedzialnego stanowiska, wskutek ciągłego zainteresowania mediów stała się swoistą ikoną republiki. Inteligentna i ambitna, symbolizowała otwartość na idee lewicowe i nowoczesność. Znana była ze swej szczerości i z absolutnej lojalności wobec prezydenta, który czasem nazywał ją francuską Condoleeza Rice.

– Jesteście beznadziejni, to straszne!

W szarym kostiumie marki Paul Smith i w białej koszuli z kolekcji „agnès b.” od pięciu minut chodziła wte i wewte po galerii poświęconej van Goghowi, złościąc się na tych, których uważała za winnych ostatniej kradzieży. Hebanowe włosy gładko opadały wokół jej oczu podczernionych kredką i rzucających zimne, ostre jak kryształ spojrzenie. Przy niej minister kultury nie śmiał pisnąć słowa.

– Zupełnie tak jakby bawiło was to, że ten złodziej po prostu z was szydzi! – mówiła minister podniesionym głosem, wskazując na wizytówkę, którą Archibald McLean przypiął do ściany w miejsce autoportretu van Gogha.

Wypełniona przez policję długa galeria poświęcona impresjonistom zmieniła się w drugi komisariat. Wszystkie stalowe kraty zostały podniesione, a agresywne światło reflektorów zastąpiło łagodne błękitne oświetlenie, które zazwyczaj włączano w nocy. W sali Renoira inspektorzy z trzeciego wydziału policji śledczej przesłuchiwali personel ochrony muzeum. W sali Moneta inni oficerowie przeglądali na kontrolnym ekranie obrazy zarejestrowane przez

kamery przemysłowe, a ekipa policji kryminalnej odgrywała odcinek serialu *Eksperci* w sali van Gogha.

– Jak najszybciej należy odnaleźć ten obraz! – rzuciła zimno minister. – Stawką są wasze kariery.

*

Wspaniały srebrny db5 jechał trasą Georges'a Pompidou. Był to samochód z innej epoki, z lat sześćdziesiątych, złotego wieku astona martina. Archibald, siedząc za kierownicą tego cudu, czuł się, jakby żył w innym świecie, tym, który już znikł: w świecie prawdziwego brytyjskiego luksusu. Samochód był elegancki, ale bez ostentacji, sportowy, ale nie nachalny, wyrafinowany, ale męski. Taki jak on sam.

Lekko przyspieszył, minął quai de la Râpée, Pont de Bercy i wjechał na obwodnicę. Jak na zabytek stary db5 jechał bardzo dobrze. Archibald, który uważał samochody za dzieła sztuki, siadał za kierownicą wyłącznie egzemplarzy wyjątkowych. Ten, który teraz prowadził, miał szczególną historię, gdyż grał w pierwszych filmach z serii *James Bond*: w *Operacji Piorun* i w *Goldfingerze*. Wyprodukowany w czasach, kiedy filmy nie były jeszcze zaśmiecone efektami specjalnymi uzyskanymi za pomocą komputera, samochód zachował arsenał gadżetów utrzymywanych w stanie używalności przez kolejnych właścicieli: karabiny maszynowe ukryte w migaczach, obracające się tablice rejestracyjne, system ekranów dymnych, pancerną przednią szybę, mechanizm do wylewania na szosę oleju i wysypywania gwoździ, ukryte ostrza do dziurawienia opon ścigającym...

Dwa lata wcześniej podczas historycznej transmitowanej na cały świat licytacji samochód został sprzedany za ponad dwa miliony dolarów tajemniczemu biznesmenowi szkockiemu.

*

– Martin Beaumont! – wykrzyknęła Karine Agneli jeszcze w wodzie.

Dwaj oficerowie ze straży rzecznej, Diaz i Capella, pomogli Martinowi dostać się na motorówkę patrolową i podali mu koc.

– Co ty robisz w Sekwanie w środku nocy, używając obrazu jako deski do pływania? – spytała młoda kobieta, chwytając dłoń jednego ze swoich podwładnych i wdrapując się na pokład.

Młody policjant, szcękając zębami, owinął się kocem. Zmrużył oczy i popatrzył w kierunku, z którego dobiegł do niego znajomy głos.

Krótkie, jasne włosy, drobne piegi, sylwetka wysportowana i wysmukła – Karine Agneli nie zmieniła się. Jak zawsze była ładna, pełna entuzjazmu i wesoła. Dokładne przeciwieństwo Martina. Swego czasu przez dwa lata pracowali razem w wydziale do zwalczania narkotyków. Karine była jego partnerką w wielu misjach infiltracyjnych. W owym czasie praca w terenie pochłaniała ich całkowicie. Wkładali w nią całe serce. Był to okres jednocześnie wspaniały i straszny. Granie roli tajnych agentów ujawniało te strony własnej osobowości, których człowiek wolałby nie znać, i zmuszało do ryzykownych wypraw tam, skąd trudno było wrócić bez

uszczerbku. Aby nie pójść na dno, zakochali się w sobie czy też wczepili w siebie kurczowo. Związek ich miał momenty fantastyczne, ale nigdy nie osiągnął etapu stabilizacji.

Przez moment gorzkie wspomnienia pchane złą siłą wypłynęły na powierzchnię. Ich romans był tym, co znali najlepszego, ale i najgorszego. Jak narkotyk.

Karine patrzyła na Martina w świetle latarni. Krople wody z włosów osiadały mu na trzydniowym zarostwie. Karine dostrzegła to, że schudł i że był zmęczony, mimo iż twarz zachowała chłopięcy wyraz.

Martin poczuł na sobie jej wzrok.

– Wiesz, że wyglądasz diabelnie seksownie w tym kombinezonie? – powiedział.

Za całą odpowiedź Karine rzuciła mu w twarz ręcznik, którego on użył, żeby delikatnie obetrzeć autoportret van Gogha.

Karine była piękna niczym syrena i wyglądała na kobietę, która jest całkowicie zadowolona ze swego życia. Tak jak Martin zrezygnowała ze służby w wydziale do zwalczania narkotyków na rzecz pracy mniej rujnującej psychicznie i fizycznie. W oczach zwykłych ludzi funkcjonariusze ze straży rzecznej byli bardziej ratownikami niż prawdziwymi policjantami i dlatego traktowano ich z większym szacunkiem.

– Czy to jest oryginał? – spytała Karine, siadając obok Martina.

Przesuwając się po wodzie powoli, jak prywatny jacht, motorówka policji minęła Wyspę Świętego Ludwika i zbliżała się do

przystani Saint Bernard. Martin się uśmiechnął.

- Czy mówi ci coś nazwisko Archibald McLean?
- Ten włamywacz? Oczywiście.
- Miałem go na muszce! – rzucił Martin z hamowaną wściekłością.
- To on wrzucił cię do wody?
- Można tak to nazwać.
- To dziwne, bo... Karine zawiesiła głos.
- Bo co?
- Facet, który zadzwonił i zawiadomił nas o twoim skoku do wody, tak się właśnie przedstawił: Archibald.

*

Czysty, pozbawiony zbędnych ozdób kształt astona martina przecinał noc z dużą prędkością. Archibald za kierownicą rozkoszował się luksusem cennego drewna i dywaników z czystej wełny. Obok niego na siedzeniu pasażera, obitym spatynowaną skórą, leżała torba w kolorach Royal Air Force, którą zachował z czasów swojej służby wojskowej.

Przed chwilą na Pont Neuf w starciu z tym młodym policjantem poczuł adrenalinę. Była to jakaś nieoczekiwana emocja, której źródeł nie rozumiał. Ten młody człowiek, sprawiający wrażenie zuchwalego, poruszył czułą strunę w jego duszy. Zapamiętał zwłaszcza spojrzenie policjanta. Był to smutny wzrok samotnika, którego życie jeszcze niczego się nauczyło.

Zagłębiony w myślach Archibald dotarł do autostrady A6 – drogi

prowadzącej na południe, do kraju słońca. Nacisnął na gaz, sześć cylindrów zawarczało, uwalniając energię dwustu osiemdziesięciu koni. Archibald lubił szybką jazdę, wtedy czuł, że żyje.

*

Karine i Martin wyskoczyli razem na brzeg przystani Saint Bernard.

– Musisz mnie zawieźć do muzeum Orsay – odezwał się Martin.

– Najpierw się przebierz, jesteś cały przemoczony. Poproś Cappelę, da ci coś na zmianę, a ja przyprowadzę samochód.

Martin poszedł za porucznikiem w kierunku budynku ciągnącego się wzdłuż nabrzeża. Kiedy stamtąd wyszedł, poczuł się dziwnie w uniformie z lat osiemdziesiątych, który dostał od znajomego policjanta. Jaskrawoniebieska koszulka polo, granatowe spodnie z poliestru, wiatrówka w rozmiarze XXL – wszystko to przypominało bardziej przebranie aniżeli mundur do akcji.

Podjechał do niego pick-up marki Land-Rover wyposażony w grube zderzaki i wyciągarkę.

– Wsiadaj!

Karine otworzyła drzwi po stronie pasażera.

– Szykownie się prezentujesz!

– Zlituj się, błagam!

Terenówka ruszyła z piskiem opon.

Płynnie dojechali pod muzeum, ale do budynku nie było dostępu. Plac Henry de Montherlant wypełniony był po brzegi

policyjnymi renaultami scenie i peugeotami 307 oraz wozami transmisyjnymi reporterów.

– No, popisz się! – zażartowała Karine, zatrzymując się przy podjeździe.

Martin kiwnął głową w podzięcie za podwiezienie. Gdy wysiadł, Karine zatrzymała go.

– Wciąż nosisz ten zegarek! – Wskazała brodą na posrebrzanego speedmastera, którego podarowała mu pięć lat wcześniej.

– A ty ten pierścionek! – odpowiedział.

Prawa dłoń młodej kobiety przebiegła delikatnie po kierownicy i trzy połączone ze sobą obrączki Trinity, złoto różowe, białe i żółte, błysnęły w pierwszych blaskach słońca.

Obdarowali się niegdyś po królewsku, biorąc pod uwagę głodowe pensje policjantów, którymi dysponowali. W owym czasie prezenty te pochłonęły wszystkie premie i jeszcze więcej. Ale nie żalowali swego gestu.

Przez kilka sekund obydwójgu wydało się, że może ich romans nie jest skończony. Przypadek znów ich połączył w dziwnych okolicznościach. Być może to był znak. A może nie...

Potem wrażenie to znikło. Martin pchnął drzwi samochodu i wyszedł z obrazem pod pachą. Zanim przeszedł przez ulicę, ostami raz popatrzył na land-rovera. Karine spuściła szybę i rzuciła do niego z uśmiechem:

– Pilnuj swego zgrabnego tyłeczka, Martin, i naucz się pływać. Nie zawsze będę w pobliżu, żeby cię wyłowić!

*

– Banda frajerów, oto kim jesteście!

Martin zbliżał się do sali van Gogha, kiedy usłyszał terkotliwy głos pani minister spraw wewnętrznych. Stał na progu pomieszczenia, w którym przejmującą ciszę przerywały co chwila inwektywy spływające z jej ust.

– Banda nierobów, kretynów...

Martin zauważył znajomą sylwetkę swojego szefa, porucznika Loiseaux, jak również skrzywioną twarz dyrektora biura śledczego, którego widywał, kiedy pracował na quai des Orfèvres. Z ich prawej strony stał Charles Rivière, dyrektor generalny muzeum Orsay.

– ...banda nieużytecznych leni!

Trzej mężczyźni mieli niewyraźne miny i żaden z nich nie śmiał się odezwać i przerwać pani minister potoku wyzwisk. Aby znaleźć się na swoich stanowiskach, musieli nauczyć się sztuki podlizywania i znosić obelgi bez drgnięcia powiek.

– Ruszcie się wreszcie! Proszę natychmiast odnaleźć ten cholerny...

– Ten cholerny obraz jest tutaj! – rozległ się głos Martina, który ruszył w kierunku pani minister.

Oczy wszystkich obróciły się ku niemu, podczas gdy stał pośrodku pomieszczenia, trzymając płótno na wysokości głowy, tak jak przedtem Archibald na moście.

Minister, zaskoczona, popatrzyła na niego spod zmarszczonych brwi.

– Kim pan jest? – spytała wreszcie.

– Kapitan Martin Beaumont z CBWPZ.

Charles Riviere rzucił się ku niemu, żeby wyrwać mu z rąk obraz.

Martin postanowił być szczery. Zaczął opowiadać, jak to rozpoznał sposób działania McLeana, co zachęciło go do zaczajenia się przed budynkiem muzeum, żeby złapać złodzieja na gorącym uczynku. Młody policjant nie był naiwny i nie oczekiwał pochwał. Nie udało mu się przecież zatrzymać Archibalda, ale po raz pierwszy pokrzyżował mu szyki.

Kiedy skończył relacjonować wydarzenia ostatniej nocy, zapadła cisza. Minister popatrzyła na Loiseaux, który zaczął krzyczeć, aby odzyskać rezon.

– Gdyby pan zawiadomił nas na czas, Beaumont, moglibyśmy schwytać McLeana! Ale nie, pan wołał pracować sam. Zawsze pan pogardzał kolegami!

– Gdyby nie ja, to nie byłoby obrazu! – zaczął się bronić Martin.

– Niech pan nie myśli, że ujdzie to panu na sucho, kapitanie!

Minister uniosła rękę i rzuciła Loiseaux mordercze spojrzenie, nakazując milczenie. Nie interesowały jej wewnętrzne konflikty w policji, za to wiedziała, jak może odwrócić sytuację na swoją korzyść. Będzie musiała dziennikarzom przedstawić tego młodego policjanta jako bohatera. Policja francuska odzyskała płótno w rekordowo krótkim czasie. To trzeba będzie podkreślić, a nie jakieś tam kłótnie w wydziale śledczym. Nie ma żadnej potrzeby kłamać, po prostu nie trzeba mówić całej prawdy. Trzeba zachować się dyplomatycznie. A na dodatek ten Martin Beaumont jest całkiem przystojny. Media będą go uwielbiać. W rezultacie niepowodzenie w zatrzymaniu McLeana zmieni się w piękną reklamę dla policji,

a więc i dla niej. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, może nawet ona znajdzie się na okładce „Paris Matcha”... Włoży do zdjęcia dzinsy i kurtkę motocyklową i będzie pozować z jednej strony z odzyskanym van Goghiem, a z drugiej z grupą najprzystojniejszych policjantów.

Ta zachęcająca perspektywa została nagle rozwiana, kiedy dyrektor muzeum odezwał się zmieszany:

- Jest mi przykro, Beaumont, ale dał się pan nabrać.
- Jak to? – zdenerwował się Martin.
- Obraz jest doskonały, ale fałszywy.
- To niemożliwe! Na własne oczy widziałem, jak wyjął go z plecaka, i ani na chwilę nie spuściłem go z oczu.
- Niech pan sam spojrzy na podpis.
- Na podpis? Jaki podpis?

Van Gogh nigdy nie podpisywał autoportretów.

Martin nachylił się nad obrazem postawionym na sztaludze. Vincent van Gogh podpisał bardzo mało swoich obrazów – nawet nie jeden na siedem – a kiedy to robił, na przykład w przypadku *Stoneczników*, podpisywał je zawsze tylko imieniem. Na obrazie, który miał przed oczyma, to nie w imię „Vincent” układały się małe podskakujące wesoło literki, ale w inne imię:

Archibald

*

Aston martin zjechał z autostrady prowadzącej do Fontainebleau i skręcił do Barbizon. Archibald popatrzył na zegarek. Nie mógł

powstrzymać uśmiechu, myśląc o tym, jaką będzie miał minę chłopak, kiedy zauważy oszustwo. Ostrożnie otworzył wielką płócienną torbę stojącą obok niego tak, żeby popatrzeć na wystający fragment płótna, tym razem prawdziwego. Niezły żart, Vincent, co? – rzucił w myślach do portretu.

Światło latarni ulicznej odbijało się w zmęczonym spojrzeniu malarza. Stosunki Archibalda z dziełami sztuki, które wykradał, były skomplikowane. Nigdy nie czuł się tak naprawdę właścicielem skarbu. Nie obrazy należały do niego, lecz on do obrazów. Trudno mu było przyznać się do tego przed samym sobą, ale wiedział, że złodziejska profesja zaczęła na niego działać jak narkotyk. Co jakiś czas odzywała się potrzeba zorganizowania następnej. Jego ciało i mózg żądały przywłaszczenia sobie kolejnego dzieła sztuki, przeżycia kolejnej przygody, doświadczenia kolejnego niebezpieczeństwa.

Radio nadawało nagranie Glenna Goulda, który na swój genialny sposób interpretował *Wariacje goldbergowskie*. Archibald zmusił się, żeby jechać wolniej, nie chciał zbyt szybko dojechać do celu i przerwać magiczną chwilę, którą właśnie przeżywał. Spacer przy świetle księżycy z van Goghem i Bachem – czyż można wyobrazić sobie coś przyjemniejszego?

Aby szczęście jego było całkowite, wydobyl z wewnętrznej kieszeni płaszcz srebrną flaszkę z czterdziestoletnią szkocką whisky.

– Twoje zdrowie, Vincencie! – rzucił, pociągawszy łyk boskiego nektaru.

Alkohol wywołał przyjemne pieczenie w przełyku. Nagle poczuł wiele smaków: smak palonych migdałów, czarnej czekolady, kardamonu...

Potem skupił się na prowadzeniu. Na wysokości Bois Dormant skręcił z głównej drogi na dróżkę wiejską. Po przejechaniu kilku kilometrów, na granicy lasu Fontainebleau i miasta Malesherbes, dotarł do posesji otoczonej murem. Przyciskiem pilota otworzył bramę i samochód zagłębił się w aleję przecinającą park, prowadzącą do pięknego kamiennego domu z połowy dziewiętnastego wieku, obrośniętego bluszczem i otoczonego stuletnimi kasztanowcami. Wszystkie okiennice w domu były zamknięte, ale miejsce nie wyglądało na opuszczone: żywopłoty były ostrzyżone, a trawnik przycięty.

Zaparkował astona martina w dawnych stajniach zamienionych w użytkową halę. Stały w niej terenowy motocykl, stary, wojskowy jeep, przedwojenny motocykl z przyczepą oraz matuzalemowe bu-gatti rozebrane na części. Ale najwięcej miejsca zajmował najnowszy czarno-bordowy model helikoptera Colibri. Archibald sprawdził poziom paliwa w baku helikoptera, a następnie wyprowadził maszynę z hangaru za pomocą specjalnego wózka. Kiedy siedział już w przy sterach, włożył kask i zapalił motor. Gazu dodawał stopniowo. Ustawił helikopter przodem do wiatru i pozostało mu tylko nacisnąć na przycisk na drążku sterowym, żeby wzlecieć w powietrze.

– Rozejrzyj się wokół, Vincencie! Jestem pewien, że spodoba ci się świat widziany z góry.

6.

Paryż się budzi

*Wieży Eiffla zimno w nogi
Łuk Triumfalny budzi się (...)
Nieszczęśliwi ludzie wstają
aja się kładę
piąta rano
Paryż się budzi
piąta rano
Nie jestem śpiący.*

Słowa piosenki JACQUES'A LANZMANNA
i ANNE SÉGALEN
do muzyki JACQUES'A DUTRONCA

Quai Anatole France, 05.02

- Hej! To mój samochód!
- Martin wyszedł z muzeum i zobaczył, jak policja odholowuje jego stare audi.
- Co robicie! – krzyknął na policjanta wypisującego mandat.
- Przykro mi, proszę pana, ale zaparkował pan na pasie dla autobusów i właśnie bierzemy na hol pana samochód.

– Jestem policjantem! Pracowałem, śledziłem kogoś, jadąc tym samochodem!

– Ten samochód do nas nie należy! – zauważył policjant. – Standardowa kontrola nie wykazała tego wozu.

– Dobrze, ale teraz ja tu jestem. Proszę oddać mi samochód.

– Jeśli jest pan policjantem, zna pan procedurę: żeby przerwać odholowanie samochodu na parking policyjny, trzeba zapłacić mandat i wszystkie koszty związane z transportem.

Martin popatrzył na swoje stare audi TT z dziewięćdziesiątego ósmego roku. Uchwycone przez zęby holownika wyglądało na swój wiek, a nawet na starsze: wgniecione drzwi, podrapana karoseria... Wszystkie te blizny pochodziły z okresu, kiedy pracował w wydziale do zwalczania narkotyków. Wbrew przepisom zawsze używał w pracy swojego samochodu zamiast beznadziejnych citroenów policyjnych. Z tyłu audi był nawet ślad po kuli, pamiątka po ostrej akcji zakończonej aresztowaniem groźnego dealera. Może nadszedł czas na wymianę samochodu? Nawet miał na to ochotę, tylko nie za bardzo miał pieniądze.

– Dobrze, zapłacę... – powiedział z westchnieniem.

Pogrzebał w kieszeni wiatrówki, ale nie mógł znaleźć portfela, który został w przemoczonej kurtce zdjętej na posterunku straży rzecznej.

Z rezygnacją wziął z rąk policjanta raport z opisem zabieranego samochodu i popatrzył za odjeżdżającą ciężarówką.

Wywrócił kieszenie. Ani grosza. Nie mówiąc już o taksówce, nie miał nawet na metro. Trudno, czeka go poranny spacer po Paryżu.

Są takie dni...

*

Helikopter Colibri leciał nad normandzkimi wioskami.

Maszyna miała przestronną kabinę zapewniającą wysoki komfort lotu i doskonałą widoczność. Poza tym aerodynamiczny rotor w ogonie powodował, że była bardzo cicha.

Archibald włączył automatycznego pilota i napił się whisky. Zamknął oczy, żeby całkowicie się odprężyć. Nie było to zbyt rozsądne, ale w jego życiu niewiele było rozsądku, więc...

Po godzinie lotu znalazł się nad Mont Saint Michel, potem nad Saint Malo. Kiedy minął zatokę Saint Briec, zachwyciły go pejzaże północy, Finistère, gdzie było pełno piaszczystych plaż, zatoczek, małych przystani, a potem na wysokości Roscoff zauważył wyspę Batz. Sygnał GPS-u uświadomił mu, że znajduje się niecałe trzy minuty od celu podróży. Wyłączył automatycznego pilota, podszedł do lądowania od zachodu i osiadł na zalesionym terenie jednego z piękniejszych domów na wyspie. Zbudowany na skale wychodził na zatoczkę, w której znajdował się długi ponton z dwoma obręczami do cumowania i garaż z pochylnią.

Archibald zatrzymał się na bretońskiej ziemi tylko na kilka

minut, żeby nabrać paliwa. Odetchnął orzeźwiającym powietrzem pełnym jodu i poleciał w stronę Szkocji.

*

Wykończony Martin włókł się bulwarem Raspail. Noc była długa, pełna emocji i zakończona porażką. Myślał, że jest świetnym policjantem, ale okazało się, że wcale nie. McLean zadrwił sobie z niego, a on dał się podejść jak żółtodziób. Wyobraził sobie, że może zlekceważyć strukturę policyjną, że jest sprytniejszy niż jego koledzy, a przede wszystkim zlekceważył przeciwnika. Stary Archibald okazał się nie tylko superinteligentny, ale i wyjątkowo odważny. Widać było, że drwił z ryzyka i że blefował jak pokerzysta. Martin musiał się poddać: zuchwałość i inteligencja przeciwnika były godne najwyższego podziwu.

Młody policjant przeszedł przez plac Concorde i po chwili dotarł do hotelu Lutetia. W secesyjnej fasadzie budynku stojącego przy bulwarze Saint-Germain-des-Prés odbijał się świt. Na jaskrawoczerwonym chodniku w holu portier z facetem od parkowania samochodów czekali na dwóch bogatych klientów, gadając przy ostatnim modelu lamborghini i niemieckiej berlince z przydymionymi szybami. Widok tego luksusu uświadomił Martinowi, jak skromne jest jego urzędnicze życie i to, że nie może sobie pozwolić na zmianę samochodu ani że nie umie uchwycić szansy na sukces, gdy takowa się objawia.

Skrzyżowanie ulicy Vavin z bulwarem Montparnasse. Balzac, uwieczniony przez Rodina, majestatyczny w swoim szlafroku

wyglądał jak duch. Martin zastanawiał się nad swoją zawodową przyszłością, gdyż kompromitacja z Archibaldem nie zadziałała na jego korzyść. Nie straci stanowiska, ale nadchodzące pół roku może być trudne. Loiseaux mianuje go doradcą w Ministerstwie Kultury i tym samym wykluczy z akcji w terenie.

Czternasta dzielnica, nowoczesny budynek fundacji Cartiera. Przez przezroczystą szklaną fasadę widać było ogród, w którym na oczach przechodniów setki rodzajów krzewów i drzew kwitło, jedne po drugich, w miarę zmian pór roku. Ale tego ranka Martin nie był w nastroju do podziwiania przyrody. Nie przestawał myśleć o Archibaldzie. Analizował jego najdrobniejsze gesty, głos, starając się odkryć głęboko ukrytą prawdę, a choćby znaleźć punkt zaczepienia. Wspominał pewność siebie, jaka emanowała z niego, z jego spojrzenia, zastanawiał się, w jaki sposób Archibald umiał przewidywać jego zachowanie. Nie tak go sobie wyobrażał. Przez trzy minuty, które trwało ich spotkanie, więcej się o nim dowiedział niż przez prawie cztery lata śledztwa. Teraz już wie, ile ma lat i jak wygląda. Zdobył również pewność, że wszystkie jego kradzieże mają ukryty sens. Celem Archibalda na pewno nie było zdobycie pieniędzy. Musiało zależeć mu na czymś innym, nieznanym, zdecydowanie osobistym.

Na placu Denfert Rochereau zaczynał się ruch. Obok pawilonu stojącego po lewej stronie kilku japońskich turystów już stało w kolejce, żeby zwiedzić katakumby i przeżyć dreszcz strachu, spacerując po podziemnych korytarzach, gdzie przechowywane były

miliony szkieletów, dawnych „lokatorów” Cmentarza Niewiniątek.

Martin zdusił ziewnięcie. Miał ochotę napić się kawy, zapalić papierosa i wziąć porządny prysznic. Po kąpeli w Sekwanie czuł się zakatarzony i brudny.

Na avenue Reille poczuł się pewniej na widok znajomych konturów rezerwuaru Montsouris, największego zbiornika wody pitnej miasta ukrytego za wzgórzem porośniętym trawą. Były to tereny zielone, z których emanowała prawie sielska atmosfera, ale w rzeczywistości pilnowało tego miejsca mnóstwo kamer: woda, którą tu zbierano, pochodziła z rzek przepływających na południowym wschodzie Paryża, a zbiornik zaopatrywał większość dzielnic stolicy.

Dochodząc do skweru Montsouris, Martin zmusił się, żeby przestać obsesyjnie myśleć o Archibaldzie. Stopniowo opanowały go myśli o Karine, dawnej koleżance z pracy. Nie dał tego po sobie poznać, kiedy ją ujrzał, ale to spotkanie go poruszyło. Wspomnienie jej uśmiechu i wesołego spojrzenia było jednocześnie bolesne i uspokajające jak samotność, w której żył od dzieciństwa. Samotność... Ukrywał się w niej, a tymczasem ona go niszczyła.

*

Helikopter przelatywał nad północną częścią Morza Irlandzkiego i zbliżał się do regionu Highlands w północnej Szkocji. Colibri, niesiony przez południowo-zachodni wiatr, przeleciał prawie siedemset kilometrów i kończyło mu się paliwo. Archibald zauważył

ogromny trzypiętrowy jacht z flagą Kajmanów.

Couach 5000, bo tak się ten bardzo praktyczny statek nazywał, mógł przepłynąć Atlantyk w ciągu dziesięciu dni z prędkością trzydziestu węzłów. Archibald uważał go za swoje sanktuarium. Była to forteca o nowoczesnych, awangardowych liniach, zbudowana, aby móc pływać przy każdej pogodzie po najodleglejszych zakątkach oceanów. Morski samochód terenowy, gotów na spotkanie z burzą i niebezpieczeństwem.

Archibald delikatnie wylądował na górnym pokładzie, na szerokiej platformie przebudowanej na lądowisko, zabrał torbę z kokpitu i zeskoczył na pokład. Wiał wiatr, ale na horyzoncie nie było ani jednej chmurki. Pokład tonął w oślepiającym słońcu. Czterech członkowie załogi, byli żołnierze marynarki wojennej, którzy nie znali jego prawdziwego nazwiska, przywitali szefa. Archibald zamienił z nimi kilka słów i wszedł po trapie na główny pokład.

– Witaj, Effie.

– Witaj, Archie.

Elegancka panna Euphenia Wallace z włosami spiętymi w koczek na karku przypominała tradycyjną angielską guwernantkę. Od ponad dziesięciu lat ta lekarka, dawniej agentka wywiadu, pracowała dla McLeana. Była jego ochroniarzem i zaufaną, i jako jedyna wiedziała, czym on się naprawdę zajmuje. Wyglądała staromodnie, ale strzelała jak snajper, zdobyła czerwony pas w taekwondo i porównać ją można było raczej do zawodowego bodyguarda niż do Mary Poppins.

- Wszystko odbyło się według planu?
- Oczywiście.

Szklane drzwi otworzyły się i Archibald z Effie weszli do salonu. Pomieszczenie udekorowane było luksusowo, choć minimalistycznie: kryształowe kinkiety, bielony, mahoniowy parkiet, skórzane fotele i proste w linii pozostałe meble. Przez ogromne okno widać było prawie wszystko wokół i wpadało przez nie tyle światła, że miało się wrażenie przebywania na dworze.

Archibald wyjął płótno z torby, żeby je pokazać Effie. Ta z wrażenia nie mogła wymówić ani słowa i podziwiała je w milczeniu.

- A ten młody policjant? – spytała po chwili.
- Połknął przynętę, tak jak przewidywałem.
- Tym lepiej.
- Bałaś się?
- Przystudiowałam jeszcze dokumentację na jego temat. Jest nieprzewidywalny. Tym razem przesadziłeś.
- Ale gra była warta świeczki, prawda? – spytał Archibald, wskazując palcem skradzione płótno. – Poza tym znamy dokładnie wszystkich tych, którzy chcą mnie złapać. Cały czas ich obserwuję. Znam ich lepiej niż oni mnie.

- Ten jest inny.
- Nie, jest taki sam.
- Zorientował się w datach urodzin...

Archibald prychnął lekceważąco i wzruszył ramionami.

- To mógł odgadnąć byle osioł.
- Przyczepił się do ciebie. Łazi za tobą już trzy lata.

– A FBI przez dwadzieścia pięć!

Archibald skrzyżował ramiona na piersi i popatrzył w zamyśleniu na wielki, płaski ekran, na którym dzięki kamerze widać było wszystko, co dzieje się pod wodą.

– Ten młody człowiek musi się jeszcze wiele nauczyć! – rzucił w końcu. – Jest niecierpliwy, zakompleksiony, czasem wręcz zarozumiały, w sumie zaś kompletnie brak mu pewności siebie. Jako policjant uważa się za geniusza, ale jako człowiek...

– On może stać się niebezpieczny.

– Żeby stać się niebezpiecznym, musiałby się wiele nauczyć, a żeby się nauczyć, musiałby przestać być zarozumiały.

McLean usiadł przy szklanym stole, na którym kucharz postawił jego ulubione dania: polędwicę à la Rossini i małe ziemniaczki z patelni posypane tymiankiem.

Zirytowana Effie, myśląc, że rozmowa skończona, skierowała się ku drzwiom, kiedy usłyszała głos Archibalda:

– Ten Martin Beaumont...

– Tak?

– Chciałbym zobaczyć jego teczkę.

– Zaraz ją przyniosę.

*

Martin szedł w dół wąską, brukowaną uliczką w kierunku skwerru Montsouris. Miejsce to przypomniało mu najpiękniejsze zakątki dzielnicy Beacon Hill w starej części Bostonu. Wzdłuż obrośniętej drzewami alejki stały pracowite malarskie i bogate wille zbudowane na początku dwudziestego wieku, w najlepszym okresie secesji.

Im bardziej zagłębiał się w ten urokliwy trakt, tym więcej było wokół zieleni. Domy obrośnięte bluszczem, zapach gęstych glicynii, coraz więcej kolorowych, drewnianych domostw z belkowanymi ścianami, fryzami z kolorowych kafelków, rzeźbionymi balkonami i kolorowymi okienkami na poddaszach. Ten zielony raj emanował spokojem. Ulica była jedną z najdroższych w Paryżu. Miejsce, na które nigdy nie będzie stać zwykłego policjanta zarabiającego dwa tysiące euro miesięcznie.

A jednak Martin pchnął furtkę małego ogródka, który poprowadził go do pracowni malarskiej ze szklanym dachem.

Willa należała do starej Angielki, Violet Hudson, muzy i ostatniej żony amerykańskiego malarza Henry'ego Hudsona, jednego z nabistów zamiłowanych w ezoteryzmie i duchowości, którzy na początku dwudziestego wieku uczestniczyli we wszystkich poczynaniach awangardy. Hudson zmarł w roku 1955, pozostawiając żonie dużo obrazów. Z biegiem lat jego dzieła nabrały wielkiej wartości, ale Violet nigdy nie chciała się z nimi rozstawać, gdyż były to wspaniałe, zmysłowe akty przedstawiające ją w rozkwicie urody, z rozwianymi włosami, owiniętą przezroczystymi materiałami, w stylu Klimta i Muchy.

Dwa lata wcześniej w środku nocy stara dama została napadnięta i związana, a z atelier wyniesiono większość obrazów. Sprawą zajęto się CBWPZ i Martin, który uwielbiał malarstwo, zabrał się z pasją do śledztwa. Kradzież i napad nie były dziełem specjalisty ani też nie zostały zlecone przez jakiegoś kolekcjonera. Widać było,

że złodziej działał pośpiesznie i improwizował. Martin założył, że to jakiś narkoman napadł na starszą panią, żeby raz-dwa zdobyć pieniądze. Dzięki kilku informatorom, których usługi zachował z czasów pracy w wydziale do zwalczania narkotyków, szybko wytropił złodzieja i dotarł do większości obrazów ukrytych w przechowalni bagażów na Gare du Nord.

Zaprzyjaźnił się dzięki temu śledztwu z Violet, której kultura i ekscentryczność zrobiły na nim wrażenie. W rezultacie starsza pani poprosiła go, aby dopilnował instalacji systemu alarmowego i doradził jej, w jaki sposób zabezpieczyć to, co posiadała. Poza tym potrzebowała lokatora, gdyż brakowało jej pieniędzy na codzienne wydatki, a młody policjant zdobył sobie jej zaufanie.

Cicho, żeby nie obudzić właścicielki, Martin wszedł na kręte schody, które zaprowadziły go od razu na pierwsze piętro – do dawnej pracowni zmarłego gospodarza domu – gdzie teraz mieszkał. Długo stał pod prysznicem, po czym rzucił się na łóżko i zasnął niespokojnym snem.

7.

Pojedynek

*Wiem teraz, że idiota to ten,
kto nie jest w stanie pójść
za własną dobrą radą.*

WILLIAM FAULKNER

– Witaj, Mister Bad Guy.

Zamyślony Archibald podrapał łebek kota, który ocierał mu się o nogę. Zwierzak zamruczał z rozkoszy i się przeciągnął. Czarnorude futerko błysnęło w słońcu jak szylkret.

McLean wstał od stołu, podniósł kota i usiadł z nim na kanapie. Wyjął z otwartej szkatułki na cygara długą, cienką cohibę i wziął do ręki raport na temat Martina Beaumonta.

Materiały zostały przygotowane przez prywatne biuro detektywistyczne. Były tam ukradkiem zrobione fotografie, wyniki wielokrotnego śledzenia Martina, rachunki telefoniczne, wyciągi bankowe... Przede wszystkim zaś była tam dokładna kopia jego teczki z okresu pracy w policji, z nagłówkiem prefektury. Wszystkie te dokumenty zdobyto w sposób nielegalny, ale w okresie wojny

ekonomicznej i gwałtownego wzrostu popularności prywatnego wywiadu niektórzy przekupni policjanci za pieniądze udostępniali dojrzenie do kartotek pozornie zabezpieczonych przez administrację.

– Każdy człowiek ma swoją cenę, jaka jest pańska? – sentencjonalnie westchnął Archibald, wkładając na nos okulary w cienkiej oprawie.

Martin Beaumont, urodzony 5 czerwca 1974 roku w Antibes na południu Francji. Ojciec nieznan. Matka, Mylène, pracuje w firmie zajmującej się sprzątnięciem biur. Wieczorem, jak zwykle od lat, sprząta bibliotekę miejską. Często zabiera tam ze sobą syna, który w tym czasie odrabia lekcje i przegląda książki.

Maj 1988: Mylène ginie w wypadku samochodowym w Nicei, niedaleko Promenade des Anglais. Czternastoletni syn jest ciężko ranny. Przez dwa dni leży nieprzytomny, ale trzy miesiące później wychodzi ze szpitala tylko z kilkoma bliznami na klatce piersiowej i plecach.

Do matury Martin mieszka u dziadków, skromnych urzędników, na osiedlu Piramidy, w Évry. Z fotokopii dziennika szkolnego wynika, że jest uczniem pilnym, poważnie traktującym naukę, zwłaszcza interesuje go literatura.

Jednak gdy w roku 1992 podchodzi do matury, wybiera przedmioty ścisłe. Zdaje bardziej dzięki notom z historii (19), filozofii (17) i francuskiego (18) aniżeli z matematyki (7) i z fizyki (6). Jednocześnie zajmuje drugie miejsce w konkursie skrzypcowym.

Tego samego roku po otrzymaniu stypendium i pokoju w akademiku wyprowadza się od dziadków.

1995: licencjat z prawa na Sorbonie. Wyjazd na dwa miesiące do San Francisco, żeby doszlifować angielski. Praca w kafejce przy uniwersytecie w Berkeley.

1996: podwójne magisterium z prawa i historii sztuki. Otrzymuje notę bardzo dobrą z eseju na temat współpracy Alfreda Hitchcocka z grafikiem Saulem Bassem.

1997-1999: za pierwszym podejściem zdaje egzamin konkursowy na oficera policji i kształci się w Wyższej Szkole Oficerów Policji w Cannes-Écluse. Na egzaminach końcowych jest trzeci.

2000: wybiera pracę w wydziale do zwalczania narkotyków w Nanterre po tym, jak jego najlepszy przyjaciel z dzieciństwa zmarł z powodu przedawkowania wkrótce po osiemnastych urodzinach. Jego uzdolnienia zostają szybko dostrzeżone i tak oto staje się jednym z filarów wydziału, uczestnicząc w wielu obławach policyjnych urządzanych w nocnych klubach paryskich. Dzięki temu, że wygląda na studenta, bierze aktywny udział w rozpracowaniu szajki handlującej narkotykami na uniwersytecie. Sprawa dostaje się do mediów, w rezultacie policja konfiskuje tysiące tabletek ekstazy, pół kilograma kokainy i próbki GHB.

2002: wraz ze swoim szefem zostaje przeniesiony do wydziału do zwalczania narkotyków do Paryża. Pracuje nad sprawami bardziej skomplikowanymi. Trzy lata wcześniej, zanim prawo Perbena zalegalizuje działalność jednostek policji tego typu (w tym nocne przeszukania w prywatnych mieszkaniach), zostaje wybrany wraz

z dziesięcioma innymi policjantami do infiltracji grup handlarzy narkotyków. Żyją „na krawędzi”, na granicy legalności i typowej hierarchii. Świat zombie, bo tak przezwala grupa samych siebie z powodu wyglądu zewnętrznego jej członków, którzy musieli wtopić się w środowisko narkomanów. „Wtopić się” oznaczało tutaj dostarczać im broni, samochodów i fałszywych dokumentów tożsamości, szmuglować narkotyki, ale również okazjonalnie kosztować kokainy czy heroiny, żeby nie dać się zdemaskować. Oczywiście nazwisko takiego agenta nigdy nie pojawia się w kartotece.

W tym okresie zaczyna się romans Martina z jego oficerem prowadzącym, czyli Karine Agneli, która ma za zadanie zawsze go osłaniać i decydować o procedurze działania.

Zajęcie to jest przykre, ale Martin ma osiągnięcia przynoszące mu ogromną satysfakcję: rozpracowanie tajnych laboratoriów „metamfetaminy”, złapanie na autostradzie prowadzącej na południe Francji konwoju transportującego *go fast** z Barcelony, odbicie przemytnikom dwustu kilogramów marihuany i czterystu kokainy. To wszystko sprawia, że w rekordowym czasie zdobywa szlify kapitana.

* *Go fast* – szybkie motorówki wykorzystywane przez przemytników.

Potem, pod koniec 2003, sprawy się komplikują. Nagle Martin zaczyna nie wytrzymywać presji, jaką wywiera na niego ta praca. W rezultacie któregoś ze skomplikowanych i ponurych śledztw prosi o czasowy urlop, którego administracja mu odmawia. Zamiast

tego zwierzchnicy kierują go do na terapię do psychologa policyjnego, który w zagmatwanym raporcie kwalifikuje go jako jednostkę aspołeczną o rozchwianej osobowości i oznajmia, że Martin cierpi na psychozę maniakalno-depresyjną.

Konflikt trwa ponad rok i po ciężkiej awanturze z przełożonymi w styczniu 2005 Martin uzyskuje przeniesienie do Centralnego Biura do Walki z Przemysłem Zabytków. Jego zwierzchnikiem jest pułkownik Loiseaux, który dokonuje tego, że Martin staje się znów tak skutecznym policjantem jak kiedyś i ma najlepszy „wskaźnik spraw wyjaśnionych” w całym biurze. Jednocześnie studiuje w Instytucie Sztuk Pięknych z dobrymi wynikami. Nowa praca go pasjonuje. Ale zmienia się jego zachowanie: Martin niechętnie pracuje w grupie, staje się samotnikiem i wchodzi w konflikt z większością kolegów. Loiseaux przymyka na to oczy, ponieważ Martin jest bardzo pracowity i ma na tyle wyczucia, że pozostaje w cieniu i pozwala szefowi zgarniać laury. CBWPZ potrzebuje rezultatów, zwłaszcza w tak rozreklamowanych sprawach jak kradzież dwóch płócien Picassa z paryskiej willi wnuczki malarza. To Martin zdobywa najbardziej istotną informację, która pozwoliła funkcjonariuszom wydziału do walki z przestępczością zorganizowaną schwytać trzech złodziei. *Maya z lalką* i *Portret Jacqueline*, warte pięćdziesiąt milionów euro, zostały odnalezione nieuszkodzone i Loiseaux triumfuje w głównym wydaniu dziennika telewizyjnego.

Archibald przeglądał raport z coraz większym zainteresowaniem.

Ostatnie strony były poświęcone najbardziej osobistym wydarzeniom w życiu młodego policjanta. Jego nazwisko pojawiała się dwukrotnie na bardzo dokładnej liście przestępstw STIC*, z nazwiskami ofiar i osób zatrzymanych. Dwie ze związanych z Martinem spraw dotyczyły prostytucji i występowała w nich ta sama kobieta: Ukrainka znana jako Nico, zaczepiająca klientów koło Porte d'Asnières. Fotografie, na których widziano ich razem, były zupełnie niewinne, wręcz romantyczne: niedzielne popołudnie spędzone w Ogrodzie Luksemburskim, spacer po Polu Marsowym, wiosenny wieczór na diabelskim młynie w wesołym miasteczku w Tuileries, wspólna kolacja w restauracyjce na placu Dauphine.

Inna strefa cienia: jego cotygodniowe spotkania w Maison de Solenn, ośrodku medycznym w XIV dzielnicy, specjalizującym się w opiece nad trudnymi nastolatkami. Mimo wysiłków detektyw, który śledził Martina, nie dowiedział się, komu on składał tam wizyty.

Zamyślony Archibald odłożył teczkę. Zajęty życiorysem Martina zapomniał zapalić cygaro.

W jednym Effie się nie myliła: to nie był policjant taki jak inni.

*

Martin poczuł na twarzy mokry język.

– Mandoline! Zostaw mnie!

* STIC – *Système de traitement des infractions constatées* (dosł. Spis potwierdzonych przestępstw).

Ale cocker-spaniel ani myślał go posłuchać. W końcu Martin zaczął się bawić z suczką. Od Mandoline trudno się było opędzić, nie zносиła zostawać sama w domu, gryzła wtedy wszystko, co popadło. Martin znalazł ją na ulicy, kiedy wracał do domu po rewizji u jakiegoś pasera na Montparnassie. Facet zwiął kilka dni wcześniej, zostawiając psa, który wył pod drzwiami. Martin zabrał zwierzaka z zamiarem odwiezienia go do schroniska w Orgeval. Przez pół godziny jazdy Mandoline obślinała mu całą tapicerkę, a ponieważ gubiła sierść, cały samochód był pełen kłaków. Kiedy dojechali wreszcie na miejsce, zaczęła piszczeć, skomleć i tak smutno na niego patrzyła, że dał się przekonać...

Popatrzył na zegarek: minęło południe. Z nagim torsem, ubrany tylko w bokserki, Martin wstał i poszedł do kącika kuchennego. Wielkie jak hala fabryczna atelier urządzone na planie prostokąta było bardzo jasne. Umeblowane od niechcienia, jednak przytulne i porządne, zdradzało osobowość Martina. Na drewnianej bibliotece w kolorze bieli ołowianej stała kolekcja japońskich komiksów manga, a obok literatura klasyczna wydana w serii Plejady, klasyki rosyjskie stały obok komiksów Sempégo, a figurka Dartha Vadera groziła laserowym mieczem wykonanej z żywicy figurce Tintina prosto z pierwszego, legendarnego komiksu *Błękitny lotos*.

W jednym z rogów pomieszczenia u stóp ostatniej rzeźby Henry'ego Hudsona – twarzy młodej dziewczyny, jak duch wyłaniającej się z marmurowego bloku – stała konsola Playstation uginająca się pod stertą gier wideo. Na ścianach wisiały afisze z ostatnich

wystaw: Modiglianiego w Ogrodzie Luksemburskim, Nicolasa de Staëla w Beaubourgu, Picassa w Grand Palais. Obok biblioteki stały metalowe półki z setkami DVD: cały Hitchcock, Truffaut, Lubitsch, Kubrick, Tarantino, dziesiątki amerykańskich seriali ściągnięte za pomocą P2P, kilka filmów chińskich, trochę pornografii...

Martin otworzył lodówkę i wyjął z niej puszkę dietetycznej coli oraz kostkę masła. Z szafki wyjął chleb w plasterkach i przygotował sobie cztery kanapki z ulubioną mieszanką pasty czekoladowej z mlekiem skondensowanym. Między jednym a drugim słodkim kęsem połknął pastylkę effeksoru i veratranu – lekkiego koktajlu antydepresyjnego i uspokajającego, żeby zdusić wspomnienia z dzieciństwa, dreszcz od ukłucia igły, duchy przeszłości i strach przed przyszłością. Z pewnością lepiej by było, gdyby włożył adidasy i pobiegał godzinę po parku, ale to nie był jego dzień. Jedząc, włączył iPoda podłączonego do głośników i zaprogramował sobie własną playlistę.

Była piękna pogoda. Oślepiające światło spływające na ogród zachęciło go do wyjścia na taras. Przedtem włożył T-shirt, którym zakrył rysunek wytatuowany nad obojczykiem. Była to gwiazda wisząca nad wydumą, rysunek z ostatniej strony *Małego Księcia*: „najpiękniejszy i najsmutniejszy widok na świecie”, kiedy to chłopczyk pojawił się na Ziemi, żeby potem w tej samej scenerii z niej zniknąć.

Na metalowym stoliczku Martin postawił laptop i zaczęła puszkę coli. Zamyślony włączył komputer. Wspominał wydarzenia

poprzedniego dnia. Pulpit ewidentnie wymagał uporządkowania, ekran wypełniały pościągnane z sieci pliki z artykułami prasowymi i dokumentacją. W tym nieporządku rzucała się w oczy ikonka bardziej błyszcząca od innych. Plik, ukryty pod symbolem gwiazdy Krzyż Południa, był skromnie zatytułowany: „Archibald”. Martin kliknął na ikonkę i otworzył dziesiątki gigabajtów danych na temat McLeana: zeskanowane artykuły z gazet, komunikaty Interpolu, szczegółowe raporty dotyczące kradzieży dokonanych na terenie Francji, opisy i fotografie skradzionych dzieł, sfilmowane dzienniki telewizyjne. Gdzieś we wnętrznościach komputera znajdował się sekret Archibalda McLeana. Martin był pewien, że wszystkie te kradzieże mają jakiś ukryty sens. Słaby punkt „króla złodziei” nie dotyczył jego techniki, ale motywacji popychającej go do działania. Co „napędzało” Archibalda? Dopóki tego nie odkryje, nie złapie go.

Zniechęcony Martin wrócił do mieszkania. Położył się i z grubej koperty wyciągnął dwie bibułki do papierosów, poślinił je i skleił. Wziął paczkę dunhilli, wysunął z niej papierosa, rozciął go i wyjął tytoń. W końcu sięgnął do schowka, z którego wziął trochę marihuany zawiniętej w folię aluminiową. Podpalił ją z jednego końca i rozkruszył nad warstwą rozsypanego tytoniu. Miał już zapalić tak przygotowanego skręta, kiedy niewidzialna siła zmusiła go do powrotu na taras. Znowu usiadł przed komputerem. Archibald był silniejszym narkotykiem od trawki.

Martin przygotował sobie filiżankę kawy, po czym zaczął

metodycznie przeglądać dokumenty, które czytał już wielokrotnie. Miał nadzieję, że ostatnie spotkanie z McLeanem pomoże mu na niego spojrzeć z innej perspektywy, że znajdzie jakąś wskazówkę, trop, coś, czego przedtem nie dostrzegł. Kariera złodzieja trwała już długo, Archibald działał prawie od dwudziestu ośmiu lat i w ciągu tego okresu odniósł imponujące sukcesy.

1982 – Pierwsza znana kradzież: obrabowanie Lloyd's Bank, w samym sercu Londynu. Był to jeden z największych napadów w Anglii. Po raz pierwszy wówczas Archibald zostawił po sobie słynną wizytówkę z Krzyżem Południa.

1983 – Seria kradzieży u najślynniejszych paryskich jubilerów z placu Vendôme: Cartiera, van Cleefa i Boucheron. Złodzieje byli przebrani w sposób godny słynnego magika Fregoli i wynieśli ogromny łup.

1986 – Szwedzkie Muzeum Narodowe w Sztokholmie. Archibald w pięć minut wynosi dwa Renoiry i jednego Watteau.

1987 – Muzeum Guggenheima w Nowym Jorku. Kandinsky i Mondrian.

1990 – Antwerpia. Legitymując się fałszywym paszportem, Archibald zdobywa zaufanie pracownicy banku producentów diamentów. Młoda kobieta daje mu kartę VIP umożliwiającą wejście do sali z sejfami, skąd Archibald wynosi około trzydziestu niebieskich brylantów wartości, bagatela, dwudziestu milionów dolarów.

1993 – Paryż. Archibald włamuje się do willi Pierre'a Berèsa, największego księgarza na świecie. Wychodzi z niej z jego

skarbem, jedynym egzemplarzem książki *Sezon w piekle* z dedykacją poety: „P. Verlaine'owi – A. Rimbaud”.

1998 – Boston. Największa w historii Stanów Zjednoczonych kradzież dzieł sztuki. McLean napada na gmach Rebecca Stewart Foundation i wynosi dwa Rembrandty, jednego Velázquez, jednego Maneta, wazę z okresu dynastii Ming, rzeźbę z brązu Rodina. Do dziś FBI nie zamknęło śledztwa, a bostoński prokurator zajmujący się tą sprawą na każdej konferencji prasowej powtarza, że nie przejdzie na emeryturę, dopóki nie schwyta McLeana.

2001 – Z sejfu filadelfijskiego banku Archibald wynosi *One Cent Magenta* z roku 1856: jeden z najdroższych znaczków świata, papierowy prostokąt o powierzchni zaledwie centymetra kwadratowego, który nie waży nawet grama. Graal filatelistów.

2005 – Kradzież, której Anglia nigdy mu nie wybaczy. McLean upokarza rodzinę królewską, zakradając się do zamku Balmoral, letniej rezydencji królowej, i wynosząc stamtąd jej ulubionego Vermeera oraz dziesiątkę rysunków Leonarda da Vinci. Drocąc się ze Scotland Yardem, zostawia na ścianie następujący tekst: „Sherlocku Holmesie, do dzieła!”.

2007 – Rok miliardarów francuskich. François Pinault – kradzież obrazu Andy'ego Warhola z pałacu Grassich w Wenecji. Bernard Arnault – kradzież obrazu Basquiata...

Zaabsorbowany Martin dopiero po kilku sekundach zdał sobie sprawę, że ktoś puka do drzwi jego pokoju.

– Proszę! – zawołał, podnosząc głowę znad komputera i wsuwając skręta do kieszeni.

*

Archibald wyszedł z małej, szklanej windy prowadzącej do jego sypialni, która zajmowała większość górnego pokładu. Umeblowana w stylu art déco była znacznie przytulniejsza od salonu. Stał tam prosty kominek i meble o czystej linii, inkrustowane masą perłową i hebanem.

Kiedy usiadł przy biurku, poczuł nagle wielkie zmęczenie. Zamknął oczy i zaczął masować skronie, żeby przerwać nadchodzącą falę migreny. Po każdym wielkim napadzie odczuwał zniechęcenie, pogrążał się w depresji. Ale teraz było to jeszcze coś innego. Nigdy nie czuł się wyczerpany w takim stopniu. Musiał się zmusić, żeby otworzyć oczy. Na środku biurka leżała brązowa koperta. Nie mógł się zdecydować na jej otwarcie. Pomacał ją. Od prawie dwudziestu lat taka koperta przychodziła do niego co tydzień. Był to raport prywatnego detektywa z Kalifornii. Detektyw miał chodzić za kimś krok w krok.

Archibald niechętnie rozerwał list i zaczął czytać sprawozdanie z mieszaniną ciekawości i wstrętu. Wewnątrz znajdowały się zdjęcia młodej kobiety oraz szczegółowy opis tego, co robiła każdego dnia, jak również ludzi, z którymi się kontaktowała. Były tam bilingi jej rozmów telefonicznych, fotokopie listów, treść diagnozy postawionej przez lekarza, którego ostatnio odwiedziła, i lista przepisanych przez niego leków. Zdjęcia pochodziły z San Francisco i z Sausalito, miasteczka nad zatoką z drugiej strony mostu. Widać

było na nich kobietę mniej więcej trzydziestoletnią, o wybitnej, melancholijnej urodzie, o spojrzeniu twardym i nieprzychylnym.

Ona.

Jak za każdym razem Archibald obiecał sobie, że po raz ostatni wdziera się w życie prywatne córki. Musi zebrać się na odwagę i porozmawiać z nią. Strach, który nim owładnął, musi zostać zastąpiony miłością.

Tak bardzo ją kochał.

Ale za każdym razem strach zwyciężał.

*

– Przy takim odżywianiu w końcu pan zachoruje!

Pani Hudson weszła do sanktuarium swojego lokatora i zdecydowanym ruchem postawiła przed Martinem tacę z posiłkiem. Przygotowała *english breakfast* w swoim stylu: tosty z marmoladą cebulową, miseczka owsianki, cynaderki w cieście, drżąca galaretka w kolorze wiśniowym...

– Hm, pięknie pachnie! – rzucił Martin bez wielkiego entuzjazmu.

Właścicielka mieszkania, które wynajmował, niezbyt dobrze gotowała, ale i tak był jej wdzięczny. Zwracała mu z nawiązką to, że się o nią troszczył.

– Położyłam na tacy pocztę i paczkę, którą przyniesiono do pana dziś rano. Nie chciałam pana budzić, więc podpisałam awizo za pana.

Martin podziękował. Okazało się, że dostał rachunek za telefon i reklamę dodatkowego ubezpieczenia. Reklamę tę dostawał co dwa

miesiące. Wyrzucił obie koperty do kosza bez otwierania. Paczka zainteresowała go: ktoś wysłał do niego priorytetem ozdobną skrzyneczkę z drewna sandałowego.

Martin otworzył ją i wewnątrz znalazł butelkę szampana w atlasowym etui.

DOM PÉRIGNON ROSÉ VINTAGE 1959

Zmarszczył brwi. Obejrzał dokładnie pudełko w poszukiwaniu wizytówki.

Nic nie znalazł.

Popatrzył na pudełko od spodu. Wysłano je poprzedniego dnia parę minut przed południem z poczty w VI dzielnicy. Najwyraźniej jego admirał nie zażartował sobie: Dom Pérignon był najsłynniejszą na świecie marką szampana. Ten rocznik musiał kosztować fortunę.

Coś podkusiło go, żeby usiąść przed komputerem. Wyszukał program TREIMA. Fototeka CBWPZ była naprawdę wyjątkowa i zawierała szczegółowe opisy ze zdjęciami ponad osiemdziesięciu tysięcy dzieł sztuki skradzionych we Francji i na całym świecie. Dzięki tej bazie danych każdy przedmiot znaleziony podczas jakiegokolwiek rewizji mógł zostać natychmiast zidentyfikowany i zwrócony właścicielowi. Martin ściągnął ją do laptopa, żeby móc korzystać z niej w terenie. Prawie natychmiast program wydał werdykt: butelki, z których jedną otrzymał, zostały skradzione w zeszłym roku w okolicznościach nigdy niewyjaśnionych, tuż po

licytacji. Martin kliknął na łącze tekstowe, które pokazało mu odnośny artykuł z gazety.

Wyjątkowe ceny podczas historycznej licytacji w Nowym Jorku!

25 kwietnia w domu aukcyjnym Sotheby' s odbyła się wyjątkowa licytacja szampana, podczas której dwie butelki Dom Pérignon Rosé Vintage 1959 zostały sprzedane za 84 700 \$.

Dom Pérignon, to mityczne wino uważane za prawdziwy klejnot, wyprodukowano jedynie w trzystu egzemplarzach i nigdy nie trafiło do zwykłego obrotu handlowego. Większość butelek pojawiła się w roku 1971 na stołach najbogatszych podczas wielkich przyjęć wydanych w rocznicę powstania imperium perskiego.

Od tego czasu rocznik 1959 znikł. Pojawił się dopiero podczas tej historycznej licytacji.

Młody policjant nie wierzył własnym oczom: stała przed nim butelka warta ponad czterdzieści tysięcy dolarów!

Nerwowo czytał dalej. O samej kradzieży nie było właściwie żadnych informacji. Jedno było pewne: kiedy nowy właściciel przyszedł po butelki, te znikły, zastąpione przez wizytówkę, która siała popłoch pośród wszystkich mających do czynienia z dziełami sztuki.

Martin przez chwilę siedział bez ruchu, sparaliżowany widokiem otrzymanego prezentu.

Kłębiło mu się w głowie. Oczywiście ta butelka nie jest dla niego – musi ją zwrócić właścicielowi, stanowi dowód, ale...

– Pani Hudson, napije się pani kieliszeczek?

– Chętnie! – odpowiedziała stara Angielka, siadając przy stole na tarasie. – To będzie miła odmiana po mojej sherry.

Martin niezwykle ostrożnie otworzył butelkę. Ciekawiło go, czy po pięćdziesięciu latach szampan zachował pęcherzyki powietrza. Stuknęli się kieliszkami. Martin podniósł swój kieliszek do ust. Nie zawiódł się: wino okazało się wspaniałe i miało się wrażenie, jakby piło się prawdziwą małmazję albo jakiś eliksir długowieczności.

Młody człowiek poczuł, że odżywa. Uniósł kieliszek w górę. W końcu wartość człowieka mierzy się również wartością jego wrogów.

Pierwszą rundę przegrał, ale pojedynek dopiero się zaczynał.

*

Ubrany w sweter z golfem Archibald zszedł do Effie, która przebywała w przedniej części jachtu. W miejscu położonym najwyższej urządzono salę gimnastyczną pod gołym niebem. Angielka z ręcznikiem owiniętym wokół szyi podnosiła ciężary, ćwiczyła *na power plate*, uderzała worek bokserski, biegała po bieżni stacjonarnej... Archibald zaproponował jej aperitif. Potrząsnęła głową, wskazując butelkę wody mineralnej. Słynny złodziej wrzucił ramionami, ale nie okazał zdziwienia. Effie była ascetką, odmawiała sobie takich przyjemności, jak wyrafinowane jedzenie, dobre wina i łatwy seks...

Archibald usiadł w trzcinowym fotelu ustawionym przodem do morza. Ochłodziło się i zachodzące słońce walczyło z chmurami. W wyniku tego pojawiły się na niebie jakby ślady purpurowo-szkarłatnej krwi. Archibald wyjął z kubałka z lodem butelkę szampana i uśmiechnął się na widok etykiety:

DOM PÉRIGNON
ROSÉ VINTAGE 1959

Ostrożnie wyciągnął korek i nalał sobie kieliszek, który wzniosł w kierunku południowo-wschodnim.

Ku Francji.

Ku Paryżowi.

Był to toast dla niewidzialnego wroga, którego zaatakował jako pierwszy.

8.

„Klucz do raju”

*Nasze życie to książka, która pisze się sama.
Jesteśmy bohaterami powieści, którzy
nie zawsze rozumieją intencje autora.*

JULIEN GREEN

Pięć miesięcy później
Poniedziałek, 20 grudnia,
07.00 Nanterre, siedziba CBWPZ

- Tym razem musi pan mnie wysłuchać, szefie!
- Potargany i blady Martin, z brodą niegoloną od kilku tygodni, starał się wejść do gabinetu pułkownika Loiseaux. Dyrektor CBWPZ stał niewzruszony w drzwiach, nie zamierzając ulec podwładnemu.
- Nie masz tu nic do roboty, Beaumont!
- Musimy porozmawiać.
- Nie mamy o czym. Zostałeś oddelegowany do Ministerstwa Kultury. Do lutego.
- Mam już dość ich kretyńskich misji. Wie pan, dokąd mnie

dziś wysłali? Do Rouen, mam przeszkolić pracowników muzeum ceramiki.

- No i co z tego? To z pewnością bardzo piękne muzeum.
- Proszę przestać ze mnie drwić i dać mi jakieś porządne zadanie. Jestem przydatny tylko w terenie!

Pułkownik się zdenerwował.

- Sam się pan wpakował w tę sytuację, kapitanie, i na razie nie mam najmniejszej ochoty wyciągnąć pana z niej. A poza tym...

Chwilę milczał, ale wreszcie wybuchł:

- A poza tym czy nie może się pan przyzwoicie ubrać?! Jest pan oficerem policji, a nie jakimś tam licealistą!

Martin westchnął. To prawda, że nie wyglądał zbyt schludnie. Miał na sobie wytarte dzinsy, znoszone conversy i skórzaną kurtkę, tę samą od dziesięciu lat. No i oczy miał podkrążone, ponieważ cierpiał na bezsenność.

Ostatnie miesiące były dla niego szczególnie trudne. Mimo że został odsunięty od misji w terenie, prowadził śledztwo na własną rękę, prawie codziennie spotykając się z informatorami z półświatka. Środowisko narkomanów i handlarzy narkotyków było z jego punktu widzenia takie samo jak środowisko paserów i handlarzy skradzionych dzieł sztuki, toteż sposób jego postępowania był podobny: pozwalał działać drobnym handlarzom, mając nadzieję na schwytanie pewnego dnia grubej ryby. Zaprotestował, kiedy odgórnym rozkazem pozbawiono go komputerowych kodów dojścia do informacji, ale mimo że nie był hakerem, dał sobie radę. Po prostu

wykradł hasło. To umożliwiło mu dalsze korzystanie z bazy poufnych danych oraz informowanie się na bieżąco co do interesujących go śledztw.

Noce spędzał przed komputerem albo zatopiony w książkach. Przeanalizował całą swoją dotychczasową pracę nad przypadkiem Archibalda, wielokrotnie przeczytał wszystkie dostępne informacje na jego temat i nawet na własny koszt odwiedził hipotetycznych świadków związanych z jego dawnymi kradzieżami. Przede wszystkim zaś łączywie przestudiował wszystkie książki na temat psychologii i spotkał się z psychologami, których poznał na okresowych badaniach kontrolnych, kiedy pracował w wydziale do zwalczania narkotyków. Oficjalnie przychodził do nich w sprawie własnego zdrowia, ale w rzeczywistości zbierał dane na temat psychiki Archibalda. Miał jeden cel: chciał zrozumieć McLeana, włamać się do jego mózgu. Stać się nim choć na moment.

Od pięciu miesięcy Archibald znikł. Koniec z prowokacyjnymi kradzieżami! Martin zaczął tracić grunt pod nogami. Brak mu było nowego materiału. Potem zrozumiał: po autoportrecie van Gogha Archibald nie miał już czego ukraść! Każdy następny wyczyn prowadził go o stopień wyżej, każde skradzione dzieło dostarczało większego dreszczyku emocji czy reprezentowało większą trudność, żeby złodziej mógł dostać swoją dawkę adrenaliny. Z braku okazji wolał czekać i Martin też był na to skazany. Powoli tracił cierpliwość, kiedy nagle sytuacja się zmieniła. Ostatniej nocy

w swojej poczcie elektronicznej Martin znalazł anons słynnego domu aukcyjnego Christie's, który zapowiadał nagłą, tajemniczą licytację organizowaną w San Francisco w wigilię Bożego Narodzenia. Martin wykonał kilka telefonów, rozejrzał się tu i tam i był prawie pewien, że Archibald znów zaatakuje. Ale wszystkie jego trudy pójdą na marne, jeśli Loiseaux nie pozwoli mu pojechać do Stanów.

– Beaumont! Spóźni się pan na pociąg do Rouen!

Martin wzruszył ramionami. Szef CBWPZ wrzucił drobne do maszyny wydającej lurowatą kawę i podał mu kartonowy kubeczek.

– Proszę przyjąć mnie z powrotem do pracy, a obiecuję, że rozwiążę śledztwo, które przyniesie panu sławę!

Oko Loiseaux błysnęło. Loiseaux miał opinię dobrego policjanta: jako specjalista Centralnego Laboratorium Kryminalistycznego był jednym ze współautorów francuskiej bazy odcisków DNA utworzonej w następstwie sprawy Guy Georges'a. Miał dobre rezultaty jako szef CBWPZ, ale między nim a Martinem nigdy nie nawiązała się nic prawdziwego porozumienia. Loiseaux w ogóle nie interesował się sztuką. Jego motorem działania była ambicja i swoje stanowisko uważał za pierwszy stopień mający doprowadzić go do piastowania urzędów bardziej prestiżowych.

– Co to za śledztwo?

– Aresztowanie Archibalda McLeana.

– Masz chyba obsesję na jego punkcie.

– Każdy ma jakąś obsesję.
– Trzeba było do mnie przyjść, Beaumont, kiedy McLean był we Francji.

– Dobra, ale chce pan aresztować tego faceta czy nie?

W odpowiedzi Loiseaux otworzył przed Martinem drzwi gabinetu. Martin wszedł za nim, niosąc pod pachą swój laptop. Pokój był zimny, bezosobowy, typowe „biuro szefa”, duże, funkcjonalne, jakby mała sala do zebrań. Za oknami – budynki Nanterre. Szare, zatopione w mgle wieżowce dzielnicy prefektury budziły chęć znalezienia się gdzieś indziej. Martin podłączył macbooka do ekranu na ścianie i wyświetlił na nim przygotowane wcześniej zdjęcia.

Na pierwszym widać było San Francisco z lotu ptaka.

Loiseaux usiadł wygodnie w fotelu.

– No więc co teraz ukradnie ten pański Archibald? Most Golden Gate?

– Lepiej.

Szef CBWPZ skrzyżował ramiona na piersiach i zmarszczył brwi.

– To znaczy?

– „Klucz do rajů”.

*

Nowy Jork

Szpital na Staten Island, 16.00

Kafeteria w szpitalu znajdowała się na pierwszym piętrze i jej okna wychodziły na mały zaśnieżony park.

Archibald siedział samotnie przy stoliku przed nietkniętą kawą. Był zgarbiony, na twarzy widać było zmęczenie. Czuł się samotny, porzucony przez wszystkich, zagubiony. Od kilku tygodni bardzo bolały go plecy i brzuch. Stracił na wadze, miał żółtą cerę i na nic nie miał ochoty.

Wreszcie zdecydował się na wizytę w szpitalu. Poddano go różnym badaniom. Obmacano woreczek żółciowy, zrobiono analizę krwi i tomografię brzucha i nawet gastroscopię. Teraz czekał na wyniki analiz lekarskich. Siedział wyzutym z energii, kręciło mu się w głowie, miał migrenę i nudności.

Ale przede wszystkim bał się.

Późnym popołudniem wielka kafeteria była prawie pusta. Do szyb przyklejały się lodowe płatki, stanowiąc jakby dalszy ciąg staromodnej dekoracji świątecznej ze ścian. Gdzieś od strony baru dał się nagle słyszeć smutny głos Leonarda Cohena rozbrzmiewający z odbiornika radiowego. To zaskoczyło Archibalda. Poruszony napił się kawy, przetarł powieki i zamknął oczy. Piosenka budziła w nim wspomnienia, które zwykle od siebie odpychał. Rozsłonecznione obrazy, pełne nostalgii: Kalifornia z początków lat siedemdziesiątych. Czasy pełne ferworu, wolności, tolerancji, pełne energii bitników i pacyfistów.

Czarowne wspomnienie: jadąca kabrioletem para zakochanych.
Valentine.

Czas śmiechu, odwzajemnionej miłości, bez troski.

Czas Pink Floydów, Grateful Dead, psychodelicznego rocka i San Francisco Sound.

Valentine, piękna, promieniejąca szczęściem, z tym uroczym francuskim akcentem i sposobem, w jaki wymawiała jego imię...

Śniadania w łóżku, przejażdżki łodzią, szaleństwo ciała, szaleństwo serc.

Valentine... jej oddech, ciepło ciała, dotyk warg, który wciąż jeszcze czuje na swoich ustach.

Valentine... jej potargane włosy, zapach lawendy, bicie serca, cudowna mapa prześlicznych pieprzyków na jej ciele.

Czas, kiedy był szczęśliwy.

Potem obraz blednie, niknie, pojawia się noc i do jego beztróskiego życia sączy się trucizna.

Archibald otworzył oczy, jakby się nagle zbudził. Czuł się zagrożony, tonął w falach smutku, z którym walczył od trzydziestu lat. To był powód, dla którego zmienił się w „Archibalda McLena”, złodzieja poszukiwanego przez wszystkie policje świata. Życie ryzykownie znaczyło wciąż uważać, wciąż czuwać. Tylko taki sposób znalazł, aby uciec przed duchem Valentine.

Nagle poczuł w plecach i pod żebrami piekący ból. Pochylił się do przodu, chcąc zmniejszyć siłę bólu, i prawie krzyknął. Prawą ręką zaczął szukać w wewnętrznej kieszeni płaszcza swojej pierśsiówki z whisky. Otworzył ją i podniósł do ust.

– Nie robiłbym tego na pana miejscu.

Archibald, jakby złapany na gorącym uczynku, podniósł głowę. Koło niego stał masywny mężczyzna z kartonową teczką pod pachą.

*

– „Klucz do raju”? A co to takiego? – spytał Loiseaux.
– To jest brylant – odpowiedział Martin. – Przeklęty... Mityczny... Tajemnica i legenda.

Biurowiec szefa CBWPZ było szare w świetle poranka.

Martin nacisnął klawisz laptopa i na ścianie pojawiło się zdjęcie cennego, owalnego kamienia. Klejnot jarzył się w kolorze szarobłękitnym.

– Waga: sześćdziesiąt pięć karatów, długość: trzy centymetry – oznajmił Martin. – Ale od przeszło trzech wieków wszystkich fascynuje jego kolor.

Zaintrygowany Loiseaux wbił wzrok w ekran.

– Ten kamień podobno przynosi pecha temu, kto go posiada – dodał Martin.

– Skąd on pochodzi?

Zdjęcia migały jedno za drugim, a Martin komentował wszystkie po kolei.

– Legenda mówi, że brylant pochodzi ze słynnych indyjskich kopalni w miejscowości Golconda. Umieszczono go jako ozdobę w statuetce hinduskiej bogini. Został jednak zrabowany ze świątyni przez przemytnika o nazwisku Jean-Baptiste Charpentier. Było to świętokradztwo, za które korsarz zapłacił życiem. To pierwsza udokumentowana ofiara brylantu.

Pułkownik słuchał najwyraźniej zaciekawiony.

– Charpentier przywiózł brylant do Europy i udało mu się go sprzedać Henrykowi IV, ale zginął zagryziony przez sforę wściekłych psów. Co do króla, ten kazał oszlifować brylant w kształt serca i ofiarował go Gabrielle d'Estrées, swojej wielkiej miłości.

Na ekranie pojawił się portret ładnej młodej kobiety o złotych włosach i szczupłej talii.

– Kilka dni później faworyta, w szóstym miesiącu ciąży, zmarła nagle w strasznych cierpieniach. Niektórzy dopatrywali się otrucia albo uduszenia przez diabła, tak straszna była jej agonía.

– A brylant?

– Został pochowany wraz ze zmarłą, ale w cudowny sposób pojawił się znów na szyi Marii Antoniny. Podobno miała go na sobie w chwili aresztowania w Varennes...

– A co się z nim działo podczas rewolucji?

– Z pewnością został skradziony wraz ze wszystkimi klejnotami królewskimi. Pojawił się znów w Londynie w roku tysiąc osiemset sześćdziesiątym, należał wówczas do bogatej rodziny przemysłowców, których los w ciągu kilku lat straszliwie się odwrócił. Spotkał ich upadek moralny, ruina, samobójstwa.

Po fotografii angielskiego zamku nastąpiło zdjęcie starej broni palnej, potem londyńskiego burdelu, wreszcie starej strzykawki, która wyglądała tak, jakby należała do Sherlocka Holmesa.

Loiseaux połknął haczyk. Chciał znać koniec, tak jak w dobrym kryminale. Dał znak Martinowi, żeby mówił dalej.

– „Klucz do raju” przechodził w ten sposób z rąk do rąk aż do początków dwudziestego wieku. Pewien książę z Europy Wschodniej ofiarował go swojej przyjaciółce z Folies Bergères, która zabiła go strzałem z rewolweru. A kiedy brylant dostał się w ręce sułtana Abdulhamida, ten kilka miesięcy później stracił tron i całe imperium...

– Czy jesteś pewien, że to wszystko prawda? – spytał z niedowierzaniem Loiseaux.

– W większości tak. W latach dwudziestych kamień wylądował u jubilera Pierre'a Cartiera, i to on nadał mu jego obecny szlif, zanim sprzedał go bogatemu bankierowi na zabój zakochanemu w Isadorze Duncan.

– W tej tancerce?

– Tak. I ona wkrótce tragicznie zmarła, kilka dni po otrzymaniu brylantu, w Nicei, zaduszona przez szal, który wkręcił się w koło jej wyścigowego samochodu. Co do bankiera, stracił całą swoją fortunę i popełnił samobójstwo podczas wielkiego kryzysu.

Na ekranie pojawiły się teraz zdjęcia pierwszych stron gazet, na których była mowa o tragicznej śmierci gwiazdy okresu międzywojennego i następnie zdjęcia obrazujące kryzys gospodarczy lat trzydziestych: bezdomni w kolejce po darmową zupę, biznesmeni zrzuconani w kilka godzin, rzucający się z dachów wieżowców.

– A potem?

– Potem brylant kupił biznesmen Joe Kennedy i ofiarował go w prezencie ślubnym najstarszemu synowi Josephowi, o którym od urodzenia było wiadomo, że ma zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych.

– Ale w roku czterdziestym czwartym bombowiec, na którego pokładzie on się znajdował, eksplodował nad kanałem La Manche.

– Tak jest – potwierdził Martin. – Ta przedwczesna śmierć zaważyła na politycznych losach jego młodszego brata, Johna Fitzgeralda, do tego czasu kompletnego dyletanta, o słabym zdrowiu, bardziej zainteresowanego kobietami i dziennikarstwem aniżeli polityką...

– Czy naprawdę przekłety brylant dostał się w jego ręce?

– Tego nie wiadomo – rzekł Martin. – Jedni mówią, że miała go na szyi Marilyn Monroe w noc swojej śmierci, inni, że JFK miał go w kieszeni podczas zamachu w Dallas, jeszcze inni w końcu twierdzą, że miała go na szyi Carolyn Bessette, kiedy w roku dziewięćdziesiątym dziewiątym prywatny samolot jej męża Johna-Johna spadł do Oceanu Atlantyckiego. Ale ta informacja nie jest sprawdzona.

– A do kogo należy brylant obecnie?

– Do Stephena Browninga, amerykańskiego miliardera czy też raczej do grupy Kurtline, której jest on największym akcjonariuszem. To wielka firma inwestycyjna, której akcje...

– Właśnie tragicznie spadły! – odgadł Loiseaux.

Martin potwierdził, pokazując wykres spadku wartości akcji tej grupy oraz list z informacją o bliskiej licytacji „Klucza do raję”. Najwyraźniej Kurtline zdecydowała się pozbyć klejnotu.

– Jednego nie rozumiem: dlaczego wszyscy marzą o posiadaniu brylantu, który jest źródłem tylu nieszczęść?

– „Klucz do raju” jest symbolem czystości. Legenda mówi, że przynosi pecha, jeśli został kupiony przez kogoś niewierzącego lub próżnego. W przeciwnym wypadku ma być źródłem szczęścia i długiego życia.

– A jaki to ma związek z Archibaldem McLeanem?

– Niech pan posłucha, pułkowniku, większość ekspertów była pewna, że brylant znikł, a w każdym razie, że już nigdy nie pojawi się na rynku. Jego wartość jest trudna do oszacowania i w sekundę cena poszybuje w górę. Według moich informacji niektórzy kolekcjonerzy gotowi są zań dać prawdziwą fortunę. Rosjanie, Chińczycy... Wszyscy marzą o tym brylancie i założą się, że pójdzie za ponad pięćdziesiąt milionów dolarów...

Loiseaux pokręcił sceptycznie głową. Martin nie dopuścił go do głosu.

– Ten kamień nie jest zwykłym brylantem. To legenda, klejnot jak z bajki. I jedyna rzecz, jaka może obecnie wzbudzić zainteresowanie McLeana.

– Jakie ma pan na to dowody, kapitanie?

Martin zdecydował się na blef.

– Nie potrzeba mi dowodów. Znam McLeana jak siebie samego, czuję to, co on czuje, moje myśli są jego myślami. Wiem, że będzie chciał przywłaszczyć sobie brylant, wiem, jak się do tego zabierze, wiem, jak mu w tym przeszkodzić. Proszę skontaktować mnie z FBI i pozwolić pojechać na licytację.

– Bez konkretnych dowodów to niemożliwe, zdaje pan sobie z tego sprawę.

– Przecież mamy znajomych w zespole do zwalczania

kradzieży dzieł sztuki: w zeszłym roku pomogliśmy im w sprawie kradzieży u Hoppera i zgodziliśmy się na udział agenta FBI w naszym śledztwie. Wiedzą, że nam można ufać!

Loiseaux potrząsnął głową.

– To było co innego, mieliśmy informacje: rezultat podsłuchów telefonicznych, systematycznego śledzenia podejrzanych, zdjęcia... Tutaj nie mamy nic!

Zapadła cisza. Martin, ubrany jak zbuntowany nastolatek, przysiadł na szklanym biurku szefa i prowokacyjnie zapalił papierosa.

Pułkownik popatrzył na niego z sympatią. Jakoś tego ranka zachowanie podwładnego nie potrafiło wyprowadzić go z równowagi. Był po prostu smutny i trochę zirytowany.

– Za czym właściwie tak pan goni, do cholery?! – spytał wreszcie zniecierpliwiony.

Pytanie zawisło w powietrzu wypełnionym dymem z papierosa.

– Nawet jeśli pan wreszcie złapie tego McLeana, co to zmieni? A przynajmniej co to zmieni w pańskim życiu, Beaumont?! Chyba pan sobie zdaje sprawę z tego, że nic!

– A pan, pułkowniku, za czym pan goni? – spytał zaczepnie Martin.

– Ja już za niczym nie gonię, znalazłem to, czego szukałem. A poza tym od pewnego wieku wszystko polega na tym, żeby nie stracić tego, co się zdobyło.

– A co pan zdobył?

– To, o co każdy powinien walczyć: zdobyłem swoją brakującą połowę.

Martin nie miał ochoty kontynuować rozmowy. Plotki mówiły, że Loiseaux ostatnio opuścił żonę i dzieci i zamieszkał z młodym porucznikiem prosto ze szkoły policyjnej. Kryzys wieku średniego? Złudzenia? Prawdziwa miłość?

Pomyślał o Karine, o wiadomościach, które zostawiała w jego komórce i które on systematycznie ignorował. Czy to ona była jego brakującą połową? Nie, był pewien, że nie. Ale określenie, którego użył szef, zaczęło niczym jad węża atakować jego organizm, oziębiając mu krew i podkopując fundamenty kamiennego muru, którym obudował serce. Poczł zawrót głowy. Zamknął oczy i cofnął się w czasie o trzysta lat... Oto stoi przed terminalem lotniska w San Francisco, jest deszczowy letni poranek. Czuje, jak jej mokre włosy mieszają się z jego włosami, widzi błyszczące w deszczu spojrzenie zielonych oczu i słyszy głos, który prosi: „Nie odjeżdżaj!”.

Nie odjeżdżaj!

*

Nowy Jork

Kafeteria w szpitalu na Staten Island

Doktor Garrett Goodrich usiadł naprzeciwko Archibalda McLena.

Rozłożył na stole kilka teczek z wynikami ostatnich badań.

Wbrew ostrzeżeniom lekarza Archibald wyjął z kieszeni płaską butelkę z whisky i łyknął trochę cennego nektaru. Nie miał nań

szczególnej ochoty, ale chciał rozdrażnić siedzącego obok doktora. Nikt nigdy nie wydawał mu rozkazów i na pewno ten facet tego nie zmieni. Zakręcił srebrną butelkę i zmierzył się wzrokiem z doktorem Goodrichem.

Wyglądali prawie tak samo: byli w podobnym wieku, tej samej postury, niewysocy, mocno zbudowani. Obaj mieli charyzmę i robili na otoczeniu duże wrażenie.

– A więc mam umrzeć, tak?

Archibald z przyzwyczajenia mówił to, co myślał, szczerze i bez ogródek.

Goodrich nie spuścił wzroku. Czuł dziwną sympatię dla tego pacjenta, który mógł być jego bratem, przyjacielem, jego alter ego... Co on by wolał, gdyby był na jego miejscu? Miłosierne kłamstwo czy gorzką prawdę prosto w oczy?

– Ma pan guz na trzustce z przerzutami na gruczoły limfatyczne i wątrobę.

Archibald ani drgnął. Goodrich mówił dalej:

– Nowotwór jest w zaawansowanym stadium i nie kwalifikuje się do operacji, a jeśli chodzi o złośliwość, to zaledwie parę razy widziałem coś gorszego. Żeby zmniejszyć ból brzucha, moglibyśmy spróbować chirurgii i chemioterapii, ale wątpię, czy to okaże się bardziej skuteczne niż zwykły środek przeciwbólowy. Pańskie szanse na przeżycie dłużej niż trzy miesiące są prawie żadne.

Archibald zamknął oczy. Poczuł szybkie bicie serca. Przynajmniej sprawa jest jasna: został przyparty do muru i musi stanąć do ostatniego pojedynku, z góry znając rezultat.

Przez dłuższą chwilę mężczyźni patrzyli na siebie w milczeniu. Potem Garrett Goodrich wstał i podszedł do baru, skąd przyniósł pusty kieliszek. Teraz on z kolei nalał sobie whisky z butelki pacjenta i wypił z nim razem.

Serce Archibalda się uspokoiło. Dziwne, ale ta ponura przepowiednia jakby wyzwoliła mężczyznę ze strachu: strach przed najgorszym jest gorszy od pewności najgorszego.

Najgorszym wrogiem jest strach.

Tylko strach.

9.

Panna Ho

*Szlochał, szklane łyż spadły,
Gdy podłogi dotykały,
Rozległa się muzyka, jakby strun na instrumencie
Anioł tykał... Upiór tykał...*

MICHEL POLNAREFF

Gare Saint Lazare, 20.10

Pociąg z Rouen przyjechał z półgodzinnym opóźnieniem. Strajk? Problem techniczny? Wypadek? Zniechęcony i zmęczony Martin nie miał siły się nad tym zastanawiać.

Wysiadł na peron jako jeden z pierwszych. Ręce trzymał w kieszeni kurtki, na głowie miał kaptur, w uszach słuchawki iPoda. Starając się jak najszybciej opuścić miejską, lodowatą atmosferę dworca, wmieszał się w tłum.

Na ruchomych schodach poczuł z tyłu czyjąś obecność. Ktoś stanął zdecydowanie zbyt blisko niego. Martin się odwrócił. Zobaczył wielkiego Azjatę zbudowanego jak zawodnik sumo. We

włoskim garniturze i w ciemnych okularach osobnik wyglądał jak z filmu Johna Woo.

A potem zza jego wielkich pleców wychynęła kocia sylwetka jeszcze młodej kobiety odziana we wcięty trencz. Z majestatem królowej diwa zesza stopień niżej, żeby zbliżyć się do Martina, który ze słuchawkami w uszach, zatopiony w muzyce, z ruchu jej warg odczytał:

– *Good evening, mister Beaumont.*

Martin zdjął słuchawki i zmrużył oczy. Skąd zna tę kobietę?

– Moon Jin-Ho – przedstawiła się, wyciągając do niego rękę.

Nic mu to nie powiedziało, ale po chwili uświadomił sobie, że to jest panna Ho, słynna „Pantera z Seulu”.

– Musimy porozmawiać, panie Beaumont. Czy mogę do pana mówić po imieniu?

Musimy porozmawiać? Martin zmarszczył brwi i przez długą chwilę patrzył na wyciągniętą rękę Koreanki, zanim zdecydował się jej dotknąć.

– Niech pan mnie nie straszy! – zażartowała kobieta, przysuwając się do niego. – Czyżby stracił pan mowę?

Martin nawet się nie uśmiechnął. Wiedział, że panna Ho może być groźna i że jej urok i grzeczność kryją istotę ze stali o ambicjach bez granic. Była słynną postacią w środowisku policji. Media zaczęły o niej mówić pięć lat wcześniej, kiedy pracowała w Biurze Prokuratora Generalnego w Seulu. Na czele grupy pięćdziesięciu wywiadowców zdołała zdemaskować bossów triady i wsadziła do więzienia głównych szefów mafii koreańskiej Jopok. Była to

niezwykle skuteczna operacja, wykonana bez żadnych pośredników, która oczyściła Seul z większości grup kryminalnych zarządzających prostytutką i hazardem za pomocą szantażu i morderstw. Ten sukces zrobił z panny Ho bohaterkę, ale również skazał ją na stałe życie z ochroniarzem, ponieważ triada wydała na nią wyrok śmierci. Martin wiedział, że panna Ho pracowała obecnie dla filii Lloyd's Brothers, jednego z największych towarzystw ubezpieczeniowych na świecie.

– Zapraszam pana na kolację – zaproponowała Koreanka. – Potrzebuję wieczoru, żeby pana przekonać.

– Przekonać mnie do czego?

– Ma pan bardzo ładny głos.

– Przekonać mnie do czego? – powtórzył zirytowany.

– Do współpracy ze mną.

– Ja z nikim nie współpracuję! – potrząsnął głową Martin.

– Współpracuje pan z państwem, a państwo nie docenia pańskich zasług.

Martin popatrzył na nią. Na dworcu panował tłok, ale postać sumity służyła im za parawan i chroniła przed tłumem.

– Niech pan współpracuje ze mną! – powiedziała Koreanka. – We dwoje może będziemy mieli więcej szczęścia...

– W czym?

– W złapaniu Archibalda McLeana.

*

Bentley z ciemnymi szybami przejechał ulicę Saint Lazare i bulwar Haussmanna, po czym skręcił na plac Concorde. Wnętrze samochodu pachniało nowością. Siedzący za kierownicą olbrzym w ciemnych okularach prowadził płynnie, słuchając w odtwarzaczu CD *Mszy* Bacha. Zamyślony Martin na tylnym siedzeniu patrzył niewidzącymi oczyma na tysiące niebieskich żarówek ozdabiających niczym wodne kaskady gałęzie drzew rosnących wzdłuż Pól Elizejskich. Siedząca obok panna Ho spoglądała na niego ukradkiem. Spod obszytego futrem kaptura zielonej kurtki, której Martin nawet nie zdjął, wystawały kosmyki za długich włosów i ponadtrzydniowy zarost. Wycięcie przy swetrze pozwalało domyślać się dramatycznego tatuażu, nad wargą był przyklejony opatrunek. Dla panny Ho Beaumont wyglądał jak młody szpaner z przedmieść, niezwykle przystojny, romantyczny, ale twardy. Przez sekundę udało się jej spotkać jego spojrzenie. Błyszczące inteligencją ciemnoniebieskie oczy Martina miały moc przyciągania, jaką obdarzone są oczy mężczyzn, którzy dawno sobie odpuścili chęć podobania się czy uwodzenia.

Samochód przejechał przez most na Sekwanie i skręcił w prawo na quai d'Orsay, które wkrótce zmieniło nazwę na Branly. Po dłuższej chwili wjechali w avenue Suffren.

Panna Ho poczuła dreszcze. Życie zmusiło ją do konfrontacji z najgorszymi kryminalistami, udało jej się uzyskać wyroki śmierci dla szefów najokrutniej szych gangów, od lat igrała z losem, denerwując płatnych morderców nasyłanych na nią przez mafię. Ani

razu nie zadrżała, ale siedząc obok tego mężczyzny, poczuła strach. Strach przed samą sobą, przed dziwnym, zakłócającym jej pewność siebie uczuciem, które nagle ją ogarnęło. Płacono jej fortunę za umiejętność przeglądania ludzi na wylot, za znalezienie ich słabych punktów, ich bliźn. Teoretycznie знаła Martina jak samą siebie: towarzystwo ubezpieczeniowe, które ją zatrudniało, śledziło go od wielu miesięcy. Panna Ho zapoznała się bardzo dokładnie z jego dossier, przeczytała jego pocztę elektroniczną, dotarła do wiadomości ukrytych na twardym dysku jego komputera, słuchała regularnie jego rozmów telefonicznych, służbowych i prywatnych. Myślała, że wracza na teren dokładnie jej znany, ale nie przewidziała magicznego efektu, jaki wywarł na niej ten młody mężczyzna.

Przymknęła oczy. Skupiła się, żeby odsunąć od siebie rodzące się pożądanie. Wiedziała, że uczucia są często bardziej niebezpieczne i zagrażają życiu mocniej niż dziewięćmilimetrowa kula czy ostrze szpady.

Bentley zatrzymał się niedaleko Pola Marsowego. Sumka otworzył drzwiczki od samochodu i zatrasnął je, gdy wysiedli.

Było zimno. Termometr wskazywał niemal zero stopni i zerwał się wiatr, w którym wirowały krople deszczu zmieszane z płatkami śniegu.

– Mam nadzieję, że nie ma pan lęku wysokości? – spytała panna Ho, wskazując na metalową sylwetkę wieży Eiffla oświetloną błękitnym światłem na cześć Europy.

Martin, żeby poczuć ciepło, zapalił dunhilla i wydmuchał perłowy dym.

– Wprost przeciwnie, lubię stać nad przepaścią! – oznajmił zaczepnie.

*

Martin szedł za Koreanką w kierunku wieży Eiffla, pod dach prywatnego wejścia do restauracji Jules Verne. Winda stanęła na drugim piętrze. Kierownik sali zaprowadził ich do stolika. Restauracja, zajmując przestrzeń pokrywającą cztery nogi wieży, tworzyła swego rodzaju krzyż maltański.

Czekoladowe dywany, dyskretny dźwięk fortepianu, włoskie fotele, widok zapierający dech w piersiach: miejsce było magiczne. Wskazany im stolik stał przy oknie, z którego widać było wspaniale oświetlone Trocadéro.

Szybko zamówili posiłek, po czym panna Ho wyjęła z torebki prostokątną, kremowo-szarą kopertę i wręczyła ją Martinowi.

Młody policjant otworzył ją: wewnątrz był czek na jego nazwisko, opiewający na dwieście pięćdziesiąt tysięcy euro, wystawiony przez towarzystwo ubezpieczeniowe Lloyd's Brothers.

Równowartość tego, co zarobiłby policjant przez dziesięć lat.

*

Martin (*odpychając od siebie kopertą*): O co właściwie pani chodzi? – pyta.

Panna Ho: Proszę to traktować jako zaliczkę. To premia powitalna, żeby pana zachęcić do zrezygnowania z pracy w policji – odpowiada.

Martin milczy. Osłupiały, przesuwa nieobecny wzrokiem po lososiu marynowanym w cytrynie, kawiorze i wódce. Panna Ho dostała smażone muszle Świętego Jakuba, które zajada ze smakiem.

Po chwili

Martin: Czego pani się po mnie spodziewa?

Panna Ho: Już panu powiedziałam. Chcę, żeby pan mi pomógł zatrzymać Archibalda McLeana.

Martin: Dlaczego ja?

Panna Ho: Jest pan jedynym policjantem na świecie, który go widział, i jedynym, który miał go na muszce. Całe noce poświęca pan, żeby go zrozumieć, przekonany jest pan, że pańskie życie jest w stu procentach związane z jego życiem...

Martin: Skąd pani ma takie wiadomości?

Panna Ho (*unosząc do ust kieliszek z różowym szampanem*): Wyjaśnijmy sobie jedno, Beaumont. Wiem o panu wszystko. Znam rozmiar biustonosza pańskiej babki, imię pańskiej nauczycielki ze szkoły podstawowej, wiem wszystko o pana pracy, wiem, jak bardzo jest pan samotny, znam markę papierków, w które zawija pan tytoń, listę ulubionych stron internetowych z pornografią...

Martin nie może powstrzymać uśmiechu. Od kilku tygodni uważał już, że jest śledzony i że ktoś podłączył się pod jego komputer. Myślał, że to sprawka Centralnego Biura do Walki z Korupcją i postarał się zabezpieczyć to, co dla niego było najważniejsze: Nico, małą Camille oraz sekretne dossier na temat Archibalda. Koreanka myśli, że go zna, ale nie wie tego, co dla niego najistotniejsze.

Ona odgaduje, że Martin traktuje ją z pogardą, uświadamia sobie, że nie tędy droga i że nie uda mu się pozyskać go szantażem. Rzuca więc swoją ostatnią kartę.

Panna Ho: Myśli pan, że wie pan wszystko o Archibaldzie, ale się pan myli.

Martin: Słucham panią.

Panna Ho: Dla pana McLean to genialny złodziej, a dla nas kidnapier.

Martin marszczy brwi.

Panna Ho: Oficjalnie kidnaping dzieł sztuki nie istnieje, ponieważ gdyby uznać go oficjalnie, zachęciłoby się przestępców do tego typu praktyk – ciągnie panna Ho. – W naszym środowisku to temat tabu i nikt nigdy nie złamie zasady absolutnej dyskrecji. Ani towarzystwo ubezpieczeniowe, ani dyrektor muzeum, nikt nie przyzna się, że zapłacił żadaną przez złodzieja sumę pieniędzy, aby odzyskać skradzione dzieło sztuki.

Martin (*wzruszając ramionami*): Wiem o tym.

Panna Ho: Tak. McLean jest mistrzem tego typu kradzieży. Z wyjątkiem kilku obrazów, z którymi nigdy nie chciał się rozstać, regularnie pertraktuje z towarzystwami ubezpieczeniowymi, żeby zwrócić dzieła, za które wyznaczono bardzo wysoką nagrodę. Ale najdziwniejsze jest to, co on robi z tymi pieniędzmi...

Panna Ho specjalnie milknie. Martin stara się zachować obojętność, udaje, że zajęty jest próbowaniem małych langust pieczonych z truflami, które właśnie przed nim postawiono. Potem patrzy na pannę Ho tak, jakby podziwiał obraz w muzeum. Cera Koreanki

jest zadziwiająco jasna, jak płatek róży. Wysoka, szczupła jak modelka kobieta ma na sobie kloszową spódnicę ze skosu i czarną koszulową bluzkę. W stroju tym bardziej przypomina Audrey Hepburn niż Gong Li.

Panna Ho: Według amerykańskiego fiskusa Archibald stworzył skomplikowany system spółek – ekranów do prania skradzionych pieniędzy. Niektóre sumy można odnaleźć w rachunkowości pewnych organizacji humanitarnych.

Panna Ho pokazuje Martinowi ekran blackberry, na którym widnieje lista tych organizacji sporządzona przez urząd skarbowy. Martinowi rzucają się w oczy niektóre nazwy: Lotnictwo bez Granic, Flying Doctors, Skrzydła Nadziei...

Płatki śniegu wirują w powietrzu o kilka centymetrów od nich, uderzając w szyby restauracji. Panna Ho wciąż mówi, ale Martin już jej nie słucha. Archibald jest więc rodzajem nowoczesnego Robin Hooda, wykorzystuje swoją pasję w celach charytatywnych! W mózgu Martina powstaje tysiąc hipotez, z których każda rodzi pytanie: jakie grzechy chce odkupić złodziej?

Panna Ho: Zna pan naszą firmę, Lloyd's Brothers?

Martin kiwa głową. Lloyd's Brothers jest najważniejszą organizacją na rynku sztuki: konglomerat spółek ubezpieczeniowych, który przez lata pochłoniął głównych konkurentów, zdobywając pozycję monopolisty. Teraz do Lloyd's Brothers należały najważniejsze kontrakty ubezpieczeniowe na rynku sztuki.

Panna Ho: Od pięciu lat Lloyd's Brothers traci większość swoich premii na pokrycie szkód wyrządzonych przez Archibalda.

Martin (*wzruszając ramionami*): To wasz problem, nie mój.

Panna Ho: W tym roku na skutek jego wzmożonej aktywności grupa znalazła się w trudnej sytuacji finansowej. Aby pokryć dziesiątki milionów euro strat, musiała sięgnąć do rezerw...

Martin: Kryzys nikogo nie omija.

Panna Ho (*starając się zdusić złość*): Nie możemy tego dłużej tolerować! Zresztą podobnie FBI. Pracujemy z nimi ręką w rękę i jesteśmy zdecydowani definitywnie rozwiązać problem Archibalda!

Martin: Chciałbym wiedzieć, jak chcecie tego dokonać.

Panna Ho: Zgodziliśmy się ubezpieczyć ten słynny brylant, „Klucz do raję”, który będzie licytowany niedługo w San Francisco. Tak jak pan myślę, że Archibald na pewno zechce go ukraść, ale ta kradzież będzie kroplą przepelniającą czarę. Pan tam się zjaw i mu w tym przeszkodzi.

Nie pozwalając dojść do głosu Martinowi, panna Ho kładzie na stole bilet lotniczy.

Panna Ho: Współpracuję bezpośrednio z FBI i chcę, żeby pan był moim partnerem w tej misji. Ma pan kwadrans na przyjęcie lub odrzucenie oferty.

Martin patrzy na bilet. Jest to bilet w jedną stronę do San Francisco z datą za dwa dni. A więc Azjatka używa presji psychologicznej, to jej specjalność. Jednak Martin stawia warunki.

Martin: Potrzebuję oficjalnego zezwolenia FBI na posiadanie broni na terytorium USA, a także zezwolenie na osobiste zatrzymanie Archibalda McLeana.

Panna Ho: To niemożliwe.

Martin: W waszym kraju wszystko się negocjuje, to jego siła i jego słabość, wie pani o tym równie dobrze jak ja.

Panna Ho: To niemożliwe.

Martin: Proszę posłuchać: może pani zmobilizować FBI, IRS *, jak również całą armię amerykańską, i tak nie uda wam się zatrzymać Archibalda, chyba że wiecie, gdzie on przebywa. Ale nie wiecie nic o jego przeszłości, o tym, co nim powoduje. Nie macie żadnej potwierdzonej informacji, żadnego udokumentowanego świadectwa z jego życiorysu. Natomiast ja...

* IRS (Internal Revenue Service) – amerykańskie biuro podatkowe.

Wyjmuje z kieszeni plastikową torebkę, taką, do jakich zbiera się dowody na miejscu zbrodni. Wewnątrz jest nalepka z butelki od szampana.

Martin: Ja posiadam to, czego wy nigdy nie będziecie mieli: odcisk palca Archibalda.

Panna Ho patrzy na niego z powątpiewaniem.

Martin: Pół roku temu Archibald przysłał mi butelkę Dom Pérignon. Rodzaj prowokacji albo zabawa. W każdym razie zostawił na niej wyraźny odcisk palca. Odcisk, którego nie ma w żadnych dokumentach i który znam tylko ja. Już przeszukałem komputerowy spis odcisków palców, ale trzeba spróbować poszukiwać na

skalę europejską, poprzez Eurodac, a przede wszystkim trzeba przejrzeć bazę danych FBI.

Panna Ho wyciąga do niego rękę, mając przez chwilę nadzieję, że Martin wręczy jej plastikową torebkę. Patrzą sobie w oczy, wreszcie młody policjant składa ostateczną propozycję.

Martin: Odcisk palca za pozwolenie FBI, żebym sam mógł zatrzymać Archibalda na terenie Stanów.

Wstaje od stołu, nie próbując nawet sufletu z gorzkiej czekolady, i uprzedza:

Martin: Ja daję pani pięć minut na podjęcie decyzji.

10.

Karuzela życia

Wsiadliśmy znów obydwójce

Na karuzelę życia.

Kręciliśmy się, kręcili

Razem objęci

Razem objęci...

Muzyka GEORGES'A DELERUE

Słowa CYRUSA BASSIAKA (Serge'a Rezvaniego)

Wieża Eiffla, Restauracja Jules Verne, 22.03

Pod eskortą kierownika sali Martin skierował się ku wyjściu, ale najpierw przeszedł przed wielkimi oszklonymi drzwiami do kuchni. W tej świątyni luksusu nikt wcześniej nie miał do czynienia z wolnymi elektronami, więc łamiąc bez trudu wszelkie uświęcone zasady, Martin wszedł w zakazane rejony, otworzył lodówkę i wyjął z niej puszkę dietetycznej coli, po czym wyszedł z restauracji.

Zjechał na dół windą, podciągnął zamek błyskawiczny przy kurtce i włożył słuchawki na uszy. Słuchał cały czas tego samego,

ostrego, agresywnego rapu z lat dziewięćdziesiątych, tego samego, którego słuchał w liceum, a potem na studiach, tych samych piosenek, które z czasem stały się kultowe: *Naciskam na spust*, *Paryż pod bombami*, *Odlóż broń...* To była jego muzyka, muzyka dziecka wychowanego w robotniczych osiedlach w Essonne, styl pełen złości, atakujący. W każdym razie nie była to muzyka klienta restauracji odwiedzanej głównie przez turystów spędzających w Paryżu podróż poślubną.

*

Na Polu Marsowym wiał lodowaty wiatr. Martin zatarł dłonie, żeby się rozgrzać, i zrobił kilka kroków po quai Branly. Jak zwykle ciągnęło go nad rzekę, więc wszedł na Pont d'Iéna łączący wieżę Eiffla z Trocadéro. Spojrzenie jego pobiegło ku statkom wycieczkowym i migotliwym światłom tańczącym na wodzie jak robaczki świętojańskie. W powietrzu wciąż unosiły się płatki śniegu, ale tak jak przedtem przypominały mu one lekką watę, teraz wydawały się podobne do białego proszku kokainy.

Wyjął z kieszeni bilet lotniczy, którego postarał się nie zostawić na stoliku w restauracji.

San Francisco...

Na samą myśl o tym mieście przeszedł go dreszcz. Doznał dwójakich uczuć, najpierw opanowała go paraliżująca tęsknota, potem nadeszła niszcząca fala wspomnień. Musiał z nią walczyć prawie fizycznie, żeby nie poddać się rozpacz.

Wróciło uczucie straszliwej pustki i wspomnienie kilku

bajecznych dni tamtego lata. Poczul dotyk ramion Gabrielle. Znów wydało mu się, że stanowią jedność. Coś takiego wydarzyło mu się tylko raz.

Dlaczego miłość jest jak narkotyk?

Dlaczego prowadzi do takiego cierpienia?

Dźwięk katarynki sprowadził go do rzeczywistości. Rozpoznał melodyjny refren z pięknego filmu Truffaut, przypomniał sobie tytuł piosenki: *Karuzela życia*.

To prawda, życie jest jak karuzela...

Najpierw wirujemy w pędzie karuzeli w wesołych miasteczkach dzieciństwa.

Potem w pędzie miłości i zapamiętania, usypiając w ramionach tej drugiej osoby w zbyt wąskim łóżku, jedząc późne śniadanie po całej nocy miłości...

A potem wirujemy w nieszczęściu, w tajfunie, który ściąga nas na dno, kiedy siedzimy sami w maleńkiej łódce i nagle nadchodzi sztorm.

I strach.

*

– Martin!

Martin słyszy, jak ktoś wymawia jego imię z angielska: „Maartiin”.

Kilka metrów za nim panna Ho w towarzystwie swego ochroniarza daje mu znak, żeby do niej podszedł.

Jest przekonany, że ona ustąpi, że wygrał.

Wygrał prawo polowania na Archibalda w Stanach.

Prawo kontynuowania pojedynku z największym złodziejem

wszech czasów. Jedyny ceł, jaki znalazł, żeby się nie załamać i nadać swemu życiu sens.

Jedyna rzecz, która pozwala mu wierzyć w przeznaczenie.

A jego przeznaczeniem jest złapać Archibalda McLeana. To jest jak irracjonalna wiara przyczepiona do niego jak łańcuch do nogi więźnia; nosi ją w sobie od lat.

A teraz, kiedy znalazł odcisk palca na butelce, wydaje mu się, że jest bliski celu.

Zdaje sobie sprawę, że ten odcisk jest zbyt wyraźny, zbyt rzucający się w oczy, zbyt oczywisty, żeby nie być przynętą. Archibald nigdy nie popełniłby takiego błędu.

On nie znalazł tego odcisku, Archibald mu go podarował.

Najwyraźniej zmieniły się reguły gry: to nie on ściga Archibalda, to Archibald stara się go do siebie przyciągnąć.

Pozostaje zapytać, w jakim celu?

11.

Dzień, kiedy odejdiesz

*Oto najstraszniejsze: sztuka życia polega
na tym, aby nigdy nie okazać najdroższym
sercu osobom, że są nam tacy drodzy.
Jeśli to uczynimy, stracimy je.*

CESARE PAVESE

Nazajutrz, wtorek, 21 grudnia

Siedziba paryskiej policji kryminalnej, 10.40

W momencie składania podania o zwolnienie z pracy Martin dostał gęsiej skórki. Ujrzał w wyobraźni swoją przeszłość, kiedy jako bardzo młody człowiek znalazł się w budynku położonym dwa kroki od katedry Notre Dame, pod mitycznym adresem: quai des Orfèvres numer 36.

Przypominał sobie, jak pokonywał wąskie korytarze i dziewiętnastowieczne schody w poszukiwaniu duchów legendarnych policjantów, których pokolenia wydeptały podłogi tego ciasnego, staromodnego miejsca, nieprzystosowanego do warunków pracy

nowoczesnej policji, ale naznaczonego także silnymi emocjami przeszłości.

Najpierw wydział do zwalczania narkotyków, potem CBWPZ... Nie wiadomo kiedy minęło dziesięć lat pracy Martina w tym miejsku. Nigdy nie czuł się tutaj jak w domu, koledzy policjanci nie stali się jego drugą rodziną, ale jednak rozstanie było trudne.

Pół godziny później wyszedł z tego przybytku. Żłociste słońce oblewało promieniami chodniki nad Sekwaną. Zwrócił odznakę, legitymację, przydziałowy pistolet i kajdanki. Obecnie czuł się nagi. Jednocześnie przygnębienie i ulga. No i nie jest już policjantem. Będzie musiał się do tego przyzwyczać.

*

Maison de Solenn **Bulwar de Port Royal, 15.30**

Gdy się patrzyło od ulicy, Maison de Solenn* był podobny do ogromnego szklanego okrętu. Jego dwa skrzydła skierowane ku centrum miasta jakby zapraszały do wejścia. Martin przeszedł przez porośniętą zielenią esplanade i znalazł się w maleńkim ogrodzie, którego ścieżki prowadziły do budynku szpitalnego. Przychodził tutaj raz w tygodniu od trzech lat.

* Maison de Solenn – instytucja dla nastolatków „z problemami” od dwunastu do dziewiętnastu lat, powstała z inicjatywy Bernadette Chirac. Nazwa „Solenn” pochodzi od imienia córki słynnego dziennikarza Patricka Poivre-d'Arvora, która w wieku dziewiętnastu lat popełniła samobójstwo.

Hol szpitala był przestrzenny i jasny: sześć tysięcy metrów kwadratowych zalanych światłem, z jasnym parkietem i bardzo wysokim sufitem, z którego zwisały wielkie afisze informujące o życiowych problemach nastolatków.

Martin czuł się dziwnie dobrze w tym miejscu, które przypominało wszystko oprócz szpitala: wielkie przestrzenie, przezroczyste fasady, wokoło mnóstwo zieleni, to wszystko kazało zapomnieć, że przebywa się w miejscu zamkniętym.

Poszedł od razu na trzecie piętro poświęcone w całości terapii kulturalnej. Znajdowały się tu biblioteka multimedialna, kuchnia, sala taneczna, sala muzyczna, studio radiowe...

Martin w niewiele co wierzył, ale wierzył w uzdrawiającą moc sztuki, we wpływ kultury na podniesienie poczucia własnej wartości, w to, że akt tworzenia może być tarczą broniącą przed przeciwnościami losu.

Zajrzał przez drzwi do studia malarskiego.

– Witaj, Soniu.

– Cześć, Martin. Przyszedłeś za wcześnie! – odpowiedziała młoda kobieta w białym fartuchu.

Serdecznie pocałowała go w policzek i dała znak, żeby wszedł do sali, w której pełno było dzieł jej podopiecznych. Za każdym razem Martin czuł się poruszony siłą emocjonalną tych prac: niespokojne obrazy, nad którymi unosił się cień śmierci, gipsowe anioły pocieszyciele, niszczycielskie demony, odlewy chudych ciał

młodych anorektyków, robione w momencie ich przyjęcia do szpitala, potem te same ciała pół roku później, po powrocie do normalnej wagi i normalnych kształtów. Miało się wrażenie, że pośrodku tej sali ostro ścierają się ze sobą anioł i diabeł w pojedynku, którego rezultat wcale nie jest oczywisty. Tak jak w życiu...

– Martin, czy możesz mi pomóc przestawić te stojaki?

Młody policjant chętnie ruszył do pomocy.

– Czy ona jest już po konsultacji? – zapytał.

– Tak, czeka na ciebie na górze.

– Chodź ze mną.

– Martin, przecież jesteś dorosłym mężczyzną!

– Muszę ci coś powiedzieć, Soniu...

Sonia poszła za nim i kiedy stanął przy windzie, zawołała:

– Schodami, ty leniu! Ostatni stawia obiad w restauracji!

Zanim jeszcze skończyła mówić, wbiegła na schody prowadzące w kierunku tarasu na dachu, przeskakując po dwa stopnie naraz.

Martin z trudem ją dogonił i przycisnął do ściany.

– Muszę ci coś powiedzieć.

– Że mnie kochasz? Ale wiesz, że to niemożliwe, mam narzeczonego...

– Och, przestań się wreszcie wygłupiać... – Puścił ją.

– Co chcesz mi wyznać? Że wyjeżdżasz? Ale nie mnie musisz

to powiedzieć, tylko jej. Musisz powiedzieć Camille...

*

Martin spotkał po raz pierwszy doktor Sonię Hajeb, szefa kliniki i psychiatrę dziecięcego trzy lata wcześniej, kiedy przyszła do niego do gabinetu w biurze CBWPZ.

Była szczupłą, młodo wyglądającą brunetką z włosami związanymi z tyłu głowy gumką. Niewiele starsza od niego, miała na sobie dzinsy i skórzaną kurtkę. Mieszkała w Saint Denis i mogłaby być jego siostrą, której nigdy nie miał.

Praca jej polegała na walce z anoreksją, bulimią, depresją i innymi rujnującymi zdrowie zachowaniami prowadzącymi nastolatków do samobójstw.

Od jej pierwszych słów poczuł, że jest kimś wyjątkowym.

– To, co zamierzam ujawnić, jest całkowicie zakazane przez prawo i potępiane przez etykę lekarską.

Spodobał mu się ten wstęp – zdradzał siłę i determinację kobiety.

– I szczerze panu powiem, że ryzykuję swoje stanowisko.

– Dlaczego więc pani to robi?

– Ponieważ wydaje mi się, że to bardzo pomoże pewnej małej dziewczynce.

Martin zmarszczył brwi. Nie rozumiał, w jaki sposób to mogło jego dotyczyć.

- Czy pamięta pan Camille?
Wzruszył ramionami.
- Znam niejedną Camille.
- Może, Casanovo, jeśli chodzi o kobiety, ale mnie chodzi o pięcioletnią dziewczynkę.

Martin zamknął oczy na sekundę.

Na sekundę, w ciągu której poczuł w żyłach pulsowanie adrenaliny.

Na sekundę, podczas której wszystko nagle powróciło do niego.

*

Zima 2000 roku.

Dzielnica Luth, na północy Gennevilliers.

Rzędy długich dwudziestopiętrowych mrówkowców.

Pada drobny deszcz, brudny, szary. Jest dopiero piąta po południu, a już prawie zapadła noc.

Granatowy peugeot 309 zatrzymuje się z piskiem opon pod budynkiem „C”.

Martin jest jednym z trzech policjantów, którzy przyjechali przesłuchać przyjaciółkę aresztowanego dealera narkotyków. Puka do drzwi, recytując zwyczajowy tekst. Nikt nie odpowiada. Jego kolega wyłamuje zamek. Z bronią w ręku Martin wchodzi do mieszkania jako pierwszy.

Kobieta leży na materacu. Ma gorączkę, rozszerzone źrenice, pocięte żyły na nadgarstkach. Szlafrok jest mokry od krwi i moczu. Obok niej leży przygotowana domowym sposobem fajka wodna do palenia cracku: plastikowa butelka coli z wetkniętym do szyjki

długopisem, który służył za słomkę. Martin podchodzi do kobiety, koledzy dzwonią po karetkę. Rozumie od razu, że jest zbyt późno: kobieta odchodzi... odchodzi... Gdy przyjeżdża lekarz, już nie żyje.

Przeszukanie mieszkania nie przynosi nic konkretnego: trochę marihuany, trochę mieszanej kokainy, parę bryłek cracku.

Gówniany dzień.

Powrót do Nanterre, do komisariatu. Papierkowa robota, dokończenie procedury, mdłości, nastrój beznadziei, chęć znalezienia się gdzieś indziej. Powrót do domu, niemożność zaśnięcia, uczucie przemijalności życia, ostatnie spojrzenie kobiety, której obraz go prześladowuje...

Gówniana noc.

Martin wstaje, bierze samochód i jedzie w kierunku przedmieścia: obwodnica, Saint Ouen, Gennevilliers, dzielnica Luth. Wysiadając z samochodu i przez chwilę spaceruje po osiedlu. Zaczepia podpierających ściany bloków młodocianych bandziorów, zadaje parę pytań, idzie do mieszkania zmarłej. Szuka sam nie wie czego, przetrząsa sypialnię, kuchnię, ubikację, szuka, szuka, schodzi na dół, zatrzymuje się na klatce, sprawdza skrzynki pocztowe, sufit w windzie, szuka, szuka... Czegoś? Kogoś? Nagle wydaje mu się, że słyszy płacz. Intuicja? Otwiera kubeł na śmieci i zaczyna w nim grzebać. Przechodzi go dreszcz. Jest! Wie, że tam jest, wiedział, zanim jeszcze zaczął szukać. Wielka torba z supermarketu. Kilkugodzinny

zaledwie noworodek, nagi, zmarznięty, zawinięty w sweter i ręcznik. Na głowie widać jeszcze strzępy łożyska. Już nie oddycha. Ale nie! Oddycha! Może jeszcze oddycha! Martin nawet nie dzwoni po karetkę. Zawija noworodka w swój płaszcz, kładzie go na siedzeniu pasażera, wyciąga migacz, zaczepia go na dachu i gna na wschód, do szpitala Ambroise Paré. Ta krew na szlafroku zmarłej kobiety to nie była tylko krew z podciętych nadgarstków, ale z krwotoku przy porodzie. Idioci z pogotowia nawet tego nie zauważyli! Martin dzwoni do szpitala i uprzedza o swoim przyjeździe. Zerka na noworodka. To dziewczynka. Chyba dziewczynka. To, że jest taka mała, jednocześnie przeraża go i fascynuje. Kobieta nie donosiła ciąży, ale jaki to wcześniak? Siedmio- czy ośmiomiesięczny?

Szpital. Zabierają noworodka. Trzeba wypełnić papiery. Nazwisko, imię dziecka? Martin nie wie, co odpowiedzieć. Stara się przypomnieć sobie nazwisko matki. Co do imienia, przychodzi mu do głowy tylko jedno, Camille. Potem długie godziny czeka w szpitalnej poczekalni, bez rezultatu. Wraca następnego dnia. Tak jak dorośli narkomani dziecko jest w stanie głodu narkotycznego i musi przejść detoks. Trzeba czekać. Ale dlaczego noworodek jest taki mała? Ponieważ crack zatruwa łożysko, hamuje rozwój płodu. Martin wraca następnego dnia. Noworodek walczy o życie. Martin chce walczyć razem z nim. Trzeciego dnia lekarze mówią mu, że najcięższy okres po odstawieniu narkotyku minął, ale że dziecko jest nosicielem wirusa AIDS i że z pewnością poniesie tego

konsekwencje, może wystąpią deformacje fizyczne. Czwartego dnia Martin nie idzie do szpitala i spędza noc w jakimś ponurym barze, pijąc wódkę. Camille to było ulubione imię Gabrielle. Tak chciałby nazwać swoją córkę. Piątego dnia nie idzie do pracy. Szóstego wyrzuca to wspomnienie z pamięci i zakazuje sobie myśleć o dziewczynce.

Mijają lata.

I któregoś ranka w jego gabinecie zjawia się Sonia Hajeb...

*

Panoramiczny taras na dachu szpitala zamieniono w porośnięty drzewami ogród. Tu i ówdzie stoją stoliczki i krzesła z wikliny.

Śliczna jak obrazek dziesięciolatka – krótkie włoski, zadarty nos – wydaje się zaczytana w japońskim komiksie Taniguchiego *Odległa dzielnica*.

– Cześć, Camille!

– Martin!

Dziewczynka uniosła głowę znad książki i pobiegła ucałować Martina. Wziął ją w ramiona i okręcił jak na karuzeli, co było ich rytuałem.

Trzy lata wcześniej, gdy Camille przechodziła trudny okres w rodzinie adopcyjnej, Sonia Hajeb, psychiatra, która zajmowała się nią od samego początku, na własną odpowiedzialność opowiedziała dziecku historię jego narodzin. Camille zapragnęła poznać tego dziwnego starszego brata, który przywrócił ją do życia. Trzymane

w sekrecie spotkanie wpłynęło dobroczynnie na stan dziewczynki. Okazało się, że Sonia postąpiła słusznie.

Niezależnie od sytuacji Martin i Camille widywali się raz w tygodniu, zawsze w środę i zawsze w tym samym miejscu.

Camille była ładna, pełna energii, tryskała zdrowiem. Kiedy Martin na nią patrzył, widział rozkwitające życie, dowód na to, że los płata nie tylko świnię figle, ale że niespodzianie może dać wspaniały prezent. Znikło ryzyko niedorozwoju. Zahamowano rozwój wirusa AIDS. Odczarowano los ofiary!

– Ale zimno! – odezwał się Martin, zacierając dłonie. – Nie chcesz wejść do środka?

– Nie, zobacz, jakie piękne słońce! A poza tym ja lubię zimno, zimno dodaje energii!

Martin usiadł obok dziewczynki i wzrok jego zagubił się w rozciągającym się wokół nich oceanie dachów Paryża.

– Podoba ci się ten komiks?

– Wspaniały! – zachwyciła się Camille. – Dzięki, że mi go doradziłeś.

– *You 're welcome.*

Otworzył plecak i wyjął małego zielonego iPoda, którego dał jej w prezencie kilka miesięcy wcześniej.

– Nagrałem ci mnóstwo dobrej muzyki: Marvin'a Gaye'a, The Cure, U2, Jacques'a Brela...

– Ale ja chciałam Beyoncé i Britney Spears!

– Czego jeszcze? Może Spice Girls?

Przysunął się z krzesłem do dziewczynki i powiedział nagle poważnym tonem:

– Camille, musimy porozmawiać...

Dziewczynka wbiła w niego wzrok, czując, że coś zagraża niepewnej równowadze jej codzienności.

– Czy znasz to przysłowie: „Co z oczu, to i z serca”?

Camille potrząsnęła głową przecząco.

Kiedy Martin wyjaśniał jej, czemu to przysłowie nie znajdzie nigdy zastosowania w ich przypadku, obok przeleciał anioł, dotykając delikatnie swymi skrzydłami ostatnich promieni zimowego słońca.

12.

Pozwól mi zapłakać

*Nie powinniśmy zwalczać naszej słabości,
ona nas zbliża do innych, podczas
gdy nasza siła nas od nich oddala.*

JEAN-CLAUDE CARRIÈRE

Avenue Kléber

Motor przecina noc.

Plac Étoile

Martin wyciera kask z kropli deszczu.

Przed wyjazdem z Francji została mu do załatwienia
jeszcze jedna sprawa.

Avenue Wagram

Ostatnia wizyta.

Kobieta.

Z tym że...

*

Pierwszy raz spotkał Nico któregoś wieczoru, kiedy stał w kolejce do kasy w Carrefourze w Ulis. Znalazł się tam przypadkiem:

od niedawna jego dziadkowie mieszkali w domu opieki w Bures sur Yvette. Martin nigdy się z nimi specjalnie nie przyjaźnił, ale z poczucia obowiązku odwiedzał ich raz w miesiącu, głównie po to, żeby wysłuchać litanii różnych pretensji, jakie do niego mieli. Wracając, zatrzymał się w dzielnicy handlowej i zrobił zakupy: spaghetti z pesto, tubka skondensowanego mleka, dietetyczna cola, nowa powieść Connelly'ego, ostatnie odcinki serialu *Sześć stóp pod ziemią*...

Młoda kobieta, która stała przed nim, zwracała na siebie uwagę wszystkich. Wysoka, blondynka, z ładną twarzą i wilgotnym wzrokiem. Usłyszał jej słowiański akcent, kiedy o coś zapytała kasjerkę. A przede wszystkim w jej oczach zauważył zgaszone gwiazdy, które wciąż jeszcze fascynowały i które przypominały mu inny, ale podobny wzrok.

Kobieta zapłaciła i odeszła szybkim krokiem. Żeby jej nie zgubić, Martin zostawił zakupy na ladzie i pobiegł za nią korytarzem supermarketu, pchany nagłym, niespodziewanym impulsem.

– Proszę pani!

Kiedy odwróciła się ku niemu, przyszedł mu na myśl różowy flaming na muszce myśliwego. Chciał jej powiedzieć: „Nie bój się!”, ale zamiast tego wyciągnął legitymację policjanta i rzucił:

– Policja, dokumenty proszę!

*

Pół godziny później siedziała w jego samochodzie. Podjechali pod jej blok, wysoką wieżę osiedla Daunière, gdzie dzieliła

mieszkanie z koleżanką. Nazywała się Swietłana, ale wszyscy wołali na nią Nico, ponieważ była podobna do solistki zespołu Underground. Miała dyplom magisterski z historii sztuki, który nie na wiele jej się przydał, gdy wyjechała z Kijowa do Moskwy, gdzie zarabiała grosze jako modelka w małej agencji, aż jakiś naganiacz skusił ją świetlaną przyszłością na Zachodzie.

Był to fałszywy eden i teraz handlowała miłością na ulicy, co dzień spadając niżej i niżej.

Martin posunął się do tego, że spytał, ile ona bierze. Nie spuszczać oczu, odpowiedziała, że od pięćdziesięciu do dwustu euro, w zależności od żądanej przyjemności. Wręczył jej dwieście i powiedział:

- Zamknij oczy i nie ruszaj się.
- Tutaj? W samochodzie?
- Tak, tutaj, w samochodzie.

*

Zamknęła oczy, a on przekręcił kluczyk w stacyjce i nastawił swoje ulubione CD, Elle Fitzgerald śpiewającą w duecie z Louisem Armstrongiem, po czym ruszył drogą numer 118 w kierunku Paryża.

Dziewczyna była zaskoczona, ale nie protestowała, trzymając przez cały czas zamknięte oczy, kołysana głosem Elli i Louisa.

Pół godziny później znaleźli się w najwyższym punkcie diabelskiego młyna na placu Concorde. Dziewczyna potrzebowała czasu, żeby napięcie z niej opadło, i zresztą wciąż nie czuła się zbyt

pewnie, ale życie nauczyło ją, żeby cieszyć się chwilą.

Nico zachwycała się więc jak dziecko girlandami z żarówek iluminujących Pola Elizejskie. Kiedy ich fotele dotarły do najwyższego punktu, odchyliła głowę do tyłu w ofiarnym geście. Martin popatrzył na nią: gwiazdy w jej oczach mieszały się ze światłami miasta.

Potem zabrał ją na ravioli z prawdziwkami i biscotti z polenty do maleńkiej restauracji na ulicy Bassano.

Później jeszcze odwiózł ją do Ulis, pod dom.

Ręka Nico pobiegła wzdłuż jego nogi, dotknęła kolana, uda, potem...

– Nie – powiedział po prostu, kładąc swoją dłoń na jej dłoni.

Swietłana wysiadła z samochodu i patrzyła, jak odjeżdża.

Szczęśliwa i nieszczęśliwa jednocześnie.

*

Spotykają się tydzień później, potem regularnie widują się przez cały rok. Stawka zawsze taka sama, dwieście euro. Dla niego jest to zabezpieczenie przed zakochaniem się, dla niej, żeby nie robiła sobie nadziei.

Martin postanowił zorganizować jej wakacje od ponurej codzienności: od francuskiej miłości na siedzeniach samochodów, od pospiesznych spotkań w hotelach, od fałszywych przyjaciół, koki i heroiny, od wrażenia, jakie dotychczas miała, że jest więźniem i że nie panuje nad niczym w swoim życiu.

Martin pamięta każdy ze wspólnie spędzonych wieczorów: ślizgawka pod gołym niebem przed merostwem Paryża, Cyrk Zimowy Bouglione, koncert The Police na Stade de France, Picasso i Courbet w Grand Palais, *Życie przed sobą* w teatrze Marigny...

Zatrzymał całą pocztę elektroniczną od niej na swoim telefonie. Dostawał ją po każdym wspólnym wieczorze i nigdy na nią nie odpowiadał.

Jak jakiś kretyn...

Od: svietlana.shaparova@hotmail.fr

Temat: **Życie niewarte przeżycia...**

Data: 12 lutego 2008, 08.03

Do: martin.beaumont1974@gmail.com

Jest zimno. Jestem w metrze, jadę „do pracy”. Mam ze sobą walizeczkę na kółkach. Tulę do siebie książkę, którą mi dałeś. W uszach brzmi mi jeszcze ta piosenka Serge'a Gainsbourga, którą mi puściłeś, *Javanaise*, która mówi, że życie jest nic niewarte bez miłości... Dziękuję Ci za bajkową wczorajszą kolację w tej restauracji na górze nad teatrem na avenue Montaigne. Panować choć przez chwilę nad Paryżem, móc wzlecieć nad światem, dzielić z Tobą choć tę ulotną chwilę, z Tobą uśmiechniętym i takim dla mnie dobrym.

Nawet zmęczenie zostało tam, gdzie powinno.
Tak mi było dobrze. Tak dobrze.
Dzięki, dzięki, dzięki! Nie żałuję McDo.
I'm yours.
Twój Kopciuszek.

*

Bulwar Malesherbes

Motor sunie po mokrej nawierzchni, mija bulwar Berthier i obwodnicę.

Avenue Porte d'Asnières

Martin zwalnia i podnosi przyłbicę kasku.

Ulica Victor Hugo

Zawraca o sto osiemdziesiąt stopni na środku jezdni.

Wyzywająco ubrane trzy dziewczyny z Europy Wschodniej czekają na klientów w deszczu, tuż przy wielkim billboardzie. Martin podjeżdża bliżej, zwalnia. Dziewczęta najpierw biorą go za potencjalnego klienta, potem Swietłana go rozpoznaje. Martin podaje jej swój kask i robi znak, żeby wsiadła na motor. Swietłana drży, jest bardzo chuda, ma martwe spojrzenie. Martin wie, że ona prawie nie śpi, że większość jej pieniędzy idzie teraz na narkotyki.

– Chodź!

Swietłana potrząsa głową i odchodzi. Czuje lęk przed tym, o co może chodzić Martinowi, boi się. Boi się zemsty środowiska mafijnego, które wyrzuciło ją na ulicę, boi się presji, którą te typy wywierają na pozostałą w kraju rodzinę.

Ale nie można bać się przez całe życie.

Martin doganiają. Dziewczyna jest tak słaba, że szybko rezygnuje z oporu. Martin bierze ją za ramiona, prawie niesie do motocykla i obiecuje jej, że wszystko będzie dobrze.

*

Godzinę później są na Montparnassie, w dyskretnym hotelu przy ulicy l'Abbé Grégoire. Swietłana wzięła prysznic i Martin energicznie wyciera ją przez szlafrok, żeby się rozgrzała. Ponieważ jest w stanie głodu narkotycznego, źrenice ma zwężone, cała się trzęsie i ma nerwowe tiki. Martin widzi jej podrapane do krwi przedramiona i słyszy, jak jej burczy w brzuchu.

Zanim Swietłana pójdzie do łazienki, Martin daje jej trzy łyżeczki metadonu, żeby złagodzić objawy głodu. Sonia Hajeb wyjaśniła mu, że lek zaczyna działać od trzydziestu minut do godziny po podaniu. Na razie pomaga Swietłanie otulić się w kołdrę i trzyma ją za rękę, do chwili kiedy czuje, że napięcie dziewczyny spada.

*

– Martin, dlaczego to robisz? – pyta ze swoim słowiańskim akcentem.

Kiedy tak leży na łóżku, wygląda na zupełnie zrelaksowaną, prawie zdrową. Oczywiście ten spokój jest pozorny, jest efektem chemii, ale to przecież pierwszy krok.

– Nie dasz rady sama z tego wyjść.

- Ale oni mnie znajdują...
- Nie znajdują.

Martin wstaje i bierze do ręki skórzany plecak, z którego wyciąga zniszczony paszport.

– To prawdziwy paszport – wyjaśnia, otwierając książeczkę na pierwszej stronie. – Od tej chwili nie nazywasz się Swietłana, ale Tatiana. Urodziłaś się nie w Kijowie, ale w Petersburgu.

To na tym upłynął mu ostatni dzień w policji: na znalezieniu dla niej nowego paszportu.

– Druga rzecz – mówi, kładąc na łóżku bilet lotniczy. – Jutro rano lecisz do Genewy, do kliniki Jeanne d'Arc. Tam doprowadzą cię do formy, zobaczysz.

– Ale jak...

– Wszystko jest już opłacone – mówi Martin, zanim Swietłana zdąży zadać pytanie.

Oczywiście nie mówi jej, że poszły na to oszczędności z książeczki mieszkaniowej. Potem wręcza jej wizytówkę Soni Hajeb.

– Jeśli będziesz miała najmniejszy problem, zadzwoń pod ten numer. To jest moja przyjaciółka, psychiatra. Wie, kim jesteś, i obiecała ci pomóc.

Swietłana ma łzy w oczach, łzy oczyszczające, łzy ożywcze, łzy, które budzą spojrzenie wygaste od dawna.

– Martin... Dlaczego to robisz?

Martin palcem wskazującym dotyka jej warg, żeby zrozumiała, że są pytania, na które nie ma odpowiedzi, i mówi jej, że jest już późno i że powinna starać się zasnąć.

Sam kładzie się obok niej i trzymają za rękę, czekając, aż dziewczyna zaśnie.

*

Środek nocy, miejskie bloki na osiedlu komunalnym w Essonne.

Kawalerka. Wszystkie światła wygaszone.

Nad dzwonkiem słowiańskie nazwisko.

Mieszkanie jest szare i smutne.

W sypialni na półce leży kilka książek, które Martin jej polecił, walkman z piosenkami, które jej nagrał.

Na ścianie afisze z filmów, które razem obejrzeli tamtego roku, *Two lovers*, *Nasza jest noc*, *Into the Wild*.

Pod łóżkiem leży piękna pozytywka.

Kiedy się ją otwiera, rozbrzmiewa słowiańska muzyka, która wypełnia pokój tęsknotą.

W pozytywce kilka kartek, kilka pożółkłych zdjęć z dzieciństwa spędzonego na Ukrainie.

Okruchy życia...

Na dnie pudełka koperta.

W kopercie banknoty. Pieniądze, które Martin jej dawał po każdym spotkaniu. Nigdy ich nie tknęła, nie wydała z nich ani jednego euro, nawet w najgorszych chwilach, nawet kiedy była zdolna do wszystkiego, żeby tylko zdobyć trochę heroiny.

Tyle okruszków życia, tyle dowodów na to, że coś się między nimi zawiązało tamtego roku, kiedy on na kilka miesięcy wszedł w jej życie.

I kiedy ona na troszkę weszła w jego życie.

13.

Brakująca połowa

*Dzień po dniu
Zmarłe miłości
Wciąż umierają.*

SERGE GAINSBURG

Ona

San Francisco, 07.00

Brzask. Smak soli w ustach. Ciężka głowa, ociężałe ciało, serce zagubione.

Gabrielle cicho wstaje, żeby nie obudzić mężczyzny śpiącego obok: Mister Dupek, nawet imienia jego nie pamięta, tak czy inaczej już go nigdy nie spotka. Mister Dupek ze swoim terenowym samochodem, ekolog pieprzony ze swoim stanowiskiem „high tech”, właściciel apartamentu z widokiem na morze.

Gabrielle zbiera swoje rzeczy i szybko ubiera się w łazience. Wciąga na siebie jasne dżinsy, czarny golf, wkłada skórzaną dopasowaną w pasie kurtkę, botki na wysokich obcasach.

Z lodówki w kuchni wyjmuję małą butelkę wody mineralnej. Ma chęć na papierosa i pastylkę valium, żeby znikła ta męcząca pustka i zabijająca ją od dzieciństwa samotność.

Promienie słońca pieszczotliwie przesuwają się po szybie francuskiego okna wychodzącego na marinę, Pacyfik i wyspę Alcatraz. Podążając za słońcem, Gabrielle wychodzi i pokonuje długi pas trawnika. Zrywa się wiatr, który przynosi dźwięk syren przeciwniełnych na promie.

Gabrielle idzie po plaży, zdejmuje buty i robi kilka kroków w obmywających stopy falach. Piasek jest ciepły. Słońce tańczy w jej włosach. Z daleka wygląda, jakby szczęśliwa tańczyła na brzegu oceanu.

Tymczasem jej zranione serce jest lodową pustynią.

Dziś kończy trzydzieści trzy lata. Jak każdego roku w urodziny jest sama, sama.

Tak bardzo sama.

Zamyka oczy, rozkłada ręce i nastawia twarz na powiew wiatru, na dotyk morskiego powietrza. Wie, że nie jest z nią najlepiej.

Dlaczego puściłam twoją rękę? – zapytuje się w myślach.

Czuje się wciągana przez pustkę. Chwieje się jak gasnący płomień, więc walczy. Przecież nie chce zgasnąć. Nie wolno jej upaść. Ponieważ jeśli upadnie, nie będzie nikogo, kto by ją podtrzymał, i zginie.

*

On

Paryż, 01.00

Pokój hotelowy jest pogrążony w mroku.

Martin leży ze skrzyżowanymi ramionami i ma szeroko otwarte oczy. Obok niego śpi Swietłana. On tej nocy nie zaśnie. Sen nigdy nie był jego specjalnością. Cicho wstaje, nachyla się ku niej i naciąga kołdrę na delikatne ramię. Wkłada kurtkę, gasi światło i wychodzi z pokoju.

W windzie dopada go strach, nagle widzi przed sobą przepaść. Nie umie powiedzieć, czego właściwie mu brak. Bezkresny smutek przybiera formę węzła w brzuchu.

Mija połączane ściany hotelowego holu, pozdrawia recepcjonistę i wychodzi na ulicę.

Wciąż pada.

Martin wsiada na motor i odjeżdża w noc.

Jako policjant często igrał z ogniem i niejedną raz się sparzył. Tego wieczoru czuje się jednocześnie niewyciężony i bardzo słaby, rozdarty między pragnieniem znalezienia się w czyichś ramionach a zagrania w rosyjską ruletkę. Jest jak linoskoczek idący po naprężonej linie między dwoma czubkami wysokich skał.

Węzeł w brzuchu zaczyna być męczący. Martin myśli, że to złość tak go trawi.

Jeszcze nie wie, że to miłość.

*

Ona

San Francisco, 07.30

Szczekanie psa wydobywa Gabrielle z zamyślenia. Otwiera oczy i powoli dochodzi do siebie. Jasny labrador skacze wokół niej, dotykając ją nosem. Gabrielle głaszcze go i przez moment się z nim bawi.

Potem wchodzi na chodnik mariny, wzdłuż którego ciągną się malownicze nadmorskie domy. Z daleka widać jej samochód: to różowy mustang jej matki z 1968 roku. Samochód nieekologiczny, sprzed kryzysu paliwowego i ocieplenia klimatycznego. Być może to szaleństwo jeździć takim gratem w czasie, gdy panuje moda na polityczną poprawność. Niemniej Gabrielle bardzo lubi ten samochód i prowadzi go z prawdziwą rozkoszą.

Przekręca kluczyk w stacyjce i jedzie wzdłuż bulwaru Marina, a potem po Redwood Highway, żeby wreszcie wjechać na most Golden Gate.

Uwielbia ten wiszący most, jeździ nim codziennie. Lubi jego pomarańczowy kolor, dwie ogromne wieże, które strzelają w niebo, i jak wszyscy mieszkańcy San Francisco jest z niego dumna.

W lepszym nastroju wciska kasetę Lou Reeda do odtwarzacza i robi głośniejsze, kiedy rozbrzmiewa piosenka *Walk On The Wild Side*.

Z włosami rozwianymi na wietrze Gabrielle ma wrażenie, że leci wysoko nad morzem, wlatuje ku niebu i dotyka słońca. I wtedy nagle znów wraca ból, znów wraca wrażenie pustki.

Zamiast zwolnić, przyspiesza.
Gdybym się zabiła, nikt by po mnie nie płakał...

*

On
Paryż, 01.30

Z iPodem na uszach, z twarzą owianą wiatrem, Martin pędzi przez zasłoneż deszczu zalewającego śliską jak lodowisko nawierzchnię obwodnicy. Porte de Vincennes, Porte de Bagnolet, Porte de Pantin...

Przed oczami migają mu setki świateł, które okrążają go błyszczącą chmurą i oślepiają. Słucha piosenek Brela, który raz szuka niedostępnej gwiazdy, potem wspomina szaloną miłość starych kochanków, to znów opowiada o portowych prostytutkach z Amsterdamu, Hamburga czy jeszcze skądinąd...

Martin przyspiesza, prześlizguje się między samochodami, bardziej zgadując przeszkody, niż je faktycznie widząc. Rozgorączkowany, cały mokry od deszczu, zapamiętuje się w jeździe niby w pijaństwie.

Przyspiesza jeszcze bardziej, teraz już ryzykuje, drażni się z losem, jakby oddając się w jego ręce... To już nie on prowadzi motocykl, ku czemuś czy komuś prowadzi go niewidoczna dłoń...

*

Oni

Dwa przemierzające przestrzeń meteoryty zmierzające ku sobie,
które na razie oddziela od siebie ocean.

Dwie spadające gwiazdy, które czeka zderzenie.

Spotkanie zbyt długo odkładane...

Spotkanie niebezpieczne.

Gdyż miłość od śmierci odróżniają tylko dwie głoski*.

* Gra słów. Po francusku „miłość” to *l'amour*, „śmierć” – *la mort*.

Część druga

Ulice San Francisco

14.

Valentine

*Jeśli dwie osoby się kochają,
koniec nie może być szczęśliwy.*

ERNEST HEMINGWAY

Nazajutrz 22 grudnia Nad Atlantykiem

– Szampan, proszę pana?

Ponad dwadzieścia tysięcy stóp nad ziemią, lecąc nad oceanem chmur, samolot (lot 714) zmierzał ku San Francisco niczym srebrny ptak.

Martin grzecznie odmówił stewardesie. Wszyscy pasażerowie pierwszej klasy wokół niego jedli gęsie wątróbki z figami na tostach z piernika. Po jego lewej ręce panna Ho, wciąż w towarzystwie swego sumity, małymi łydkami piła białe martini.

– Miał pan rację – odezwała się do Martina, wyjmując z teczki kartonową kopertę.

Martin popatrzył na kopertę z przegródkami, na której widniały litery FBI i napis „Highly Confidential”.

– To rezultat analizy odcisku palca Archibalda?

Panna Ho kiwnęła głową twierdząco i podała mu dokumenty.

– Przedstawiam panu Josepha A. Blackwella, który do roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego przebywał w więzieniu w San Quentin. Przydzielono mu tam numer IB070779.

Patrząc na stertę dokumentów, Martin poczuł dreszcz ekscytacji. Otworzył kopertę i w jego oczach pojawił się kryształowy błysk.

*

Zdjęcie zostało zrobione w komisariacie w San Francisco, kiedy w nocy z 23 na 24 grudnia 1975 roku aresztowano niejakiego Josepha Archibalda Blackwella. Oskarżenie brzmiało: „Rany niosące ryzyko spowodowania śmierci”. Zdjęcie przedstawiało około trzydziestoletniego mężczyznę z podkrążonymi oczami, wyniszczonego przez cierpienie.

Krótką notatką streszczała jego życie.

Urodził się w Fountainbridge, w robotniczej dzielnicy Edynburga, z matki krawcowej i ojca artysty malarza, który nigdy nie sprzedał ani jednego płótna. Był uczniem zdolnym, ale roztargnionym i zrezygnował z nauki w wieku lat czternastu, aby mieć się różnych zajęć: był kolejno murarzem, mechanikiem samochodowym, stolarzem malującym trumny, pomocnikiem do wszystkiego na Akademii Sztuk Pięknych w Edynburgu.

Po skończeniu dwudziestego roku życia zaciągnął się do Royal Air Force jako zwykły mechanik, ale wkrótce zdał egzamin na pilota. Pięć lat później pracował dla organizacji Flying Doctors, która zajmowała się ewakuacją chorych z interioru australijskiego. Na zdjęciach z tego okresu widać opalonego mężczyznę stojącego obok starej cenny w suchym australijskim buszu.

Seria innych zdjęć ukazuje go pracującego dla różnych misji humanitarnych w innej organizacji Skrzydła Nadziei. Przewozi ranne dzieci w Biafrze, pracuje przy ewakuacji obozu uchodźców, dostarcza lekarstwa dla Nikaragui, przewozi ekipy ratownicze podczas trzęsienia ziemi na Sycylii... Wszystkie jego misje to akcje humanitarne, ratownicze. Kropla wody spadająca na dymiące zgliszcza... Kropla wody, która niczego nie zmienia. Kropla wody, która zmienia wszystko...

Martin patrzył jak zahipnotyzowany na te fotografie. Tak więc w młodości słynny złodziej był działaczem humanitarnym, samotnym wędrowcą o zniszczonej twarzy, którego twarde spojrzenie zdradzało smutek, bunt i brak miłości.

Dwa ostatnie zdjęcia różniły się od pozostałych. Na pierwszym Archibald obejmował młodą kobietę na piaszczystej plaży. Za nimi widać było ciemnoniebieskie morze, ośnieżone szczyty gór i mury starego miasta, które Martin dobrze znał.

Zaintrygowany odwrócił fotografię. Z tyłu widniał wypłowiały napis uczyniony wiecznym piórem: „Antibes, styczeń 1974”, a potem kilka zdań po francusku:

*Miej mnie zawsze przy sobie.
Kocham Cię,
Valentine.*

A więc Archibald był na wakacjach na Lazurowym Wybrzeżu w roku, w którym on, Martin, przyszedł na świat. To odkrycie upewniło go jeszcze bardziej, że ich losy są ze sobą związane.

Martin, z założenia dyskretny, nie lubił naruszać intymności innych ludzi, chyba że mu na to zezwalano. Trochę wbrew sobie zaczął przyglądać się dokładniej młodej kobiecie, która stała przy Archibaldzie. Widać było, że jest piękna, choć jej twarz nieco zasłaniały długie kasztanowe włosy rozwiane przez wiatr. To pewnie, że poczucie estetyki złodzieja nie ograniczało się do dzieł sztuki...

Drugie zdjęcie pokazywało zbliżenie Archibalda na tarasie jakiejś prowansalskiej restauracji. Słońce padające mu na twarz wygładzało jego rysy. Wyglądał na wypoczętego, była to twarz czło-wieka czującego się bezpiecznie i spokojnego. Twarz zakochanego mężczyzny, który nie patrzy w obiektyw, lecz kontempluje serdeczny uśmiech ukochanej.

Na tym zdjęciu nie było żadnego napisu, ale Martin dałby sobie głowę uciąć, że zrobiła je Valentine.

Kim ona była? I co spowodowało, że Archibald wylądował w więzieniu?

Martin coraz bardziej zaintrygowany przeglądał dokładnie teczkę, w której znajdował się również protokół z przesłuchania, akt

oskarżenia oraz sprawozdanie z procesu.

Sprawa zaczęła się w grudniową noc 1975 roku.

Noc, która mogła być nocą szczęśliwą.

A która stała się nocą dramatu.

*

San Francisco

Poniedziałek, 23 grudnia 1975 roku, 05.00

– Kochanie! Bardzo mnie boli!

Archibald budzi się. Obok niego Valentine skręca się z bólu. Jest w szóstym miesiącu ciąży. Od pewnego czasu bardzo dokucza jej żołądek. Nie ma apetytu i często wymiotuje. Lekarz, u którego ostatnio była, stwierdził zwykłą gripę żołądkową, ale Valentine czuła się coraz gorzej.

– Jedziemy do szpitala! – decyduje Archibald. Przesuwa dłonią po jej czole, potem pomaga jej wstać. Tej nocy wrócił z misji w Afryce. Jego samolot spóźnił się o trzy godziny, ponieważ od tygodnia Stany Zjednoczone atakuje fala niespotykanego zimna: w samym środku świąt Bożego Narodzenia wszystko pozamarzało, nawałnice śnieżne spowodowały przerwy w dostawie prądu i zdeorganizowały ruch drogowy i powietrzny na terenie całego kraju. Nawet w Kalifornii zimno dało się we znaki: zamknięto niektóre odcinki autostrad, a w San Francisco mróz trzymał bez przerwy prawie tydzień. Czegoś takiego nigdy tutaj nie widziano.

Na szczęście wokół łóżka stoją trzy elektryczne kaloryfery. Fale ciepłego powietrza rozgrzewają niewiele większy od igloo dom stojący na wodzie.

Valentine podtrzymywana przez Archibalda z trudem się wyprostowuje. Ma spuchnięte stopy, coraz większe uczucie niemocy, straszną migrenę i nudności.

Kuśtykając, wychodzą. Mały port w Sausalito jest jeszcze pograżony w ciemnościach. Przed ich boathousem widać pokrytą szronem przednią szybę dwudrzwiowego czerwonego mustanga, który właśnie kupili.

Archibald pomaga Valentine wsiąść do środka i paznokciami zdrapuje szron.

– Kochanie, w bagażniku jest specjalna łopatka – mówi serdecznie Valentine.

Szron zebrany, kluczyk w stacyjce przekręcony, motor zaczyna cicho warczeć. Jadą do szpitala.

– Tym razem nie będziemy ryzykować, jedziemy prosto do Lenox!

– Nie, Archie, jedźmy do Mission, bo to tam mam rodzić.

Archibald nie chce się jej przeciwstawiać, ale nie ma zaufania do prowadzącego ją ginekologa doktora Austera. To facet arogantki, zbyt pewny siebie, z którym nie ma dyskusji.

Próbuje więc ją przekonać:

– W Lenox jest Elliott Cooper.

– Elliott to kardiolog...

Archibald patrzy na Valentine. Mimo bólu kobieta uśmiecha się do niego, ich kłótnie właściwie ją bawią.

Tak więc, ponieważ ona ma zawsze rację, zjechawszy z Golden Gate, Archie wjeżdża na Richardson Avenue.

- Kochanie, czemu nie nastawisz jakiejś muzyki?
- Ależ, Valentine, przecież ty ledwo...
- Nie gadaj, włącz radio. Chcę zapomnieć o bólu.

Radio tego poranka nadaje piosenki Leonarda Cohena. Jego smutny głos towarzyszy im, kiedy wjeżdżają na wzgórze Divisadero Street, którymi dostają się do Pacific Heights i Haight Ashbury.

Valentine jest piękna. Mimo dręczącego ją bólu, mimo migreny, mimo mdłości...

Patrzy na niego i się uśmiecha.

Nie wiedzą jeszcze, że jest to ostatnia piosenka, której będą słuchali razem...

*

Dojeżdżają do Castro, do dzielnicy, o której, odkąd miasto zaakceptowało The Gay Bill of Rights, ustawę zabraniającą dyskryminacji mniejszości seksualnych, zaczyna mówić się „dzielnica gejów”. Potem skręcają w lewo, mijają Dolores Park i dojeżdżają do Mission District, dzielnicy hiszpańskiej. Ten nieodwiedzany przez turystów okręg nie figuruje w żadnym przewodniku, a jest to przecież najstarsza część miasta. To tutaj w roku 1776 Hiszpanie założyli pierwszą kaplicę, centrum franciszkańskiej ewangelizacji całego regionu.

Archibald nienawidzi tej dzielnicy, którą uważa za brudną i zniszczoną, a jej mieszkańców za chuliganów. Natomiast Valentine

uwielbia ją, dla niej jest to miejsce kolorowe, wesołe, pełne energii.

Z powodu gigantycznych robót drogowych przedsiębiorstwa podmiejskich linii kolejowych, które rozkopało miasto na długie miesiące, wejście do szpitala znajduje się z tyłu budynku, toteż muszą go objechać. Jest noc, migoczą neony barów podających tacos i quesadillas. Nawet przy zamkniętych oknach dobiegają z kuchni zapachy chili, burritos, kukurydzy smażonej na maśle.

Kiedy w końcu wchodzi do izby przyjąć, panuje tam nieopisany chaos. Poczekalnia pęka od ludzi, szpital ma zbyt mało personelu. Ponadto w holu pełno narkomanów i włóczęgów, którzy czekają na wizytę w darmowej klinice dzielącej lokal z ostrym dyżurem pogotowia.

To ciemna strona tego miasta: pośród ogólnej obojętności liczba bezdomnych rośnie z każdym dniem, pełno młodych żołnierzy powracających z Wietnamu, którzy w stanie szoku snują się po korytarzach szpitali psychiatrycznych, żeby potem spędzić noc na ulicy albo w korytarzach metra. Ale przede wszystkim straszne spustoszenia czyni łatwa dostępność narkotyków: San Francisco płaci najwyższą cenę za zbytne rozpowszechnienie się ruchu hipisowskiego. LSD i heroina nie wyzwoliły umysłów ani nie uwolniły sumień. Przemieniły tylko tych, którzy nie umieli się od nich odebrać, w wychudzonych zombie zdychających na ulicy, z igłą w ramieniu i wymiocinami wypływającymi z ust.

– Wychodzimy stąd! – rzuca Archibald do Valentine.

Młoda kobieta otwiera usta, aby zaprotestować, ale nagle nie może złapać oddechu i pada na podłogę.

*

– A więc?

W pretensjonalnie urządzonej gabinecie Archibald stoi naprzeciw doktora Austera, który otrzymał właśnie pierwsze wyniki analiz Valentine.

Obydwaj mężczyźni są prawie w tym samym wieku. Mogliby być braćmi, przyjaciółmi, ale od pierwszej chwili poczuli do siebie głęboką niechęć.

Jeden urodził się na ulicy, drugi w Beacon Hill.

Jeden nosi kurtkę, drugi krawat.

Jeden wiele przeżył, drugi ma dyplomy.

Jeden działa intuicyjnie, drugi jest racjonalistą.

Jeden kocha, drugi szuka miłości.

Jeden nie jest ani wysoki, ani zbyt urodziwy, ale to prawdziwy facet. Drugi to przystojniak, uwodziciel, komplementy nie schodzą mu z ust.

Jednemu życie nic nie dało, więc sam sobie wziął. Drugiemu życie dało prawie wszystko, więc nie nauczył się mówić „dziękuję”.

Jeden walczył całe lata, zanim obudził się obok tej jednej, jedynej. Drugi ożenił się ze swoją pierwszą przyjaciółką poznaną na studiach i teraz w ponuro oświetlonych pomieszczeniach sal rentgenowskich sypia ze stażystkami ze szkoły pielęgniarstwa.

Jeden nienawidzi wszystkiego, co reprezentuje sobą drugi.

To uczucie jest wzajemne.

- Więc? – pyta Archibald, tracąc cierpliwość.
 - Analizy krwi wykazują spadek liczby płytek do czterdziestu tysięcy, a minimum bezpieczne dla zdrowia wynosi sto pięćdziesiąt tysięcy. Bilans prób wątrobowych nie jest najlepszy, ale...
 - Co pan zamierza?
 - Podaliśmy lekarstwa na obniżenie ciśnienia i zrobimy transfuzję, żeby podnieść poziom płytek.
 - A potem?
 - Potem trzeba czekać.
 - Na co czekać?! – zirytował się Archibald. – Wysokie ciśnienie, albumina w moczu, to są objawy zatrucia ciążowego!
 - Niekoniecznie.
 - Trzeba przerwać ciążę.
- Alister potrząsa przecząco głową.
- Nie, jeśli uda nam się ustabilizować ogólny stan, nie będzie trzeba przerywać ciąży. Na razie oznaki kryzysu są minimalne i nic nie wskazuje na to, że sytuacja ewoluuje w złym kierunku.
 - Minimalne? Pan żartuje?!
 - Proszę pana, pan nie jest lekarzem.
 - Nie jestem, to prawda – zgodził się Archibald. – Ale w Afryce widziałem z pewnością więcej niż pan kobiet umierających w wyniku zatrucia ciążowego.
 - Nie jesteśmy w Afryce. A u pańskiej żony minęło dopiero dwadzieścia pięć tygodni ciąży. Zrobić teraz cesarskie cięcie to oznacza skazać dziecko...
- Twarz Archibalda zakrzepła w goryczy.
- Gwizdź na to – rzucił zimno. – Chcę ocalić żonę.

– A nam – powiedział doktor Alister – zależy na tym, aby poród nastąpił w odpowiednim terminie i nie zagrażał życiu zarówno matki, jak i dziecka.

– I dopuście do zatrucia jej mózgu, wątroby, nerek...

– Rozmawiałem o tym z pańską żoną. Ona zdaje sobie sprawę z ryzyka, ale na razie nie życzy sobie cesarskiego cięcia.

– Decyzja nie należy do niej.

– Decyzja należy do mnie. A ja nie widzę żadnego medycznego powodu, żeby ciąża nie została doprowadzona do szczęśliwego końca.

*

Archibald wraca do pokoju Valentine. Siada przy niej i zaczyna gładzić jej twarz. Myśli o długiej drodze, którą przebyli oboje, aby ich miłość została spełniona. Myśli o wszystkich przeszkodach, które pokonali, o zwyciężonych lękach.

– Nie chcę cesarskiego cięcia! – prosi Valentine.

Cerę ma żółtawą, oczy podkrążone, tonie we łzach.

– To dopiero dwudziesty piąty tydzień, kochany! Pozwól mi jeszcze trochę побыć z naszym maleństwem!

Valentine potrzebuje go, ale on jest bezsilny. Obiecał, że będzie przy niej zawsze, w dni szczęśliwe i w te złe, w zdrowiu i w chorobie. Obiecał, że ją uchroni przed wszystkim, że będzie nad nią czuwał, ale zawsze obiecuje się więcej, aniżeli można dotrzymać.

Valentine patrzy na niego rozszerzonymi oczami.

– Pragnę dać mu jeszcze trochę siły...

– Ale ryzykujesz życie, kochanie!

Z ruchami ograniczonymi rurkami od kroplówki Valentine jakoś

chwytą go za ramię i mimo bólu, który jej zapiera dech, mówi:

– To dziecko... ja tak bardzo pragnę go dla ciebie. Czuję, że żyje we mnie! To dziewczynka, jestem tego pewna. Pokochasz ją, Archie, zobaczysz, pokochasz ją!

Archibald chce powiedzieć, że to ją, Valentine, kocha, ale widzi, że jej oczy uciekają gdzieś w głąb, a mięśnie twarzy gwałtownie się spinają i...

*

– Zrobisz wreszcie to cięcie, do cholery! – krzyczy Archibald w kierunku Alistera na cały korytarz.

Zaskoczony lekarz widzi, jak Archibald biegnie, oszalały ze złości i gotów się na niego rzucić.

*

Valentine mocno zaciska z bólu zęby. Sztywnieją jej ramiona i nogi, oddech staje się płytki i wreszcie ustaje.

*

Strażnik sprawnie zaszedł Archibalda od tyłu, trzymając w ręku pistolet. Jest to facet wyćwiczony w opanowywaniu ataków furii narkomanów, którym odmówiono dawki buprenorfiny.

*

Ale Archibald nie jest narkomanem. Wyczuł obecność strażnika, więc nagle się schyla i gwałtownym, fachowym ruchem kopie strażnika i rzuca go na podłogę. Strażnik puszcza broń, którą Archibald podnosi.

*

Valentine dostaje gwałtownych drgawek. Zaczyna dławić się śliną i krwią wypływającą z jej ust.

*

– Ona ma konwulsje, kretynie jeden!

Później, podczas procesu, Archibald wyjaśni, że chciał tylko nastraszyć lekarza bronią, chciał mu zagrozić, że rewolwer sam wystrzelił, że on wcale nie miał zamiaru nacisnąć na spust. Strażnik z kolei zezna, że jego rewolwer był źle zabezpieczony i że jemu samemu zdarzyło się coś podobnego już dwa razy. Tak czy inaczej przypadkowy charakter agresji nie miał znaczenia: doktor Alister dostał dziewięćmilimetrową kulą w prawe płuco.

Archibald puścił broń w momencie, kiedy jego żona traciła przytomność i zapadała w śpiączkę. Związano go i przyparto do ziemi, a następnie, pośród nieopisanego zamieszania, nałożono mu kajdanki.

Kiedy zabrała go policja, odwrócił się w stronę pokoju, w którym leżała Valentine, i wydawało mu się, że słyszy krzyk lekarza dyżurnego: „Tracimy ją!”, a później pielęgniarkę, która powiedziała: „To dziewczynka!”.

*

Tego czwartku na oddziale intensywnej terapii szpitala publicznego w Mission District trzy miesiące przed terminem urodziła się dziewczynka. Ważyła pięćset dziesięć gramów i mierzyła ledwo trzydzieści centymetrów długości. Jak wiele wcześniaków miała ładne proporcje, wdzięczną buzię i cienką, jakby galaretowatą skórę, przez którą prześwitywały żyły.

Wezwany do porodu lekarz przez moment zawahał się, zanim przystąpił do reanimacji noworodka, ale nawet po jej zakończeniu nie wierzył, że dziewczynka przeżyje.

Niemniej umieszczono ją w inkubatorze z aparatem tlenowym.

Położna, która się nią zajmowała, nazywała się Rosalita Vigalosa. Mieszkała w tej dzielnicy od dwudziestu lat i wszyscy w okolicy nazywali ją Mamma. To ona co trzy godziny oczyszczała jeszcze niedojrzałe płuca dziecka, aby jak najprędzej się usamodzielnily.

Każdego ranka po drodze do pracy miała zwyczaj nadkładać drogi i wchodzić do kaplicy Mission Dolores, aby zapalić świeczkę i pomodlić się o przeżycie dziecka. Po kilku dniach zaczęła nazywać je „Dziekiem Cudu”.

Na bransoletce noworodka, w momencie gdy trzeba było wpisać imię, Rosalita pomyślała, że dziecko będzie bardzo potrzebowało opieki aniołów.

Wobec tego jako talizman wybrała imię pierwszego z nich i wpisała imię: Gabrielle.

15.

Alter ego

*Są w naszej duszy rzeczy, na których sami
nie wiemy, jak bardzo nam zależy.
Jeśli żyjemy bez nich, to tylko dlatego,
że wejście w ich posiadanie odsuwamy
z dnia na dzień ze strachu, że nam się
nie uda albo że przysporzą nam cierpień.*

MARCEL PROUST

– Proszę państwa, zaczynamy podchodzenie do lądowania w San Francisco. Proszę zapiąć pasy i podnieść oparcie fotela do pozycji pionowej.

Zagłębiając się w lekturze dokumentów Martin nie usłyszał ogłoszenia kapitana.

„To imię... ta data urodzenia...”.

Z głową w przeglądanych papierach, ze spoconymi dłońmi i walącym sercem gorączkowo przerzucił strony raportu z procesu. Procesu, w którego wyniku Archibald został skazany na dziesięć lat więzienia za poważne zranienie doktora Austera.

Fotokopia jego dokumentów z San Quentin nadmieniała o kilku

bójkach, które pozbawiły go możliwości wcześniejszego wyjścia na wolność, a także była tam wzmianka o tym, że dużo czasu spędzał w bibliotece więziennej i na wykładach z historii sztuki, które dawał bezpłatnie jakiś profesor z Uniwersytetu Stanforda.

Ale najdziwniejsze było to, że podczas odsiadki Archibalda nikt nigdy nie odwiedził. Ani jeden przyjaciel, by dodać mu otuchy, ani żaden krewny, by podzielić się z nim nowinami rodzinnymi, nikt nie przyprowadził do niego jego córki...

Potem Archibald zniknął z horyzontu – jakby „wyparował” z powierzchni ziemi podczas ucieczki, w listopadzie tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego roku. Joseph się ulotnił, nie zostawiając żadnego adresu. Wtedy to stał się Archibaldem McLeaniem, królem złodziei...

Martin przeczytał dokładnie ostami załącznik, fotokopię sporządzoną poprzedniego dnia. Niewątpliwie w rezultacie tego pobieżnego dodatkowego śledztwa przeprowadzonego przez FBI odnaleziono zdjęcie, które Martin miał nadzieję zobaczyć, ale którego się bał. Była to fotografia siedzącej za kierownicą czerwonego forda mustanga młodej kobiety z długimi, lśniąco-czarnymi włosami, w okularach przeciwsłonecznych na nosie. Nigdy nie zapomniał jej zielonych, błyszczących w deszczu oczu. Nie zapomniał, jak pod koniec pewnego lata poprosiła go: „Nie odjeżdżaj!”.

Żeby ukryć zmieszanie, odwrócił się do okna. Za wypalonymi słońcem zboczami gór oczyma wyobraźni widział już wybrzeże

kalifornijskie, fale Pacyfiku, zatokę San Francisco.

Podejrzewał, że Archibald i on beznadziejnie kochali tę samą osobę.

Podejrzewał przede wszystkim, że dlatego tak się zaparł, żeby zatrzymać Archibalda, bo nie było to dla niego złapanie zwykłego przestępcy. Właściwie śledził samego siebie, był to rodzaj terapii. Nie takiej, jaką odbywa się, leżąc na kozetce u psychiatry, ale prawdziwej konfrontacji z przeszłością, ukrytymi głęboko lękami, i tymi cechami własnej osobowości, do których trudno się przyznać nawet samemu sobie.

*

Archibald potrzebował kilku chwil, żeby otworzyć zamek w drzwiach domu stojącego na palach, w którym mieszkała Gabrielle.

Wszedł z uczuciem, że wchodzi do świątyni, i nagle wzruszenie złapało go za gardło. To w tym domku na wodzie zbudził się trzydzieści trzy lata temu u boku Valentine, tego przekłętego grudniowego poranka, który zmienił ich życie w koszmar.

Ostrożnie wszedł do środka. W powietrzu unosił się zapach kandydela. Dom był pusty, ale pełen wspomnień. Od razu rozpoznał meble z bielonego drewna, które razem malowali, małą szafkę kupioną na starociach w Carmel, stojące lustro z komisju w Monterey...

Lekki wiaterek wpadł przez otwarte drzwi i poruszył cienkimi firankami zasłaniającymi słoneczne światło.

Potem Archibald wszedł do kuchni, gdzie wszędzie zobaczył bolesne okruchy przeszłości: przypomniały mu się śniadania we dwoje, przypomniało mu się, jak przygotowywał według swego słynnego przepisu spaghetti z pesto, ulubione danie Valentine, jak się stukali kieliszkami z winem w radosne i czułe wieczory.

Aby zwalczyć obrazy z przeszłości, odkręcił kran nad zlewem i przemył twarz. Dwa dni wcześniej rak, który zżerał mu trzustkę, osłabił go do tego stopnia, że nie był zdolny do najmniejszego wysiłku. Dziś czuł się zadziwiająco dobrze. Potężne dawki środków przeciwbólowych wywołały oczekiwany efekt, pomagając opanować cierpienie fizyczne i oferując mu krótką poprawę, która może pozwoli mu ostatni raz porozmawiać z Gabrielle.

Ostami i pierwszy raz.

*

Kiedy był w więzieniu, dobijał go smutek. Nie chciał zaakceptować faktu, że ma córkę. Gabrielle została powierzona babce, zdziwaczalej Francuzce zamężnej z fabrykantem wina w Sonoma Valley. Kiedy na początku lat osiemdziesiątych uciekł z San Quentin, dyskretnie zebrał informacje na temat córki i wtedy dowiedział się, iż powiedziano jej, że ojciec zginął w wypadku w górach jeszcze przed jej narodzinami i że jej rodzina mieszkała w dalekiej Szkocji.

Może tak było lepiej.

Ale za wszelką cenę chciał ją choć raz zobaczyć. Poszedł pod szkołę. Patrzył na nią z daleka i uczucia, jakie w nim wzbudziła,

przestraszyły go. Miał pretensję do tej dziewczynki! Straszną pretensję o to, że zabrała mu kobietę, którą kochał. To było niesprawiedliwe, głupie, ale silniejsze od niego.

Postanowił więc zniknąć. Doskonale wiedział, jak to zrobi...

*

Więzenie San Quentin **Październik 1977**

- I udało ci się im uciec?
- Tak, jak ci mówię, bracie. Ale wtedy miałem jeszcze płuca w dobrym stanie.

Archibald i jego towarzysz z celi, Ewan Campbell, siedzieli na swoich łózkach i rozmawiali z zapalem o przeszłości. Albo raczej to Campbell opowiadał, a Archibald słuchał.

Dzielili celę od kilku miesięcy. Na początku nie bardzo się między nimi układało, ale potem nawiązało się prawdziwe porozumienie, tym bardziej że obydwaj pochodzili ze Szkocji.

Campbell odsiadywał karę wieloletniego pozbawienia wolności za kradzież obrazów. Był wesółkiem i kpiarzem i udało mu się rozruszać Archibalda, który od czasu znalezienia się za kratkami popadł w głęboką depresję.

- Przy obecnych systemach zabezpieczeń nie uciekłybyś! – Archibald zaczął podpuszczać kolegę.
- Mylisz się. Ludzie myślą, że jak tylko mucha usiądzie na

obrazie, zaraz zjawia się dziesięć radiowozów. Tak się dzieje w filmach. W rzeczywistości jest inaczej. Wierz mi, można obrabować każde muzeum na świecie, wystarczy tylko znaleźć jego słaby punkt.

- A ty znasz te słabe punkty?
- Znam. Znam, i to niejeden...

Stary mężczyzna uśmiechnął się chytrze, a potem dorzucił, patrząc na Archibalda:

- Chciałbyś się dowiedzieć?

Archibald potrząsnął powoli głową.

- Nie zamierzam skończyć tak jak ty – uśmiechnął się.

A potem, żeby dać do zrozumienia, iż nie ma ochoty kontynuować rozmowy, położył się na pryczy i wyciągnął książkę, którą czytał. Był to *Hrabia Monte Christo* Alexandra Dumasa.

Jego towarzysz niedoli nie dał za wygraną.

- Pogadamy jeszcze o tym, synku, zobaczysz!

*

I tak w ciągu następnych miesięcy Ewan Campbell podzielił się z nim całą swoją złodziejską wiedzą, po czym umarł na raka płuc.

Po ucieczce z więzienia Archibald postanowił wykorzystać rady Campbella i częściowo przybrać postać swojego mentora. W ten sposób znikł Joseph Archibald Blackwell, a narodził się Archibald McLean!

Z czasem rola króla złodziei zmusiła go do życia w ciągłym napięciu. Był wiecznym uciekinierem, musiał wciąż zmieniać

tożsamość i kryjówki i ciągle wymyślać nowe fantastyczne sposoby wlamywania się. Ta gimnastyka fizyczna i intelektualna utrzymywała go przy życiu, zagłuszała wyrzuty sumienia, pozwalała nie myśleć o przeszłości.

Po pewnym czasie zrozumiał, że negowanie faktu, iż ma córkę, jest sprzeczne z ostatnią wolą Valentine. Spał coraz mniej i zawsze budził go ten sam koszmar zakończony jękiem żony: „To dziewczynka, jestem tego pewna. Pokochasz ją, Archie, zobaczysz, pokochasz ją!”.

To była jakby wskazówka z zaświatów, aby wskazać mu drogę.

Tak więc w dzień piętnastych urodzin Gabrielle zdecydował się spotkać z córką. Chciał jej wszystko wyjaśnić.

Ale zabrakło mu odwagi.

Wstydził się swego zachowania, którego nie umiał usprawiedliwić, i bał się reakcji córki. Jeśli dziewczynka jest podobna do matki, musi mieć silny charakter, i coś mu mówiło, że nie pozwoli mu wkroczyć w swoje życie i nie rzuci mu się w ramiona.

Żeby jednak choć częściowo zrealizować swój zamiar i zamienić z córką chociaż kilka słów, wpadł na pewien pomysł i raz w roku go realizował.

23 grudnia 1990: szofer taksówki, która wiezie ją na lotnisko, to on.

23 grudnia 1991: stary ekscentryk, z którym Gabrielle spędza jakiś czas w zepsutej windzie centrum handlowego, to on.

23 grudnia 1992: wesoły kloszard, który gra na saksofonie na Market Street i któremu Gabrielle wręcza dolara, to on.

23 grudnia 1993: kwiaciarz, który dostarcza jej tysiąc i jedną różę od tajemniczego wielbiciela, to on.

On, on, on... obecny, ale incognito, w dniu jej urodzin, które dla niego są rocznicami największego nieszczęścia.

Podczas każdego spotkania postanawia, że nadszedł czas skończyć z tym oszustwem, ale nigdy nie wystarcza mu odwagi.

Niemniej te krótkie kontakty obudziły w nim instynkt rodzicielski, którego, wydawało mu się, był pozbawiony. Zaczyna się martwić o córkę i angażuje prywatnego detektywa, żeby wiedzieć na bieżąco, co się z nią dzieje. Ta decyzja stoi w sprzeczności z zasadami moralnymi, jest nie fair, ale to jedyny sposób, żeby móc odgrywać rolę anioła stróża córki.

Debet w banku, zbyt nachalny adorator, dziura w budżecie, niespodziewane wydatki na leczenie: Archibald rozwiązuje problemy, a niektórym zaradza, zanim się pojawią. To lepiej niż nic, ale to tak niewiele...

Dziś wie, że nie ma żadnej szansy, by wygrać z chorobą, i że w pewnym sensie to upraszcza sprawę.

*

Otworzył lodówkę i zdjął kapsel z butelki piwa Corona.

Z butelką w rękę wszedł do salonu i zaczął przyglądać się uważnie każdemu bibelotowi. Z ciekawością przeglądał książki, które czytała córka, i jej ulubione filmy.

Zostawiła w kompotierce ładującą się komórkę. Archibald kliknął kilka razy i bezwstydnie przeczytał jej e-maile i SMS-y: niezbyt wyrefinowane wiadomości od różnych facetów spotykanych na imprezach, zaproszenia na drinka, na wspólne spędzenie nocy, nie wiadomo od kogo. Dlaczego Gabrielle dawała swój numer telefonu takim typom?

Na półce stały tylko dwie fotografie. Pierwszą znał, bo był jej autorem: uśmiechnięta Valentine oblewana falami na skałach przyłądka Antibes podczas ich wakacji we Francji. Drugie zdjęcie przedstawiało młodego mężczyznę około dwudziestki i było podpisane: „Martin Beaumont, lato 1995”.

Martin Beaumont, ten, który prześladował go od lat. Martin Beaumont, z którym bawił się w kotka i myszkę i którego od miesiący śledził przez wynajętego detektywa.

Archibald włożył okulary, żeby dokładniej przyjrzeć się zdjęciu. Widział już dziesiątki fotografii Martina, ale to było inne. Ta twarz przypominała mu jakąś inną twarz. Twarz spokojnego mężczyzny, który w chwili robienia zdjęcia niczego się nie boi. Twarz mężczyzny, który patrzy na życzliwy uśmiech kobiety. Twarz mężczyzny, który kocha pierwszy raz.

Odruchowo wyjął zdjęcie z ramki. Na podłogę wypadła złożona we czworo kartka. Archibald podniósł ją i rozłożył. To był list z datą 26 sierpnia 1995 roku, który zaczynał się następującymi słowami:

Droga Gabrielle,

Chcę Ci po prostu powiedzieć, że jutro wracam do Francji i że nic nigdy nie będzie się dla mnie tak liczyło jak te kilka chwil spędzonych z Tobą podczas mojego pobytu w Kalifornii...

Oszupiały Archibald przeczytał wielokrotnie to wyznanie. Kiedy odstawił fotografię na półkę, spojrzął w oczy Martinowi ze zdjęcia i rzucił przez zęby:

– Zobaczymy, kim naprawdę jesteś, synku!

16.

California here I come

Mapa naszego życia złożona jest w ten sposób, że nigdy nie widać całej drogi, którą mamy iść, ale w miarę jak się rozkłada, wciąż pojawia się przed nami nowa mała dróżka.

JEAN COCTEAU

San Francisco

Światło.

Anielska atmosfera.

Lekki wietrzyk.

Niebo jakby wiosenne.

W samochodowym radiu piosenka Beach Boysów.

I szarówka paryska jest już tylko wspomnieniem.

Za kierownicą wynajętego roadstera Martin pokonywał strome ulice z wiktoriańskimi domami po bokach. Czuł się jak na kolejce górskiej w lunaparku. Mimo że za dwa dni było Boże Narodzenie, słońce zalewało miasto i czuło się bliską obecność morskiej wody,

tak jak w okolicach Morza Śródziemnego. To nietypowe miasto sprawiało wrażenie, jakby ktoś pomalował je na pastelowe kolory i jakby zachowało do dziś bez troskę i upajającą magię, które Martin pamiętał sprzed lat. A pamiętał wszystko: hałasy dobiegające z portu, orzeźwiająca bryzę znad oceanu, wyłożone drewnem tramwaje linowe z mosiężnymi dzwonkami, jakby prosto z lat pięćdziesiątych.

Minął trolejbus, ozdobiony flagą z wizerunkiem Obamy, i wkrótce zauważył turkusową zatokę otoczoną wzgórzami. Zaczął zjeżdżać do mariny.

Po raz pierwszy w życiu przejechał samochodem dwukilometry Golden Gate, podziwiając w tylnym lusterku widok miasta nad zatoką. Wjechał na krętą drogę prowadzącą do Sausalito. Luksusowe wille na zboczach wzgórz dawno już zastąpiły byle jakie domki pierwszych hipisów, ale przejeżdżając przez tę luksusową dzielnicę, Martin i tak miał na myśli tylko jedno: zobaczy Gabrielle.

Ich romans zaczął się właśnie tu, w lecie 1995 roku.

Prawie się skończył w bożonarodzeniową noc w zimnie i smutku jakiegoś baru na Manhattanie.

Trzydzieści lat później los rozdał karty, ofiarowując im partię, jakiej żadne z nich się nie spodziewało.

*

– Do jasnej cholery! – zaklęła Gabrielle, zamykając pudło na narzędzia. – Znów się gaźnik rozregulował!

Długo stała nachylona nad silnikiem wodolotu, a teraz zeskoczyła na ziemię z kocią zręcznością.

- Nie przejmuj się, naprawimy! – pocieszył ją Sunny.
- Ty to się nigdy niczym nie przejmujesz! A za co zapłacę rachunki, jak nie będę mogła przewozić klientów?
- Przecież jest cessa.
- Cessa ma trzy miejsca, a tu mamy sześć. Połowa zarobku odpada!

Gabrielle podparła się pod boki i popatrzyła na obiekt swego zmartwienia. „Krzyż Południa”, stary latécoère 28, elegancki hydroplan jednosilnikowy, z polakierowanego drewna cedrowego powleczonego płótnem. Pomalowany na kolor bordowy, z błyszczącymi żółtymi pasczkami na brzegach, był tak piękny, że zwracał powszechną uwagę.

Na pierwszy rzut oka wyglądał na obiekt muzealny, którego szkoda cumować na wodzie. Ale Gabrielle całkowicie go wyremontowała. Spędzała przy nim wszystkie weekendy i maszyna pochłonięła większość jej oszczędności. Boathouse, stary mustang i ten samolot to było wszystko, co zostało jej po matce. Zwłaszcza hydroplan był jej oczkiem w głowie.

Sprawdziła węzły na cumach, którymi hydroplan przyczepiony był do pontonowego mołu, i poszła do małego domku zbudowanego z bali, w którym Sunny przyjmował rezerwacje i sprzedawał spacerowiczom lody i napoje orzeźwiające.

Zewnętrzna część zatoki wyglądała jak jezioro otoczone lasem sosnowym. Z wolna zapadał zmierzch, światło było bardzo łagodne i czysty błękit nieba odbijał się na drżącej tafli wody.

Gabrielle pracowała w tym niewielkim parku narodowym od dziesięciu lat. Po długich korowodach udało jej się w końcu uzyskać zezwolenie używania obydwu swoich hydroplanów dla celów turystycznych: proponowała turystom możliwość podziwiania niezapomnianego widoku zatoki z lotu ptaka. Sunny, który był kiedyś hipisem, bardzo jej we wszystkim pomagał. Dawno już osiągnął wiek emerytalny, ale fantazyjnie ubrany, z długimi włosami związanymi w kucyk i tatuażami sprzed pół wieku stanowił dodatkową atrakcję, zabawiając turystów wspomnieniami z *Summer of Love* i mitycznego San Francisco lat sześćdziesiątych dwudziestego wieku.

W lecie jezioro było atakowane przez chmary amatorów kąpiei, kajaki, deski do windsurfingu i narty wodne. Ale w to zimowe popołudnie w królestwie czapli, kormoranów i różowych flamingów panował sielski spokój.

Gabrielle z zatroskaną miną podeszła do drewnianej budki. Sunny wręczył jej małą butelkę wody mineralnej, którą zachłannie wypiała.

– Jakiś problem z maszyną?

Odwróciła się w kierunku, z którego dobiegł ją głos. Przy koutuarze stał mężczyzna i popijał zimne piwo marki Corona. Obok niego leżał kask motocyklowy. Miał może z sześćdziesiąt lat, portargane, ciemne włosy, trzydniowy zarost i był ubrany z niedbałą elegancją w dżinsy, czarny golf i sportową, tweedową marynarkę. Nie przypominał ani emeryta, ani podstarzałego uwodziciela, ani faceta z przeszczepionymi włosami... Może nawet nie musiał uciekać się do viagry.

– Silnik nawala?
– Tak! – odpowiedziała Gabrielle, przysiadając na stołku obok niego.

Podniósł butelkę trzymaną w dłoni, jakby pił jej zdrowie. Postanowiła z nim pogadać.

– Sunny, podaj mi piwo. Ten pan mnie zaprasza.

To była jej zasada numer jeden: od początku decydować szybciej niż oni, zaskakiwać i obserwować reakcję. Patrzyć, jak połykają przynętę, jak się kompromitują lub nie...

Mężczyzna lekko się uśmiechnął.

– Archibald! – przedstawił się.

– Gabrielle.

Teraz ona uniosła butelkę w jego stronę. Przed wypiciem łyka ugryzła plasterek limonki.

Poczuła na sobie jego wzrok i uniosła oczy.

Nie patrzył ani na jej piersi, ani na pupę, ani na usta. Patrzył jej w oczy. Biła od niego serdeczność, nie serdeczność dziadka czy męża, który kocha jeszcze swoją żonę, ale już jej nie pieści. To było coś innego. Prawdziwa serdeczność. Ostatnio rzadko doznawała czegoś takiego.

Czasem przypominała sobie wykłady z filozofii na temat języka. „Myślimy słowami – mówił Hegel – gdyż słowo obdarza myśl najwyższą, najprawdziwszą egzystencją”.

Tymczasem coraz częściej słowa mężczyzn, którzy się do niej zbliżali, brzmiały pusto, większość jakby odtwarzała tę samą płytę. Gabrielle słyszała te same wyrażenia, takie same propozycje randek, w telefonie znajdowała te same głupie SMS-y, idiotyczne,

świadczące o kompletnym braku wyobraźni. Przestała więc słuchać, zaczęła zwracać uwagę na mowę ciała: na gesty, spojrzenia, wyraz twarzy, układ rąk...

Od tego mężczyzny biła naturalna pewność siebie, nie musiał niczym szpanować. Był jej obcy, ale czuła się przy nim bezpiecznie i dziwnie spokojnie.

*

Wskazówki GPS-u poprowadziły Martina aż do jeziora, tam gdzie pracowała Gabrielle. Zatrzymał się pod sosnami i zgasił silnik. Nie za bardzo wiedział, jaki ma być jego następny krok. Dokładnie przestudiował raport FBI, w którym niczego nie znalazł na temat kontaktów Archibalda z córką, ale czy ten raport był godny zaufania? On sam kiedyś ją spytał o rodziców i odpowiedziała mu, że nigdy ich nie poznała. Dlaczego zaczął w to wątpić?

Ponieważ Gabrielle była kobietą tajemniczą i zagadkową. Ponieważ mieszkała w San Francisco i ponieważ Archibald z pewnością niedługo zjedzie do tego miasta, żeby ukraść brylant. A może nawet już tu jest.

Martin przycisnął guzik i w kilka sekund dwie części aluminiowego dachu zsunęły się razem, zmieniając roadstera w kabriolet. Kiedy wyszedł z samochodu, żeby podkręcić śruby, nie od razu zorientował się, że odbicie w szybie to on. Trzeba powiedzieć, że Lloyd's Brothers odwalili kawał dobrej roboty: wracając do hotelu, znalazł w nim trzy garnitury firmy Smalto, uszyte na miarę, z rękawami idealnej długości, które leżały na nim doskonale. Jeszcze

bardziej zdumiewające było to, że w pokoju czekał na niego fryzjer, który zmienił brodatego, zarosniętego gliniarza w bohatera serialu telewizyjnego Jerry'ego Bruckheimera*. Ten nowy wygląd powodował, że Martin czuł się jak ktoś zupełnie inny. Ktoś wyglądający dużo lepiej, porządniej, ale kto tak samo nie był nim, jak ten znerwicowany policjant włączający się w *conversations* po paryskim bruku. Zresztą już od bardzo dawna nie czuł się tak naprawdę sobą...

* Słynny amerykański producent seriali telewizyjnych rozgrywających się w środowisku policji: *Eksperci*, *Bez śladu*, *Dowody zbrodni*...

Od czasów, kiedy ją spotkał...

Westchnął skonsternowany. Zrobił kilka kroków w kierunku jeziora. Miejsce było spokojne, jasne i przypominało mu Prowansję z czasów dzieciństwa. Brakowało tylko świerszczy.

Skierował się ku drewnianej chatce, która pełniła funkcję kawiarenki.

I wówczas ich zobaczył...

– Chce pani, żebym rzucił okiem na silnik? – spytał Archibald, patrząc na nią serdecznie.

– Czy jest pan mechanikiem?

– Niezupełnie. Zajmuję się rynkiem sztuki.

– W takim razie to nie ma sensu – Gabrielle uśmiechnęła się kąciakiem ust. – To bardzo kapryśny silnik, bardzo stary samolot...

– Tak, wiem, to jest *latécoère* dwadzieścia osiem.

Zaskoczona Gabrielle nieufnie zmarszczyła brwi.

Archibald sypnął szczegółami technicznymi.

– Silnik nie pochodzi z oryginalnego hispano, prawda? Czym go pani zastąpiła?

– Chevroletem.

– Sześćset czterdzieści koni?

– Tak... tak.

Tym razem było jasne, że facet zna się na samolotach.

– Mogę rzucić okiem?

Zrobiła ostatnią próbę zniechęcenia go, pokazując swoje czarne od smaru ręce.

– Cały się pan pobrudzi!

Ale Archibald już zdjął marynarkę i podwijał rękawy golfa.

– Sam pan chciał! – Uśmiechnęła się w końcu, wręczając mu skrzynkę z narzędziami.

Wciąż uśmiechnięta poszła za nim do pontonu, z którego Archibald wdrapał się na kadłub hydroplanu tak zręcznie, jakby robił to przez całe życie.

– Co dostanę, jeśli go naprawię? – spytał, podnosząc kłapę silnika. – Zaprosi mnie pani na kolację?

Gabrielle zamrugała oczami. Serce jej zaczęło bić w przyspieszonym tempie.

Zimny prysznic.

Wiedziała, że ma w sobie to „coś”, co przyciągało mężczyzn, kazało im myśleć, że z nią im się uda. Prawie wszyscy ruszali do ataku. Tak było zawsze. Jeden był bardziej delikatny, inny mniej, ale wszyscy próbowali. Dlaczego ten miał być inny?

Nie może okazać zmieszania ani zawodu. Będzie udawać, że to ją bawi.

– No, proszę bardzo. Udajemy dżentelmena, eleganta, a w sumie chodzi o kolacyjkę, lampkę wina i łóżko...

Archibald nie zareagował. Gabrielle ciągnęła:

– Jest pan taki jak wszyscy.

– Może... – powiedział, podnosząc głowę znad silnika. – A może nie.

– Okay – rzuciła Gabrielle. – Kolacja, jeśli pan naprawi mi silnik.

*

Z bijącym sercem Martin wrócił do kabrioletu. Trzęsącymi się rękoma otworzył schowek na rękawiczki i wyjął glocka 19 parabelum, który dała mu panna Ho. Koreanka dotrzymała słowa, dostarczając mu broń i licencję FBI. Obok znalazł latarkę, racę, myśliwski nóż i lornetkę. Lornetka! Wyjął ją i popatrzył w kierunku jeziora.

Gabrielle rozmawiała z ojcem!

Miała na sobie długi sweter robiony na grubych drutach, wytarte dzinsy opadały na botki. Martin poczuł, że trzęsą mu się ręce. Nie widział Gabrielle od trzynastu lat, a czuł się tak, jakby się rozstali wczoraj. Jak dawniej jasnokasztanowe włosy opadały jej na czoło, zakrywając oczy, a ona nie starała się nawet ich odgarnąć. Łagodne popołudniowe światło podkreślało regularne rysy twarzy, w której nagle coś zabłysło, a potem zgasło.

Martin zrozumiał, że ani czas, ani odległość nie zgasiły jego miłości do Gabrielle.

Ale czy miłość, przez którą człowiek cierpi jak potępieniec, to naprawdę miłość?

Silnik hydroplanu zakaszłał, zaczął się dławić, jakby w gardle stanęła mu śruba, po czym strzelił parę razy i nagle zaczął pracować. Rozległ się równomierny warkot.

Archibald skromnie i ostrożnie zsunął się z hydroplanu i wytarł dłonie w ścierkę.

– To nie był gaźnik, tylko jedna z głowic. Nawet jeśli jeszcze chwilę wytrzymają, trzeba pomyśleć o ich zmianie.

Włożył z powrotem marynarkę, poprawił sweter i popatrzył z uśmiechem na Gabrielle.

– Co do kolacji w restauracji, to powiedziałem tak sobie, oczywiście. Chyba że pani będzie nalegać...

Zmieszana Gabrielle zawahała się. Miała ochotę przedłużyć ten moment, poznać tego człowieka trochę bliżej, ale nie chciała się z tym zdradzić.

– Nie, nie będę nalegać.

Archibald nie okazał zdziwienia. Podniósł kask i rzekł:

– Do widzenia, Gabrielle.

– Do widzenia.

Wyszedł z drewnianej chaty, kierując się na parking.

Nagle Gabrielle zapragnęła, żeby został dłużej. Chciała, żeby jej coś opowiedział, jego słowa działały na nią kojąco. Chciała zorientować się, czemu przy nim czuje się tak dziwnie. Chciała tego wszystkiego, ale nie śmiała go zawołać.

Wsiadł już na swój wielki motocykl, kiedy usłyszała jego głos:

– Wygląda na to, że spotyka się pani tylko z mężczyznami, którzy się pani nie podobają, co?

– Tak! – wysnęło jej się mimowolnie.

– Dlaczego?

– Bo tych innych boję się stracić.

Zrezygnowała z walki. On i tak czytał w jej myślach jak w otwartej księdze. Odgadł, gdzie jest rysa, przepaść, wstyd, sącząca ropę rana, odgadł jej głębokość, zobaczył, co zjada jej wnętrzości.

Włożył kask, podniósł przyłbicę i spojrzał na nią ostatni raz.

Oczy jej błyszczały mocno, tak jakby płakała.

Stojąc pośrodku pontonu, czuła się bezbronna i sprawiała wrażenie, że byle powiew może ją przewrócić.

Coś między nimi zaiskrzyło. To nie był flirt, nie pożądanie, ale to było coś bardzo silnego.

Archibald nacisnął na gaz i cztery cylindry zagrały. Wrzucił pierwszy bieg, kiedy poczuł, że Gabrielle, która puściła się biegiem w jego kierunku, wskakuje na siodełko za nim, obejmuje go w pasie i kładzie głowę na jego ramieniu.

Archibald dodał gazu i motor znikł w zachodzącym słońcu.

17.

Tak cię pragnę!

*Każdy z nas ma w sercu królewską sypialnię.
Ja ją zamurowałem, ale to nie znaczy,
że zniszczyłem.*

GUSTAVE FLAUBERT

– A to skurwysyn!

Kopiąc ze złości, Martin z wielkim trudem jechał za motocyklem Archibalda. W Paryżu wyjąłby migacz, zaczepiłby go na dachu i dodatkowo poprosiłby o wsparcie, ale tu czuł się samotny i bezradny.

Wykonany z aluminium, chromu i stali dragster Archibalda przemykał między samochodami. Z drugiej strony szosy samochodami jechały ciasno jeden za drugim, ale ruch w kierunku miasta był słabszy i Archibald respektował ograniczenia prędkości. Nie zamierzał ryzykować zatrzymania przez policjantów na motocyklach z California Highway Patrol ani narażać życia córki, która nie miała kasku.

Martin nie wiedział, jak ma rozumieć scenę, której przed chwilą był świadkiem. Czy to było pierwsze spotkanie Gabrielle i

Archibalda? Czy młoda kobieta знаła prawdę o ojcu?

Przy wyjeździe z mostu motocykl minął obrośnięte drzewami okolice Presidio i wjechał w głąb mariny. Dzięki promieniom zachodzącego słońca turyści mogli robić romantyczne zdjęcia, ale dla Martina zapadający zmierzch oznaczał tylko utrudnienie pościgu.

Na Russian Hill stracił z oczu masywną, ciężką sylwetkę yama-hy, ale wjeżdżając do dzielnicy włoskiej, znów ją odnalazł.

Czterocyndrowa maszyna dojechała do Embarcadero, drogi ciągnącej się wzdłuż wybrzeża. Ta dawna przemysłowa dzielnica przeszła spektakularną zmianę po trzęsieniu ziemi w 1989 roku. Doki znikły, na ich miejscu powstała szeroka aleja wysadzana palmami ciągnąca się przez dziesięć kilometrów, marzenie dla rowerzystów i tych, którzy jeździli na rolkach.

Archibald minął przystań promową, której siedemdziesięciometrowa wieża z czterema wielkimi zegarami z każdej strony przeszła nietknięta przez wszystkie dotychczasowe trzęsienia ziemi. Ceglane łuki i marmurowa posadzka nadawały jej iberyjski wdzięk. Tak jakby się było jednocześnie w Miami, w Lizbonie, w Sewilli...

Potem Archibald wjechał na eleganckie moło, które wchodziło w głąb Pacyfiku i dawało kilku uprzywilejowanym dostęp do luksusowej restauracji z widokiem na ocean.

Zaskoczony Martin zahamował ostro i w ostatniej chwili skręcił na miejsce postojowe dla autobusów. Tymczasem parkingowy

zajmował się motorem Archibalda, a kierownik sali prowadził go do stolika na tarasie.

*

Zapadła noc.

Światła w oknach wieżowców w dzielnicy bankowej świeciły w mroku. W oddali, na Telegraph Hill, jak broniący miasta miecz świeciła w cieniu Coit Tower.

Płomień zapalniczki oświetlił przez chwilę wnętrze samochodu. Martin zaciągnął się papierosem.

Znów czekanie.

Znów lornetka, wypatrywanie Archibalda, zastanawianie się, czy wkroczyć do akcji, czy nie.

Ale teraz sytuacja uległa zasadniczej zmianie. Gdzieś znikł genialny złodziej, którego postać tak go fascynowała, a na jego miejscu pojawił się ojciec Gabrielle i ukochany Valentine.

Zakochany mężczyzna, tak bardzo do niego podobny...

*

Co ja tu robię?!

Gabrielle przejrzała się w lustrze. Gdy tylko weszła do restauracji, od razu pobiegła do toalety. Potrzebowała paru minut, żeby dodać sobie odwagi i spojrzeć na sytuację trzeźwym okiem. Co za dziwna siła pchnęła ją do tego człowieka? Dlaczego zachowała się tak impulsywnie?

Z nieobecnym wzrokiem umyła ręce i szybko przeczesła włosy,

żałując, że jest tak fatalnie ubrana w tym luksusowym miejscu.

Nie zamierzała się okłamywać, przechodziła dość ciężkie chwile. Pracowała dużo, często spędzała wieczory poza domem i mało spała. Cały czas pracowała dla Skrzydeł Nadziei, organizacji humanitarnej stworzonej przez jej mamę, i przez cały czas współpracowała ze strażakami: gdy tylko nad zatoką wybuchł pożar, pilotowała jeden z turbinowych samolotów canadair, zbierając wodę z okolicznych jezior i stawów.

Jej życie wypełniała praca, poświęcała się dla innych. Starła się nadać mu sens pozytywny. Chciała być z siebie dumna. Ale ta nadmierna aktywność była rodzajem ucieczki od rzeczywistości. Gabrielle chciała się tak zapomnieć w pracy jak ćma, która przyciągana w nocy do światła uderza skrzydłami w żarówkę. Nie zatrzymywać się, wciąż coś robić, aż do wyczerpania, nawet jeśli miałyby się przy tym spalić. Nie mieć czasu, żeby sobie uświadomić to, co w głębi duszy dobrze wiedziała: że potrzebuje kompasu, który ją poprowadzi, ramienia, na którym się będzie mogła oprzeć, pięści, która ją obroni.

Wyjęła tusz do rzęs, który zawsze miała przy sobie. Delikatnie przesunęła po rzęsach maskarą, wydłużając je i podkreślając ich łuk.

Zawsze się malowała nie po to, aby ładnie wyglądać, ale żeby się ukryć.

Machinalnym gestem wytarła zagubioną łzę z policzka i poszła na taras, do Archibalda.

*

Martin podregulował lornetkę, żeby widzieć ostro.

Między niebem a oceanem zadaszony taras restauracji dawał klientom panoramiczny widok i złudzenie biesiadowania na wodzie. Urządzone z surową elegancją miejsce było wyrafinowane: gustowne kompozycje storczyków pasowały do beżowo-brązowego wnętrza, a fotele pokryte suknem i przyćmione światła tworzyły przytulną atmosferę.

W momencie gdy Gabrielle wróciła do stolika, Martin zdusił papierosa.

Serce zaczęło mu walić w piersiach, myśli się zagmatwały. Rozdarły go przeciwstawne pragnienia.

Z jednej strony chciał sobie dowieść, że jest zdolny zatrzymać Archibalda.

Z drugiej – chciał się przedtem dowiedzieć o nim jak najwięcej.

Chciał kochać Gabrielle, ponieważ ona była mu pisana.

Ale chciał się zemścić za to, co mu zrobiła.

Bo twoja bratnia dusza może być jednocześnie twoją duszą potępioną.

*

Archibald zobaczył, że Gabrielle drży, i dał znak kelnerowi, żeby przybliżył grzejnik.

Podziękowała mu bladym uśmiechem. Mimo przyjaznej atmosfery wnętrza nie umiała się zrelaksować, tak bardzo była niespokojna i zmieszana. Żeby pokonać to paraliżujące uczucie, postanowiła zacząć rozmowę.

– Dobrze się pan zna na samolotach.

- Pilotowałem trochę – przyznał Archibald.
- Nawet hydroplany?

Kiwnął głową twierdząco, nalewając jej do kieliszka białego wina, które przed chwilą zamówił.

– Nie zrozumiałam, co pan właściwie robi... – ciągnęła Gabrielle. – Ma pan coś wspólnego ze sztuką, czy tak?

- Właściwie... Kradnę obrazy.

Gabrielle się uśmiechnęła, to był na pewno żart. Ale Archibald się nie uśmiechnął.

- To pana prawdziwy zawód? Złodziej obrazów?
- Tak – przyznał po prostu.
- Komu je pan kradnie?
- Och, wszystkim... Muzeom, miliarderom, królom, biznesmenom...

Na małym stolyczku obok kelner postawił srebrną tacę, na której stały różne przystawki w kokilkach: mrożone ostrygi z kawiozem, sałatka ze ślimaków z czereśniami, smażone krewetki z masłem orzechowym, koktajl z homara i żabich udek z pistacjami...

Z mieszaniną zaciekawienia i niepewności zaczęli próbować miejscowych oryginalnych przysmaków. Stopniowo atmosfera się rozluźniła. Archibald zaczął żartować, Gabrielle zrelaksowała się, a kiedy dołał jej wina, nawet się roześmiała. Kiedy tak siedziała, zasłuchana w jego ciepły głos, on nie spuszczał z niej wzroku. Światło świec uwydatniło maleńkie zmarszczki, oznakę zmęczenia, wokół jej oczu, ale w jakiś cudowny sposób po chwili te zmarszczki znikły i spojrzenie odnalazło swój blask. Tak bardzo była

podobna do Valentine. W ten sam sposób pochylała głowę, kiedy się uśmiechała, w ten sam sposób machinalnie kręciła palcem kosmyk włosów, na jej twarz wypływał ten sam wyraz słodczy, kiedy się przestawała pilnować... W oczach zapalały się jej takie same ogniki, zdolne, tak jak w tym wierszu, „doprowadzić niebo do tego, żeby zazdrościło ulewie”.

Powiedz jej! Powiedz, że jesteś jej ojcem! Choć raz w życiu nie bądź tchórzem. Jeśli dziś nie powiesz, nie powiesz jej już nigdy...

– Czy kradnie pan coś jeszcze oprócz obrazów? – spytała Gabrielle z uśmiechem.

- Tak – odrzekł – biżuterię.
- Biżuterię?
- Diamenty i... telefony.
- Telefony?
- Takie jak ten...

Archibald położył na stole telefon komórkowy, który wyniósł kilka godzin wcześniej z jej domu.

Kiedy go rozpoznała, odstawiła kieliszek z winem i śmiech zamarł jej na ustach.

Co to ma...?

Wiedziała, że zapomniała telefonu dziś rano, wychodząc z domu. Ten mężczyzna więc, którego nie znała, wszedł do jej mieszkania i grzebał w rzeczach osobistych. Na jakiego zbrojeńca znów trafiła?!

Archibald dotknął dłonią ramienia córki, ale dziewczyna popatrzyła na niego gniewnie i gwałtownie wstała od stolika.

– *Attends, Gabrielle, laisse-moi t'expliquer!** – krzyknął po francusku.

* Zaczekaj, Gabrielle, pozwól, że ci wytłumaczę...

Przez chwilę zawahała się, słysząc rozpacz w jego głosie. Dlaczego zwrócił się do niej po francusku? I dlaczego mówił do niej na ty?

Ale irytacja, która ją ogarnęła, gdy poczuła się oszukana, przeżyła i Gabrielle wyszła z restauracji, nie słuchając jego tłumaczeń. Gdy znalazła się na molo, zaczęła biec, jakby ktoś ją gonił.

*

Martin wypuścił lornetkę z rąk, kiedy zobaczył Gabrielle, która przy Embarcadero łapała taksówkę. Wszedł z samochodu niezauważony i przykucnął za roadsterem wpatrzony w Archibalda, który stał po drugiej stronie ulicy, najwyraźniej zrezygnowany.

Martin postanowił nie przechodzić przez jezdnię. O tej godzinie był wciąż duży ruch i nie chciał znaleźć się oko w oko z Gabrielle.

W końcu przed dziewczyną zatrzymała się jakaś taksówka. Miała już do niej wsiąść, kiedy zadzwoniła jej komórka. Zawahała się chwilę i...

*

– Nie rozłączaj się, Gabrielle, błagam cię! Muszę ci coś powiedzieć... Usiłuję nawiązać z tobą kontakt od dwudziestu siedmiu lat...

Gabrielle odwróciła się. Na nabrzeżu był wciąż wielki tłok, ludzie starali się złapać ostatni prom albo wejść do jakiejś knajpki czy klubu, których tu było pełno, na kieliszek wina.

Zachrypięty głos Archibalda wciąż rozbrzmiewał w telefonie.

– Muszę ci wyjaśnić...

Gabrielle poszukała go wzrokiem. Nic nie rozumiała. Nie chciała zrozumieć.

W końcu zauważyła go pięćdziesiąt metrów dalej, tam gdzie molo dochodziło do nabrzeża.

Zrobił ręką uspokajający gest i mówił dalej:

– Porzuciłem cię, to prawda...

Gabrielle odprawiła taksówkę i przez moment stała jak sparaliżowana pośrodku chodnika.

– ...ale musisz mi pozwolić wyjaśnić ci, dlaczego to uczyniłem.

Archibald czuł, jak serce wali mu w piersiach, zbyt szybko i zbyt mocno jak na jego stary zniszczony organizm. Słowa, które go dusiły przez tyle lat, wymykały się teraz same z ust i spływały jak lawa z obudzonego wulkanu.

To mój ojciec!...

Po chwili wahania Gabrielle zdecydowała się podejść do niego. Teraz ona zamachała ręką i...

– Uwaga!

*

To ona krzyknęła, żeby go uprzedzić. Z drugiej strony ulicy jakiś mężczyzna szedł ku niemu z odbezpieczonym pistoletem. A tym mężczyzną był...

*

– *Freeze! Put your hands overhead!** – krzyknął Martin w kierunku złodzieja.

* Stój! Ręce do góry!

Zaskoczony Archibald podniósł powoli ręce. W prawym ręku, teraz nad głową, trzymał telefon, z którego rozległ się niespokojny głos córki:

– Tato? Tato?

Trzymając pistolet obydwoma dłońmi w wyciągniętych rękach, Martin miał Archibalda na muszce. Rozdzielał ich strumień samochodów jadących z zachodu na wschód.

Tym razem Martin był zdecydowany skończyć raz na zawsze z tą całą irracjonalną fascynacją wobec przestępcy, z tym absurdalnym, szalonym uczuciem do Gabrielle. Aresztuje Archibalda, wróci do Francji i wreszcie dorośnie. Stanie się prawdziwym mężczyzną.

– *Stick your hands up! Stick'em up!*** – wrzasnął, żeby przekrzyczeć hałas przejeżdżających jednym ciągiem samochodów.

** Trzymaj ręce nad głową!

Wyjął legitymację – plastikową kartę z trzema magicznymi literami FBI – żeby działać zgodnie z prawem, ale też po to, aby uspokoić zdezorientowanych i spanikowanych przechodniów. A przede wszystkim chciał zatrzymać Archibalda według wszystkich

procedur policyjnych, nie popełnić żadnego fałszywego kroku ani nie dopuścić się nadużycia władzy.

Kiedy usiłował przejść przez jezdnię, usłyszał nagle ostry klakson i przestraszony stanął w miejscu. Tuż przed jego nosem przejechał rozpędzony autobus przegubowy. Archibald skorzystał z zamieszania i pobiegł w kierunku mola.

Kiedy Martin znalazł się wreszcie po drugiej stronie, złodziej miał nad nim dużą przewagę. Martin ponowił wezwanie i oddał strzał ostrzegawczy w powietrze, ale Archibald jakoś się tym nie przejął.

Martin zmienił strategię i wrócił do samochodu. Postanowił zjechać drogę uciekinierowi.

Na nic nie zważając, wybił dziurę w ogrodzeniu i gwałtownie wjechał na mały parking na tyłach restauracji. Ale Archibald, w kasku, siedział już na motorze. Martin zaczął go ścigać wzdłuż mola, strzelając, tym razem nie w powietrze, lecz celując w motor. Ciemność rozdarły dwa strzały. Pierwsza kula przedziurawiła jedną z aluminiowych tub amortyzatora, a druga odbiła się rykoszetem od rury wydechowej. Mimo to Archibald nie dał się zepchnąć w stronę wody i udało mu się dojechać do drogi. Wjechali na nią prawie w tej samej chwili, ale Martin myślał, że motocykl wślizgnie się między jadące samochody, tymczasem Archibald nagle ustawił się na Embarcadero pod prąd do kierunku jazdy.

Nie ośmieli się!

To było prawdziwe szaleństwo, prawie samobójstwo, a jednak...

...Archibald prawie położył się na kierownicy i dodał gazu. Monstrualna maszyna uwolniła swoje dwieście koni i motor niemal wleciał w powietrze. Poślizg zostawił na asfalcie długi czarny ślad. Motor wystrzelił jak rakieta między samochody.

Martin zawahał się i ruszył za nim. Samochody najeżdżały na niego pośród pisków klaksonów i migających ostrzegawczo świateł jak mgła asteroidów. Udało mu się tak jechać tylko przez chwilę i musiał zjechać w kierunku Fountain Plaza, żeby uniknąć wypadku. Świadom, że ledwo uniknął katastrofy, czuł, jak mu serce wali i jak trzęsą się ręce na kierownicy.

Zawrócił w miejscu.

Jeszcze raz przegrał starcie.

*

Szukał jej wszędzie: w restauracji, na drodze, na moło...

Szukał bardzo długo.

Ale Gabrielle nie czekała na niego.

18.

Wspomnienia i żale...

*Jeśli na jakiejś rzeczy zależy ci ponad wszystko,
nie zatrzymuj jej siłą.*

Jeśli do ciebie wróci, będzie twoja na zawsze.

Jeśli nie, to znaczy, że nigdy nie była twoja.

Fragment z filmu *Niemoralna propozycja*

01.00

Martin leżał na piasku z twarzą zwróconą do wiatru i patrzył na gwiazdy.

Zadzwoił do Gabrielle, ale nie odpowiedziała. Szukał jej wszędzie: zajrzał do drewnianej chaty obok hydroplanów i odwiedził wszystkie miejsca, w których kiedyś bywali razem. Ale jej nie znalazł.

Takie było jego całe życie...

Podobnie jak wtedy, gdy miał dwadzieścia lat i poczuł nagłą chandrę, tak i teraz wylądował na małej plaży, za Marine Drive, między portem jachtowym a Golden Gate.

Tej nocy księżyc był prawie w pełni. Ocean szumiał tajemniczo. Mimo późnej pory miejsce nie było wyludnione. Lekceważąc znaki

zakazujące rozpalania ognisk, grupa *It girls** rozpaliła ogień i teraz podśmiewały się ze starszego pana ubranego jak kosmonauta, który wypróbował na plaży bojer piaskowy. Jakiś pociesznie wyglądający Azjata w wielkich przeciwśłonecznych okularach, rozchylnym na piersiach fioletowym kimonie, ale z torsem kulturysty – stojąc bosymi nogami w wodzie, manewrował ogromnym latawcem w kształcie smoka. Odcięty od świata miał w uszach słuchawki hi-fi. Każdy ma swoją słabość, swój sposób ucieczki od rzeczywistości. To była filozofia tego miasta, jego urok, dlatego można je było uwielbiać albo go nienawidzić.

* *It girls* – dziewczyny lansujące modę na trendy w ubiorze.

Z dała od brzegu, skryta za skałami, jakaś para obściskowała się delikatnie, jakby to był ich pierwszy raz.

– Nie uważasz, że są podobni do nas? – spytał ktoś za plecami Martina.

Martin zadrżał, rozpoznał głos Gabrielle. Usiadła metr od niego, podpierając podbródek na kolanach.

Spróbował zachować spokój. Popatrzył z ukosa na całującą się parę i powiedział:

– Tak, to my z dawnych czasów.

– Ci tutaj są dużo spokojniejsi, nie pamiętasz, co myśmy wyrabiali?

– To było bardzo dawno temu.

– Nie tak znowu dawno... – stwierdziła Gabrielle. – Pamiętasz to zdanie Faulknera, które zacytowałeś mi w jednym ze swoich

listów: *The past is never dead. It's not even past**.

* „Nie można powiedzieć o przeszłości, że umarła, bo ona nigdy definitywnie nie mija” – William Faulkner, *Requiem dla zakonnic*.

Martin nawet nie starał się ukryć rozgoryczenia.

– Widzę, że przynajmniej czytałaś moje listy, bo przecież na żaden nie dostałem odpowiedzi.

– Czytałam i pamiętam ich treść nawet po trzynastu latach.

Po raz pierwszy od tak dawna Martin popatrzył na nią uważnie. Mimo woli zamrugał szybciej powiekami, jakby na znak, że ulotność chwil spędzonych z Gabrielle nakazuje mózgowi zarejestrować je szybciej niż cokolwiek innego.

Kiedy się rozstali, ona była bardziej nastolatką niż kobietą. Dziś było na odwrót, ale nadal miała w sobie coś ze zbuntowanej chłopczycy, co czyniło ją jeszcze bardziej wyjątkową.

– Przyjechałeś do San Francisco specjalnie, żeby się ze mną spotkać?

– Nie, przyjechałem tu, żeby aresztować twego ojca.

– Więc ten Archibald jest naprawdę moim...

– Tak, Gabrielle, to twój ojciec.

– Od kiedy o tym wiesz?

– Od dzisiaj rana.

– To jest mój ojciec, a ty chciałeś go zabić.

– Taki mam zawód!

– Twój zawód każe ci zabijać ludzi?!

- Gabrielle, jestem... to znaczy byłem policjantem.
- Wiem.
- Skąd wiesz?
- Znasz coś takiego jak Google?

Martin wzruszył ramionami.

– Nie celowałem w niego, tylko w motocykl, to co innego! – rzucił zirytowany.

– „Tylko w motocykl, to co innego!”. Co z ciebie za człowiek, Martinie?

Martin zdenerwował się na dobre.

- Twój ojciec jest przestępcą i musi zapłacić za swoje czyny!
- On tylko kradnie obrazy...
- „Tylko kradnie obrazy!”. Od lat szuka go policja na całym świecie!

Zerwał się wiatr i morze się wzburzyło. Przez chwilę milczeli, patrząc w kierunku horyzontu, pogrążeni w bolesnych wspomnieniach odnawiających stare rany.

- To dzisiejsze spotkanie... Pierwszy raz widziałaś ojca?
- Tak. Pierwszy raz! – odpowiedziała Gabrielle.
- Co ci powiedział?
- Chciał mi wyjaśnić, dlaczego mnie porzucił.

Twarz Gabrielle była skąpana w świetle księżycy. Jej błyszczące oczy zdradzały cierpienie i wzruszenie.

– A ty nie pozwoliłeś mu na to! – dodała.

– Masz, tutaj jest wszystko – powiedział i otworzył torbę, która leżała obok niego na piasku, i wyjął z niej dossier zgromadzone przez FBI.

– Również dlatego chciałem się z tobą spotkać, żeby ci wyjawić prawdę.

– Nie jestem pewna, czy chcę ją znać, Martinie.

– Nie masz wyboru, a poza tym musisz wiedzieć, że twój ojciec mimo wszystko jest przyzwoitym człowiekiem.

– Przyzwoitym człowiekiem?

– Tak... To bardzo skomplikowane. Tak czy inaczej on naprawdę kochał twoją matkę: to była wyjątkowa miłość, głęboka, namiętna...

– Jeśli jest taki wspaniały, to dlaczego chcesz go aresztować?

– Może chcę się na tobie zemścić, Gabrielle.

Pokręciła głową, zaskoczona i dotknięta odpowiedzią

Martina. Czowała, że jego rany jeszcze się nie zasklepiły i że szarpie nim ból.

– Nie wierzę. Martin, którego znałam, nie skrzywdziłby mnie. Jego dobroć była jednym z powodów, dla których go kochałam...

– Nie zawracaj mi głowy nieszczerymi komplementami i nie opowiadaj, że mnie kochałaś! Tak czy inaczej Martin, którego znałaś, już nie istnieje. Zresztą to twoja wina.

– Bo nie przyjechałam na spotkanie z tobą do Nowego Jorku? Nie uważasz, że to zbyt proste?

– Pracowałem długie miesiące na to spotkanie! Do późnej nocy czekałem na ciebie w Café DeLalo! Nie tylko się nie zjawiłaś, ale nawet nie raczyłaś się usprawiedliwić! Miałaś mój numer telefonu, mój adres, miałaś...

– Ty też nie starałaś się ze mną porozumieć! Szybko zrezygnowałaś jak na kogoś, kto mówił, że jestem kobietą jego życia!

I nigdy nie próbowałaś się choćby dowiedzieć, dlaczego wtedy nie przyjechałam.

- Bo byłaś z kimś innym, tak?
- Nieważne, i tak wystarczy byle przeszkoda...

Zdumiony agresywnym tonem Gabrielle przerwał jej w pół zdania.

- Nienawidzę cię za to, co mówisz!
- Ale to prawda! – Gabrielle akcentowała każde słowo. – Pan hrabia się obraził. Uraziłam jego męską dumę! Pan hrabia się obraził i nie odezwał przez trzynaście lat! Myślałam, że jesteś inny, że jesteś ponad te bzdury.

- Ponad jakie bzdury, Gabrielle?! Przecież ty mi złamałaś serce!

- Nie, Martin, sam je sobie złamałeś. I przy okazji złamałeś moje.

- Nie przeinaczaj faktów tyradami jak z taniego romansu, bardzo cię proszę!

Nagły podmuch wiatru zmusił ich do zasłonięcia oczu przed chmurą unoszącego się w powietrzu piasku. Gabrielle podniosła kołnierz, żeby osłonić się przed chłodem, i Martin rozpoznał płaszcz z moleskinu, który podarował jej trzynaście lat wcześniej. Podwinął rękawy koszuli, wyjął zapalniczkę i zapalił papierosa. W oddali słychać było syreny karetok i radiowozów policji, a po chwili wróciły zwykłe odgłosy plaży: szum fal, krzyk mew, powiew morskiej bryzy.

- Dlaczego nie przyszłaś na to spotkanie? – spytał Martin już spokojnie.

– Mieliśmy wtedy po dwadzieścia lat, Martin, dwadzieścia lat! Nie mieliśmy pojęcia o życiu, nie wiedzieliśmy, co to jest miłość! Ty chciałeś mieć pewność, wymagałeś przysięg!

– Nie, ja chciałem tylko znaku.

Gabrielle spróbowała się uśmiechnąć i odezwała się głosem, w którym brzmiała nadzieja.

– Martin, proszę cię, zapomnijmy o przeszłości! Zobacz, spotkaliśmy się w tym samym miejscu trzynaście lat później, to niemal cud, prawda?

W porywie czułości wyciągnęła dłoń, żeby go pogłaskać po policzku, ale on odepchnął ją zimno. Oczy Gabrielle zaszyły łzami. Nie błyszczało już w nich to specyficzne światło, w każdym razie Martin przestał je widzieć. Może nie chciał, może faktycznie już jej nie kochał. Może zresztą tak było dla niego najlepiej.

Wstał, zapiął marynarkę i nie odwracając się, poszedł do samochodu.

*

Tej nocy Gabrielle nie zmrużyła oka.

Znalazła się u siebie w domu dopiero o drugiej nad ranem. Przygotowała termos herbaty i włączyła komputer. Postanowiła wyszukać w Internecie wszystkie możliwe informacje o Archibaldzie McLeanie, którego „wyczyny” dochodziły do jej uszu sporadycznie, w dodatku zniekształcone przez nastawienie mediów, którym zależało tylko na rozgłosie.

Potem zaczęła dokładnie przeglądać materiały, które dostała od Martina. W miarę czytania nie tylko ujrzała ojca w świetle, w którym nikt go jej nigdy nie pokazał, ale również matka wydała jej się inna niż ta, którą ona znała z opowiadań: Gabrielle zobaczyła kobietę zakochaną i zdecydowaną urodzić dziecko nawet za cenę własnego życia.

Resztę nocy Gabrielle spędziła, szlochając, przekonana, że jej narodziny zniszczyły życie czterech osób: najpierw matki, potem Archibalda, niesprawiedliwie posłanego do więzienia, potem jej, samotnej, pożałowania godnej sieroty, która do tej pory nie znalazła sobie miejsca w życiu, i wreszcie Martina, który cierpiał przez nią, mimo że ona tego wcale nie chciała.

O czwartej rano przestała pić herbatę i spróbowała nalewki z malin, której butelkę znalazła na strychu, przeglądając szafy w poszukiwaniu starych albumów. Patrzyła teraz na zdjęcia matki innym okiem i odkryła, że niektóre z nich, te, na których wydawała się bardzo szczęśliwa, zostały poobcinane nożyczkami. Była to metodyczna, godna epoki stalinowskiej cenzura babki, która miała na celu wyeliminowanie obecności sylwetki, jak się domyśliła Gabrielle, Archibalda. Znała te zdjęcia na pamięć – niewiele miała fotografii matki – jak więc było możliwe, że do tej pory nigdy tego nie zauważyła?

A może zauważyła, tylko zepchnęła tę wiedzę do podświadomości? Pamiętała, jak dziadkowie poruszali różne tajemnicze sprawy,

jak wymieniali porozumiewawcze spojrzenia, pamiętała również, że ją to wówczas intrygowało, ale dopiero teraz zaczynała rozumieć... Jak wszystkie sekrety rodzinne, tak i ten dramat związany z jej przyjściem na świat ciążył im jak niewidzialne brzemie, kładł się cieniem na jej dzieciństwie i okresie dorastania, powodując szkody, których konsekwencje znosiła do dziś.

O piątej rano odstawiła nalewkę, zrobiła sobie kawy i zaczęła czytać stare miłosne listy od Martina. Obraz zakochanego chłopaka plątał się jej i nakładał na obraz twardego młodego człowieka, którego odkryła tego wieczoru. Każde kolejne zdanie zmieniało jej nastrój, raz była wesoła, raz przygnębiona, raz na twarz jej wypływał uśmiech, raz oczy napełniały się łzami i załamana podpierając głowę rękami, zatopiona w smutku.

Tak bardzo go kochała, tak mocno. I nigdy nie przestała go kochać! Od pierwszego pocałunku... nie, od pierwszego listu! Od tego, który zaczynał się od słów: *Po prostu chcę Ci powiedzieć...*

O szóstej rano wzięła długi prysznic. Czuła się lekka, jakby zwolona od ciężaru.

W przeciwieństwie do tego, co myślała kilka godzin wcześniej, dramatyczne okoliczności narodzin nagle podniosły w jej oczach wartość własnego życia. Czy nie powinna okazać się godna takiego daru?

Do tej pory miała wrażenie, że ściąga na siebie wszystkie nie-szczęścia świata. Teraz nagle poczuła w sobie rosnącą determinację: musi zaryzykować i sięgnąć po szczęście.

O siódmej rano otworzyła okiennice i ujrzała różowe promienie wstającego świtu, w których zatoka wyglądała przepięknie. Nowy, pełen obietnic dzień wstawał nad San Francisco.

Poprzedniego dnia dziwnym zbiegiem okoliczności w tym samym momencie pojawili się u niej dwaj najważniejsi mężczyźni jej życia.

Dziś była zdecydowana nie pozwolić im znów zniknąć.

Miała tylko nadzieję, że nie będzie zmuszona wybierać między nimi...

19.

Widzisz, nie zapomniałem...

*Miłość oznacza pozwolić drugiej osobie
prześladować nas.*

FIODOR DOSTOJEWSKI

23 grudnia, 08.00

Złote i srebrne igły błyszcząły w świetle.

Cienkie jak włos dziesięciocentymetrowe szpile przecinały powietrze prowadzone energicznymi i precyzyjnymi gestami panny Euphenii Wallace.

Effie przyjechała do Archibalda i zamieszkała z nim w pięknym domu na wzgórzu. Angielka, pełniąca funkcję jego ochroniarza i opiekunki, dyplomowana lekarka, absolwentka uniwersytetu w Manchesterze, robiła swemu szefowi akupunkturę, żeby złagodzić jego ból.

Szybkimi ruchami wbiła około trzydziestu igieł w całe ciało Archibalda, zmieniając za każdym razem kąt i głębokość wkłucia, żeby szybko i perfekcyjnie odblokować przepływ energii witalnej pacjenta.

Archibald leżał na brzuchu. Oczy miał zamknięte.

Cierpiał.

Poprzedniego dnia udało mu się opanować ból, ale tego ranka cierpienie powróciło z podwójną siłą.

Effie, z blond włosami upiętymi w koczek, wysmukła, wysportowana, w jasnym czerwonym dresie, kontynuowała zabieg. Po wkłuciu jeszcze poprawiała ustawienie każdej igły, żeby wzmocnić ich lecznicze działanie: niektóre podciągała w górę, inne przekreślała kciukiem i palcem wskazującym. Była to sztuka delikatna, wyszukana, która tak jak miłość wymagała łagodności i zręczności.

Archibalda ogarnęło najpierw odrętwienie, potem dreszcze, gorąco, mięśnie zaczęły mu drgać, w całym ciele poczuł jakby małe wyładowania elektryczne... poddał się wszystkim tym uczuciom.

Czy była to terapia skuteczna? Nie miał pojęcia. Od tygodni zażywał wiele środków przeciwbólowych. Wczoraj to działało, ale dziś potrzebował czegoś innego. A Effie miała talent do łączenia zachodniej, nowoczesnej medycyny ze starą, tysiącletnią nauką medyczną Chin.

Effie skończyła wkłuwanie igieł i wyszła z pokoju. Chciała, żeby jej pacjent się zrelaksował. Archibald zaczął głęboko oddychać. Upoiła go woń kadzidełek spalających się w czterech kątach pomieszczenia, mieszająca się z bardziej odurzającą jeszcze wonią piołunu. W tle rozbrzmiewały uspokajające dźwięki muzyki fortepianowej Erica Satiego, które budziły w nim wspomnienie emocji

doznanych poprzedniego dnia: zwierzeń uczynionych Gabrielle i pojedynku z Martinem.

Zmusił się do uśmiechu. Chłopak nie dał za wygraną: przyjechał za nim aż do Kalifornii, a wczoraj wieczorem faktycznie mało brakowało, a zaaresztowałby go. Mało brakowało... czyli nie aresztował. W ostatnim momencie zabrakło mu odwagi, żeby ścigać go pod prąd ruchu ulicznego.

Archibald doznawał mieszanych uczuć, kiedy myślał o młodym Francuzie. Serdeczność mieszała się z zazdrością, miał ochotę jednocześnie go prowokować i chronić, pomóc mu i uciec przed nim.

Skrzywił się z bólu. Niewiele czasu mu zostało, żeby się dowiedzieć, co naprawdę wart jest Martin Beaumont. Archibald nie stawiał się na dogrywkę: zamierzał zejść z tego świata elegancko, a nie jako przykuty do łóżka, obłożnie chory cierpiętnik.

Do tej chwili chłopak go nie zawiódł, ale test nie był jeszcze skończony.

*

Siedząc wygodnie na taborecie na pierwszym piętrze Lori's Diner, Martin przeżuwał organiczne śniadanie: pełnoziarnisty chleb, płatki muesli, suche jabłko, niedobra kawa. Przez wielkie okno patrzył, ziewając, na tłum przechodzący Powell Street.

– No, popatrz, popatrz! Kiedyś byłeś większym smakoszem! Martin aż podskoczył z wrażenia.

Świeża i wesola Gabrielle patrzyła na niego z uśmiechem. Miała na sobie jasne džinsy, białą koszulę i tę dopasowaną, brązową skórzaną kurtkę, którą, wydawało mu się, nosiła trzynaście lat wcześniej.

– Dobrze – rzekła, siadając naprzeciw niego. – Podaj mi kartę, zamówimy coś smaczniejszego.

– Śledzisz mnie?

– Nietrudno cię znaleźć. Podejrzewam, że robisz pielgrzymkę do miejsc, w których bywaliśmy razem w przeszłości! Pamiętasz, ile porcji lodów bananowych pochłonęliśmy tutaj na spótkę? Ja zostawiałam ci zawsze wisienkę na bitej śmietanie, bo wiedziałam, że lubisz. Pamiętasz, jak mi za to dziękowałeś?

Martin potrząsnął głową i westchnął.

– Po co tu przyszedłeś?

Gabrielle spoważniała.

– Po pierwsze, chciałam ci podziękować za to! – Wręczyła mu dossier, które Martin dał jej poprzedniego wieczoru.

– Dobrze, a po drugie?

– Po drugie, chciałam z tobą zjeść śniadanie!

Zawołała kelnerkę i zamówiła espresso, tosty o zapachu waniliowym z mieszanką czerwonych owoców i jajka po benedyktyńsku z łososiem.

Martin zaczął się rozglądać, udając nagle zainteresowanie dekoracją lokalu. Miejsce urządzone było w stylu lat sześćdziesiątych. Stała tutaj szafa grająca, flippery, wisiały zdjęcia harley ów-davidsonów i afisze filmowe z Jamesem Deanem i Marilyn Monroe.

- Dzisiejszej nocy sporo dowiedziałam się o moim ojcu – rzekła Gabrielle. – Czy od dawna starasz się go złapać?
- Od wielu lat.
- I nie wydaje ci się to dziwne?
- Co?
- Że facet, na którego polujesz od lat, jest właśnie moim ojcem...

Martin zmarszczył brwi. Pytanie to dręczyło go całą noc. Rzeczywiście trudno było uważać to za zwykły przypadek, ale jakie było inne wyjaśnienie?

Kelnerka postawiła przed Gabrielle zamówione przez nią śniadanie. Jak za dawnych dobrych czasów Gabrielle podzieliła wszystko na dwie części. Mimo że Martin odmówił poczęstunku, udała, że się tym nie przejęła, i mówiła dalej:

- Jak to się stało, że zainteresowałeś się Archibaldem?

Martin wzruszył ramionami

- Jestem policjantem specjalizującym się w tropieniu skradzionych dzieł sztuki, a McLean jest największym złodziejem obrazów na świecie, to wystarczy, prawda?

Wypił łyk nie dobrej kawy i skrzywił się.

- Co najpierw cię w nim zaciekawiło? – kontynuowała Gabrielle, podając mu swoje espresso.

- Nic specjalnego. Po prostu mnie irytował.
- Masz jakieś konkretne wspomnienie?

Martin się zamyślił.

- W lutym dwa tysiące piątego roku ukradł *Pocahontek*

Gustava Klimta z Österreichische Galerie w Wiedniu, mój ulubiony obraz...

- Nasz ulubiony obraz! – przerwała mu Gabrielle.
- No, dobrze, do czego zmierzasz?
- Czy nie zastanowiło cię również to, że on kradnie właśnie ten obraz zaraz po tym, jak wstąpiłeś do CBWPZ?

Martin uchylił się od odpowiedzi i stwierdził:

- Widzę, że jesteś poinformowana o przebiegu mojej kariery.
- Archibald zrobił wszystko, żebyś się nim zainteresowała! – westchnęła Gabrielle. – Od lat to on wiedzie prym w waszych relacjach. Czas już, żebyś to zauważył.

Martin, urażony, wstał. Może Gabrielle miała rację, ale żeby się upewnić, musi złapać Archibalda. Za wszelką cenę.

Położył na stoliku trzy banknoty dziesięciodolarowe i poszedł w kierunku wyjścia, nie rzucając ani jednego spojrzenia na córkę swego wroga.

- Zjemy razem obiad? – usłyszał.

Ale się nie odwrócił.

Godzina później

Palace Hotel mieścił się przy Montgomery Street między Financial District a Union Square.

Martin i panna Ho spacerowali po słynnej Garden Court, parterowej sali, w której wystawiony był na licytację „Klucz do raję”.

Sławny błękitny brylant leżał za kuloodporną szybą i hipnotyzująco błyszczał. Mimo wczesnej godziny tłum cisnął się, żeby go obejrzeć. Pośrodku pomieszczenia kwartet smyczkowy odgrywał muzykę z filmu *Śniadanie u Tiffany'ego*.

Luksus i wyrafinowanie tego apartamentu tworzyły wspaniałą oprawę dla mającej się wkrótce odbyć licytacji. Hotel był miejscem spotkań przedstawicieli szacownych starych rodzin z San Francisco, którzy przychodzili tutaj na niedzielne brunchy i organizowali z wielką pompą wesela i chrzciny. Przede wszystkim zaś Palace Hotel przechowywał pamięć historii: zatrzymywali się tutaj Oscar Wilde, słynny tenor Caruso i prezydent Roosevelt. Sarah Bernhardt wywołała nawet panikę, wchodząc do hotelu ze swoim oswojonym tygrysem.

Dawny podwórzec, na który kiedyś wjeżdżały powozy konne, zmieniono we wspaniały ogród zimowy o majestatycznych sklepieniach i gigantycznym szklanym dachu. Martina zachwyciły witraże kopuły, żyrandole z austriackiego kryształu, kolumny z włoskiego marmuru i świeczniki o barwie bursztynu pokryte płatkami złota. Wystarczyło zamknąć oczy, żeby znaleźć się w wiktoriańskiej sali balowej, a jednocześnie dziesiątki bujnych palm w wielkich szklanych donicach skąpane naturalnym światłem nadawały pomieszczeniu charakter nowoczesnego atrium.

- No więc? – spytała Koreanka.
- To coś wspaniałego! – rzekł Martin. – Ale jeśli chodzi o system zabezpieczeń...

- Tak?
- Prawdziwe sito!

*

Wrócili do „sztabu generalnego” umieszczonego w jednym z apartamentów na ostatnim piętrze hotelu. Na długim stole z laki ściana ekranów wyświetlała obrazy przekazywane przez kamery przemysłowe zainstalowane w Garden Court.

Martin patrzył ponuro na monitory. Minę miał zatroskaną.

- Wszystko jest nieszczelne!

Panna Ho spojrzała mu przez ramię na jeden z ekranów. Martin poczuł dyskretny zapach ściętych kwiatów.

– Przesadza pan. Wszystkie wyjścia są pilnowane, nasi agenci patrolują każde piętro, a brylant znajduje się w szklanym pudle przymocowanym do podłogi. Czego więcej panu potrzeba?

Martin wstał, żeby uwolnić się od niewidzialnego pola magnetycznego, które roztaczała Koreanka.

– Tu jest pełno ludzi! Archibald mógłby w mgnieniu oka zasnąć panikę: wystarczyłoby krzyknąć: „Pożar!”, albo niechcący nacisnąć alarm czy wystrzelić... Natychmiast ludzie zaczęliby się przepychać jeden przez drugiego i zrobiłoby się zamieszanie trudne do opanowania!

Panna Ho zbiła ten argument.

– Wszyscy nasi ludzie zostali przeszkoleni do sprawnego kierowania ewakuacją.

Martin na stojąco uderzył palcami w klawisze swego laptopa, żeby sprawdzić plan warty każdego strażnika.

– To prawda, że jest dużo strażników w dzień, ale w nocy jest ich niewielu! A poza tym wystawienie brylantu pod szklaną kopułą... Tak jakbyście robili to naumyślnie. Nie pamięta pani, ile razy Archibald wdarł się do muzeum przez dach? To przecież jego specjalność!

Panna Ho milczała, jakby nagle uświadomiła sobie luki we własnej strategii.

Martin usiadł przy komputerze i załadował nań plany hotelu, które przysłała mu dyrekcja. Właśnie je drukował, kiedy usłyszał metaliczny sygnał komórki. Nowy SMS.

Przeszkadzam?

Popatrzył na numer. Gabrielle. Postanowił nie odpowiadać, ale dwie minuty później przysłała kolejna wiadomość.

Przeszkadzam?

Tak!

odpisał zirytowany.

Gabrielle natychmiast odpowiedziała:

Czy zjesz ze mną lunch?

Nie.

Co robisz?

Pracuję.

Zabijasz ludzi?

Przestań, Gabrielle...

Pamiętasz, jak się kochaliśmy?

Jakby złapany na gorącym uczynku, Martin uniósł głowę znad laptopa i popatrzył na pannę Ho, która z drugiej strony biurka, w połowie ukryta za ekranem swojego macbooka, obserwowała go z zaciekawieniem.

Mam nadzieję, że nie zainstalowali mi podsłuchu elektronicznego... – pomyślał, wracając do swojej komórki, żeby napisać na małej klawiaturze.

Mówiłem ci, żebyś przestała!

Gdy się kochaliśmy, byłeś zawsze dobry, czuły, byłeś prawdziwym sobą...

Martin znów chciał jej napisać, żeby przestała, ale nagle zapragnął usłyszeć więcej. Począł więc minutę, wpatrzony w ekranik, mając nadzieję na kolejne zdanie.

Dla mnie to były najwspanialsze chwile, nigdy nie przeżyłam nic tak silnego, tak zmysłowego...

Tym razem nie stracił okazji i szybko odpisał:

To dlaczego nie przyszedłeś
wtedy na spotkanie?

Gabrielle nie odpowiedziała na jego pytanie, ale ekranik jego komórki zapełnił się krótkimi zdaniem:

Pamiętasz nasze pocałunki,
nasze pieszczoty?

Pamiętasz, jak trzymałeś rękę
na moich piersiach?

Pamiętasz, jak całowałeś
moje piersi?

Pamiętasz, jak byłeś we mnie?

Pamiętasz, jak trzymałam
cię za głowę, a ty językiem...

Nagle poczuł, że to za wiele. Przestał czytać i rzucił telefonem w ścianę.

*

Zmierzał w górę Market Street i szybkim krokiem przeszedł przez Geary Street. Wypadł na Grant Avenue i pobiegł do Café des Anges. Był pewien, że ją tam znajdzie.

Przy wejściu do dzielnicy chińskiej, kilka ulic od konsulatu francuskiego, ta mała knajpka była francuskim miejscem w sercu San Francisco. Mimo że nie sprzedawano tu papierosów, neon oznajmiał „Bar-tabac”, bo fasada była dokładną kopią fasad bistrów paryskich z lat pięćdziesiątych.

Martin pchnął drzwi.

To było miejsce ich pierwszych randek.

Za każdym razem urok działał: obrusy w kratkę, cynowy bar i drewniane krzesła powodowały, że człowiek czuł się jak w starym francuskim filmie. Patrząc na klientów, czekało się podświadomie na Lino Venture czy Bernarda Bliera, chciało się słyszeć dialog w stylu Audiarda.

Na czarnej tablicy wypisano klasyczne francuskie menu: jajko w majonezie, śledź w oleju z ziemniakami, sałatka z gotowanych porów w winegrecie, cielęcina w białym sosie, duszona wołowina w sosie winnym, także kogut, flaki w sosie pomidorowym...

Za ladą wisiał kalendarz pocztowy i stare widokówki z Tour de France wychwalające wyczyny Anquetila i Poulidora. Obok stał stół do gry w piłkarzyki firmy Garlando ze zniszczonymi sylwetkami graczy, przedmiot również z zamierzchłej epoki. Nawet muzyka pasowała do atmosfery lat pięćdziesiątych: zmiksowane piosenki Edith Piaf, Renaud ze swoimi *p'tits bals du samedi soir*, Zaza Fournier i *son homme*...

Martin zagadnął kelnera i znalazł Gabrielle przy najbardziej romantycznym stoliku w lokalu oddzielonym od reszty beczką, na której udrapowano gałęzie winorośli.

– Chcesz się w to bawić, proszę bardzo! – rzucił, siadając naprzeciwko niej.

– Zamówić ci na przystawkę pasztet wieprzowy?

– W jaki sposób dostałaś ten stolik?

– Zrobiłam to, co zrobiłeś ty pierwszego wieczoru: dałam ła-pówkę kelnerowi.

– Czego chcesz?

– Chcę go odnaleźć... – powiedziała Gabrielle, zamykając ja-dłospis.

– Kogo?

– Martina, którego znałam, tego, w którym się zakochałam.

– Nie możesz wskrzesić przeszłości.

– A ty nie masz prawa jej niszczyć!

– Nie chcę niczego zniszczyć, chcę zrozumieć! Chcę zrozu-mieć, dlaczego nie zjawiał się na naszym spotkaniu.

Martin zaczął mówić tak jak ona lekko podniesionym głosem. Następne zdanie Gabrielle wypowiedziała ciszej:

– Czy nie wolisz raczej spojrzeć w przyszłość?

Martin odwrócił wzrok.

– Często się mówi, że szczęście nie przychodzi dwa razy – ciągnęła Gabrielle. – A tymczasem my mamy drugą szansę! Nie psujmy tego, Martin, jesteśmy jeszcze młodzi... No, może już nie aż tak bardzo, ale wciąż mamy więcej czasu przed sobą niż za sobą... Jednak niewiele więcej. Żeby mieć dzieci, musielibyśmy zabrać się od razu do...

Zaczerwieniła się po uszy sparaliżowana bezceremonialnością tego stwierdzenia, które chyba w ogóle nie poruszyło Martina, ale nie straciła pewności siebie.

– Trzydzieści lat temu nie byłam gotowa. Nie dojrzałam do tej sytuacji, byłam słaba, wątpiłam we wszystko. Ty też nie byłeś wówczas gotów, mimo że teraz twierdzisz, jakoby było inaczej...

Martin popatrzył na nią z powątpiewaniem.

– Dziś jestem gotowa. Miłość jest jak tlen, jeśli zbyt długo go brak, dusisz się. Tak bardzo mnie kochałeś przez kilka miesięcy, że potem żyłam z tej rezerwy przez całe lata. Dzięki temu udało mi się stawić czoło wielu problemom, ale te rezerwy się kończą, Martinie.

Gabrielle potarła ręką szyję, tuż pod włosami, jakby chcąc dodać sobie odwagi, ponieważ, jak zwykle, czuła się taka samotna.

– Skrzywdziłam cię, wiem... Wybacz mi, Martinie! – powiedziała w końcu.

– To nie wyrządzona krzywda jest tu problemem – odezwał się wreszcie młody człowiek. – Krzywda boli, ale nie niszczy. Problemem jest osamotnienie, do którego prowadzi krzywda. To osamotnienie powoli cię zabija, odcina od reszty ludzi. I budzi w tobie najgorsze emocje.

Gabrielle nie zamierzała się poddać.

– Miłość jest zawsze ryzykowna, Martin! Kochać to znaczy mieć nadzieję na wygraną, stawiając wszystko na jedną szalę. I czasem trzeba zaakceptować, że się jest mniej kochanym, niż samemu się kocha.

– No więc widzisz... – Martin wstał od stolika. – Ja nie jestem gotów, żeby to zaakceptować.

*

Martin wrócił do bazy w hotelu i przez resztę popołudnia pracował nad planami Garden Court. Potem czekało go zebranie w szefem grupy strażników zaangażowanych przez Lloyd's Brothers i z kilku przybyłymi na miejsce aukcji agentami FBI.

Słońce stało nisko nad horyzontem, kiedy Martin zredagował memorandum dla panny Ho: była to lista środków, jakie trzeba było przedsięwziąć dla większej ochrony brylantu. Spróbował zadzwonić do Koreanki, ale żaden numer nie odpowiadał. Wysłał jej e-mail i SMS, po czym zszedł do sali wystawowej.

W Garden Court wrzało. Od kilku dni sprzedaż brylantu była tematem pierwszych stron gazet i media postanowiły uczynić z niego podstawową atrakcję turystyczną ferii świątecznych. Taki napływ publiczności niepokoił Martina, gdyż powodował, że jego rola się komplikowała.

Wmieszany w tłum na chwilę zamknął oczy, żeby się bardziej skoncentrować. Musiał wślizgnąć się w umysł Archibalda. Jak ja bym to zrobił, gdybym był nim? – zaczął się zastanawiać.

Tego popołudnia myślał o tym bez przerwy, jego mózg niczym komputer analizował setki danych. Teraz, gdy zapadł wieczór, dane te krążyły mu po głowie, wskakując powoli na swoje miejsca, jak części układanki.

Jak ukradłbym brylant, gdybym był Archibaldem?

Oczami wyobraźni ujrzał szklany dach, wszystkie wyjścia, gęsty tłum odwiedzających, regularne zmiany warty strażników...

Jak ukradłbym ten kamień, gdybym był Archibaldem?

I nagle zrozumiał: gdyby był Archibaldem, nie starałby się ukraść „Klucza do raju”! Gdyż to było zbyt łatwe. To była wyreżyserowana zasadzka.

Martin nagle uświadomił sobie, że jest zaledwie pionkiem na szachownicy i że partia rozgrywa się poza nim.

Ani Lloyd's Brothers, ani panna Ho nie zamierzali chronić brylantu.

Wprost przeciwnie, chcieli wciągnąć Archibalda w zasadzkę.

Ta nagła aukcja, zorganizowana w ostatniej chwili, i rozgłos medialny jej nadany były tylko podstępem mającym nakłonić Archibalda, aby wszedł do paszczy lwa.

Wystawiony brylant na pewno nie był prawdziwy...

20.

Two lovers

*Ojciec dał mi serce, ale pani spowodowała,
że zaczęło bić.*

HONORÉ BALZAC

Kiedy Martin dotarł do Sausalito, ostatnie promienie słońca odbijały się w Pacyfiku, zabarwiając na chwilę niebo i taflę oceanu na purpurowo.

Znalazł miejsce na parkingu pływającej wioski, tam gdzie mieszkała Gabrielle. Ta mieszanka różnorodnych kolorowych domów na palach i łódek stanowiła jedno z dziwniejszych miejsc w Kalifornii. Miasto z boathouse'ami stało się jednym z symboli kontrkultury lat sześćdziesiątych, kiedy grupa hipisów i życiowych outsiderów zawładnęła tym zakątkiem i zagospodarowała go na swój sposób, przerabiając stare łodzie i barki i stawiając domy na palach.

Dziś miejsce straciło swój marginalny charakter. Skonstruowane naprędce domki zostały przebudowane przez modnych architektów i kosztowały miliony. Hipisowskie zniszczone jeepy i minivany

Volkswagena zajęły wielkie drogie terenówki z napędem na cztery koła i odkryte porsche.

Martin minął ukwiecone nabrzeża obsadzone krzewami i ławki z malowanego drewna. Wiele domów na wodzie miało ogromne okna, przez które widać było, co robią w środku ich mieszkańcy. Jakaś starsza para piła aperitif na tarasie, rozważając przyszłość świata, jakieś dziecko schylone nad zeszytami odrabiało lekcje, jakaś nastolatka, sama w pokoju, tańczyła jak Britney Spears, młodzi małżonkowie kłócili się: „Znów poszedłeś do tej swojej dziwki? – Po pierwsze, Rita nie jest żadną dziwką... – Więc byłeś u niej!”.

Ludzie... życie...

Martin rozpoznał dom Gabrielle dzięki cennie zacumowanej przy małej drewnianej przystani na pontonach, którą dzieliły ze sobą dwa domki stojące obok. Poszedł w kierunku werandy.

– Wejdz, otwarte! – usłyszał przez okno głos Gabrielle.

Pchnął drzwi i znalazł się w salonie. Pomieszczenie było pełne uroku i bardzo przytulne. Duży bukiet kolorowych storczyków rozweselał pokój wyłożony boazerią, a wielkie półokrągłe okno wpuszczało wieczorne światło.

– Przyszedłeś zawrzeć pokój? – spytała Gabrielle.

– W pewnym sensie.

– A więc witaj.

Martin wręczył jej wino. Spojrzała na butelkę i wykrzyknęła:

– Château-margaux rocznik sześćdziesiąty pierwszy! Zwariowałeś czy co?

– Znalazłem go w ukrytej piwniczce w Palace Hotel.

– Jak to „znalazłeś”?

– Ukradłem – sprecyzował.

– Jesteś taki sam jak on!

Martin udał, że nie usłyszał tej uwagi.

– Zdaje się, że to był wyjątkowy rocznik – powiedział, ale Gabrielle nie chciała dyskutować na ten temat.

– Daj mi to, schowam do spiżarki i przy okazji odniosę do hotelu.

Znikła na kilka minut. Martin udawał obrażonego.

– Jeśli tak, to już nigdy ci nic nie dam.

– Jak udało ci się w ogóle wejść do ich piwnicy? – spytała Gabrielle, wracając do salonu.

– Mam plan hotelu.

– Ale nie zostawiłeś żadnych śladów?

– Nie, nauczyłem się tego w dobrej szkole...

Gabrielle poprosiła go, żeby usiadł, lecz Martin wolał stać.

– Pomóż mi coś wybrać! – poprosiła, prowadząc go do półki z płytami.

Ominęła jaskraworóżowego iPoda stojącego na kolumnach i zachęciła Martina, żeby pogrzebał w starych winylach jej matki.

Martin wciągnął się w tę zabawę i na kilka minut połączyło ich dawne porozumienie. Przerzucali płyty i rozmawiali na temat albumów mitycznych artystów kupionych dawno temu przez Valentine: Janis Joplin, Beatlesi, Pink Floydzi, David Bowie, Joni Mitchell...

W końcu oboje wybrali longplay Boba Dylana z *Lay Lady Lay*.

Kiedy Martin nastawiał płytę, Gabrielle zauważyła:

– Miałaś szczęście, że byłaś w domu. Zwykle o tej porze pracuję.

– Co się stało, że wróciłaś wcześniej z pracy?

– Miałam coś do zrobienia...

– Co? – spytał i wstał.

– To! – powiedziała Gabrielle i pocałowała go.

*

Ich oddechy łączą się w jeden, wargi dotykają warg, języki szukają się wzajemnie.

Gabrielle głaszcze twarz Martina. Martin pieści szyję Gabrielle.

Gabrielle ściąga Martinowi marynarkę. Martin rozpina dzinsy Gabrielle.

Gabrielle ściąga Martinowi koszulę, która opada na podłogę. Martin zdejmuje sweter Gabrielle, dotyka językiem jej ramion, czuje smak jej skóry.

Gabrielle zauważa tatuaż, którego przedtem Martin nie miał. On rozpoznaje jej zapach i porównuje go z zapachem ze wspomnień.

Czas znika, przeszłość miesza się z terażniejszością.

I powraca strach.

Strach.

Strach wrośnięty w ciało, przyczajony w cieniu umysłu.

Strach, który się rozmnaża.

Strach bez granic.

Tylko miłość może go zwyciężyć.

Na początku strach ogarnia wszystko.

Na początku strach budzi chęć do ucieczki.

Mimo to ręce ich łączą się i ciała również.

Gabrielle wczepia się w Martina jak tonący w deski tratwy.

On znajduje siłę, by przyłgnąć do niej.

Jej udaje się splątać z nim.

Jego spojrzenie szuka jej oczu. Przyciąga ją do siebie, patrzy na nią przy blasku świateł padających od strony portu: ciało Gabrielle błyszczy w nocy i oświetla jej twarz. Gabrielle uśmiecha się, chce błyszczeć dla niego. Przesuwa rękę po jego włosach. On dotyka językiem jej piersi.

Oczywiście pocałunek może być tylko zwykłym kontaktem fizycznym, wymianą płynów ustrojowych, dotykiem...

Ale jednak...

Jednak ich ciała przechodzi dreszcz i strach odpływa.

*

Zawinięty w prześcieradło i koc Martin wyszedł pierwszy na taras. W tym mieście tak różnym od innych miast noc była przyjemna. Nie wiał wiatr od oceanu, panował mikroklimat, dzięki któremu zimowy wieczór upodobił się do wiosennego zmierzchu.

Martin rozejrzał się dokoła. Z werandy widać było ocean. Na drugim brzegu jakiś staruszek usiadł z wędką i przenośnym radiem. Słuchając uwertury do *Traviaty*, bawił się z mewami, których urywane krzyki dołączały się do opery.

Martin usłyszał odgłos uderzanego szkła i ocknął się z zamyślenia.

Z kraciastym pledem narzuconym na ramiona Gabrielle podeszła do niego na palcach, trzymając w dłoniach dwa puste kieliszki. Pocałowała go, położyła głowę na jego ramieniu i odezwała się z szelmowskim uśmiechem:

– Może otworzymy butelkę wina?

Martin chętnie na to przystał.

– Zaczekaj, przyniosę! – powiedział.

Gabrielle została sama na werandzie. Nagle poczuła gęsią skórę i po policzku spłynęła jej łza.

Ta łza to był koncentrat wdzięczności.

Wdzięczności dla życia za szczęście, za tę karmę, za przypadek, za opatrność, tego wielkiego architekta rządzącego naszym przeznaczeniem, wdzięczności wobec Boga, jeśli istniał... Wszystko jedno! Martin wrócił do niej. Tym razem wiedziała, że na zawsze. Przez dziwną alchemię zgoda ich ciał doprowadziła do zgody dusz. Teraz byli oboje gotowi nie na to, żeby zacząć od zera, ale żeby kontynuować miłość, która trwała w uśpieniu przez prawie trzydzieści lat. Martin miał rację, kiedy mówił, że nie można poważnie planować przyszłości, odrzucając przeszłość.

Nie byli już podróżnikami bez bagażu. Dawno skończyli dwadzieścia lat. Oboje wiele przeżyli, cierpieli z dala od siebie i zagubili się.

Próbowali kochać inne osoby...

Ale to wszystko się skończyło.

Od teraz ona będzie mu wszystko mówić, wszystko wyjaśni, a

przede wszystkim opowie mu, dlaczego tak naprawdę nie przyjechała na spotkanie do Nowego Jorku.

Opowie mu o swoich kochankach, o tym przeświadczeniu, które ją prześladowało od okresu dorastania, że stała się rodzajem przyjęty, zaliczką w grze, w której nie chciała brać udziału i w której zawsze przegrywała. Przez długi okres w swoich stosunkach z mężczyznami mówiła „nie”, potem równie często mówiła „tak”. Jeśli brakuje ci pewności siebie i mówisz komuś „tak”, może to oznaczać jeszcze bardziej „nie” niż „nie”. Wiedziała, że Martin to zrozumie.

Gdy byli razem, znikł gdzieś jej ochronny pancerz i jego pancerz również znikł.

Teraz nie będą już go potrzebować, mają miłość.

Teraz nic już nie zakłóci ich szczęścia.

Chyba że...

– Dobry wieczór, Gabrielle.

*

Podskoczyła przestraszona.

W świetle małej lampy w kształcie płomienia odbijała się twarz Archibalda.

- Co ty tu robisz?
- Przyszedłem skończyć naszą rozmowę.
- Nie dziś wieczorem, proszę cię.
- Teraz albo nigdy.
- Dlaczego?
- Zaraz ci wyjaśnię.

– Nie, proszę cię, wyjdź! – odepchnęła go Gabrielle. – Martin jest u mnie.

– Widziałem! – powiedział Archibald, siadając na kanapie.

Gabrielle, spanikowana, zaczęła prosić ojca:

– Proszę cię, nie psuj mi tego wieczoru!

– To ty masz karty w ręku, Gabrielle. Jeśli on chce mnie zatrzymać, tym razem nie będę się opierał. Wybierz, co chcesz: porozmawiać z ojcem ostatni raz czy na zawsze wysłać go za kratki.

– Ale gdzie mamy porozmawiać?

– Mam pewien pomysł... – Archibald wskazał palcem mały hydroplan.

– Dlaczego stawiasz mnie przed takim wyborem? Dlaczego mam wybierać między Martinem a tobą?

– Bo życie oznacza wybory, Gabrielle. Zresztą ty chyba akurat to wiesz.

Przez chwilę Gabrielle stała bez ruchu przestraszona prośbą Archibalda. Potem wbiegła do domu i zeszła szybko do spiżarki.

– Znalazłem wino! – wykrzyknął Martin, słysząc jej kroki.

Zamykał specjalną chłodnię, w której stały butelki, kiedy w uchylonych drzwiach ujrzał twarz Gabrielle.

– Przepraszam cię, kochany...

– Co?

Zanim zrozumiał, co się dzieje, usłyszał klucz przekręcany w drzwiach.

– Wybacz mi... – powtórzyła Gabrielle złamanym głosem, idąc do Archibalda.

21.

A tak się kochaliśmy...

*Kochać kogoś znaczy pozbawić go duszy
i w ten sposób uświadomić mu, jak była ona
wielka, niewyczerpana i jak promienna.
Wszyscy cierpimy dlatego, że nie okrada się
nas wystarczająco. Cierpimy z powodu siły, j
aką mamy i jakiej nikt nie chce nam uświadomić.*

CHRISTIAN BOBIN

Osadzony na grubych pływakach okrągły hydroplan był podobny do wielkiego pelikana.

Archibald włożył okulary optyczne w cienkiej oprawce i usiadł za sterem cessny, podczas gdy Gabrielle, milcząc, dokonywała ostatniej kontroli przyrządów pokładowych. Archibald włączył silnik, pozwalając mu kręcić się na niskich obrotach, żeby rozruszać aparat i chronić śmigło przed nagłymi zrywami wiatru wiejącego nad taflą jeziora.

Nocne niebo było czyste, ale ostra bryza i fale powodowały, że manewrowanie hydroplanem było skomplikowane. Wiatr skręcał samolot w swoim kierunku. Archibald oddalił się na wszelki

wypadek od pontonowej przystani, szukając miejsca, w którym woda byłaby spokojniejsza. Zmrużył oczy, starając się ominąć kawałki drewna i inne przedmioty unoszące się na powierzchni wody, które mogłyby uszkodzić pływaki.

W miarę jak hydroplan nabierał szybkości, Archibald schował stateczniki i ster. Potem zaczął unosić dziób, podczas gdy pływaki uderzały jeszcze o fale.

Kiedy dodał gazu, samolot zmienił się w poduszkowiec muskający zaledwie powierzchnię wody. Łagodnie uniósł się w powietrze, przechodząc z wdziękiem z jednego żywiołu w drugi.

Następnie uniósł się, przeleciał nad centrum miasta i drapaczami chmur, nad Bay Bridge i nad Angel Island...

I skierował się na południe.

*

Bosy, tylko w kalesonach, Martin gotował się ze wściekłości. Spiżarnia nie miała okna i jedynym w niej otworem były metalowe drzwi, które Gabrielle zamknęła na klucz. Trzy razy walił w nie ramieniem, ale jedynym rezultatem był ból.

Znów go upokorzyła. Rozbroiła go, dosłownie rozebrała, spowodowała, że przestał się pilnować, i to wszystko po to, żeby go zdradzić, dosłownie kilka minut po tym, jak mu się oddała.

Nie rozumiał tego. Nigdy nie zrozumie.

Do cierpienia i strachu, jakie odczuwał, dołączyła się jeszcze dzika wściekłość.

Głęboko sfrustrowany chwycił butelkę bordeaux i rzucił nią w metalowe drzwi.

*

Cessna osiągnęła stałą prędkość. Minęła Carmel i leciała na południe zatoki Monterey nad malowniczą drogą biegnącą między lasem Los Patres i wpadającymi stromo do oceanu skałami Big Sur.

Milcząca Gabrielle pomagała ojcu w pilotowaniu hydroplanu. Archibald z przyjemnością leciał nad wijącą się kilkadziesiąt metrów niżej pełną zakrętów drogą ciągnącą się wzdłuż stromego, dzikiego, skalnego wybrzeża. Od czasu do czasu wzrok jego gubił się w bezkresnym oceanie. Wyobrażał sobie wówczas niewidoczne szare wieloryby, które w ciszy głębin przemieszczały się z Alaski aż do Meksyku, żeby rozmnożyć się w cieplejszych wodach. Gabrielle myślała o Martinie.

Tuż przed San Simeon Archibald zwolnił i zaczął schodzić do lądowania. Gabrielle wiedziała, że to ryzykowny manewr, ponieważ wiatr wciąż zmieniał kierunek.

Archibald podniósł subtelnym ruchem dziób hydroplanu, żeby podejść do lądowania u wejścia do małej zatoki. Noc była pełna gwiazd, księżyc świecił tak jasno, że cień hydroplanu odbijał się w wodzie jak w lustrze, utrudniając ocenę wysokości, na jakiej znajdowała się maszyna. Mimo to Archibald postawił ją na wodzie bardzo łagodnie.

Był to bardzo dobry złodziej, ale i bardzo dobry pilot...

*

Tafla wody w zatoczce była spokojna i błyszczała czarownymi światłami. Dostępna tylko od strony oceanu zatoka wyglądała na nietkniętą przez cywilizację.

– Było to ulubione miejsce twojej mamy – powiedział Archibald, kiedy cumowali.

Zirytowana, ale i ciekawa Gabrielle spytała:

– A mama? Jak ją poznałeś?

– W tamtych czasach byłem pilotem i przez jedno lato pracowałem dla niej, a właściwie dla organizacji humanitarnej, którą ona założyła, a która nazywała się Skrzydła Nadziei. Spotkałem ją podczas misji w Afryce.

Taflę oceanu zmarszczył lekki powiew wiatru, który łagodnie pieścił ich twarze.

– Czy zakochałeś się od razu?

– Ja zakochałem się od pierwszego wejrzenia – powiedział Archibald. – Ona... Ona potrzebowała na to ponad pięciu lat.

– Ponad pięciu lat!

– Przede mną twoja matka była zakochana w liderze dość znanej grupy rockandrollowej. To był okropny facet, długo przez niego cierpiała...

Spojrzenie Archibalda zaszło mgłą i wyobrażenia jego cofnęła się w lata siedemdziesiąte, w meandry wciąż bolesnych wspomnień.

– Ten facet dużo od niej brał, lecz nic jej nie dawał, a poza tym...

– Poza tym?... – powtórzyła Gabrielle, niecierpliwie czekając na zakończenie zdania.

– Dwa razy zmusił ją do usunięcia ciąży.

Zapadła długa cisza. Potem, nic nie mówiąc, oboje jednocześnie skoczyli do wody, a jeszcze później poszli w kierunku plaży.

Gdy przywiązywali hydroplan, żeby fala nie uniosła go w kierunku otwartego oceanu, Gabrielle znów zapytała ojca:

- Czy mama długo była z tym piosenkarzem?
- Chyba sześć lat. Z przerwami.
- Sześć lat!

Widząc pytające spojrzenie córki, Archibald ciągnął:

– Im bardziej ten facet ją dręczył, tym bardziej go kochała. Życie jest dziwne, prawda? Czasem człowiek jakby sam się karał za coś, czego dokładnie nie rozumie.

Zaczęli iść wzdłuż plaży. Miejsce było tak piękne, że zapierało dech w piersiach. Naturalna plaża w kształcie półksiężyca leżąca w zaciszu granitowych skał.

- A ty co wtedy robiłeś?
- Czekałem na nią. Czekałem, a ona ciągle dawała mi kosza.
- I nigdy nie straciłeś nadziei?
- Na początku nie. Potem już się pogodziłem z tym, że nigdy jej nie zdobędę.

Gabrielle wzruszyła szczerość ojca.

- Wtedy cierpiałeś?
- Tak, cierpiałem. To było nawet więcej niż cierpienie. To był rodzaj rozdarcia, męka, tortura.
- Ale jak mogłeś od pierwszego spojrzenia pokochać kobietę, której zupełnie nie znałeś?
- To trudno wytłumaczyć – zgodził się Archibald. – Wydawało mi się, że widzę w niej cechy niewidoczne dla innych, zalety,

których ona sama nie była świadoma. Dostrzegłem w niej od razu kobietę, którą ona stała się później.

- Tak się dzieje tylko w powieściach i w kinie, tato...
- Czasem tak zdarza się naprawdę – zapewnił ją ojciec.
- A jak wytłumaczysz to, że potrzebowała aż pięciu lat, żeby uświadomić sobie, że ty jesteś mężczyzną jej życia?

Archibald spojrział córce w oczy.

– Bo człowiek boi się silnych uczuć innych ludzi. Bo życie jest skomplikowane i często igra z nami, przysyłając nam dobrą osobę w złym momencie.

- A ty przed nią byłeś w kimś zakochany?
- Zanim poznałem twoją mamę, przez kilka lat byłem żonaty z pielęgniarką z Czerwonego Krzyża.

– I opuściłeś ją dla mamy?

– Opuściłem ją, bo zbyt dużo myślałem o twojej mamie, chociaż był to okres, kiedy ona w ogóle nie zwracała na mnie uwagi. Opuściłem ją, bo zdrada zaczyna się od myśli.

- I w końcu po pięciu latach mama powiedziała ci „tak” .
- Nie, oznajmiła mi wówczas, że ją wyleczyłem.
- Że ją wyleczyłeś?
- Tak i wierz mi, to jest warte wszystkich wyznań miłosnych na świecie.

*

Na końcu zatoki Archibald pokazał Gabrielle wodospad, który spadał prosto do oceanu. Na plaży rosły sekwoje, wierzby, eukaliptusy i figowce.

– W tej zatoczce pocałowaliśmy się po raz pierwszy i pierwszy raz byliśmy ze sobą. To pewne, że tutaj zostałam poczęta.

– Ach, oszczędź mi szczegółów!

Archibald wyjął z kieszeni koszuli cygaro.

– Korzystaj i oglądaj pejzaż, bo niedługo zniknie: właśnie budują trakt spacerowy, który połączy to miejsce z parkingiem Nid d'Aigle.

– Jakie to smutne... – zmartwiła się Gabrielle.

– Takie jest życie – Archibald pogłaskał delikatne i błyszczące cygaro.

– Chcesz powiedzieć, że nic nie trwa wiecznie?

– Tak. Wszystko niszczeje, wszystko mija, znika. Tylko chwila obecna się liczy.

Archibald uciął koniuszek cygara i zaciągnął się nim „na sucho”. Gabrielle nie ustępowała.

– Nie, niektóre rzeczy trwają, opierają się zniszczeniu.

– Tak? Jakie?

– Może miłość? – rzuciła pytająco.

– Miłość! Nie ma nic bardziej efemerycznego, bardziej niestalego. Miłość jest jak ogień w deszczowy dzień: cały czas musisz go podsycać, chronić i pilnować, bo zgaśnie...

– Nieraz miłość trwa długo.

– Nie. To ból po jej utracie trwa długo.

– Nie podoba mi się to, co mówisz.

– Jeśli boisz się pewnych odpowiedzi, nie zadawaj pewnych pytań.

Archibald zamilkł. Potarł jedną zapalną, potem drugą, żeby rozpaść koniuszek cygara.

– Ale przecież wciąż kochasz mamę!

– Tak – zgodził się.

– Tak długo, jak pamiętasz osobę, która cię kochała, i tak długo, jak ty wciąż ją kochasz, sprawiasz, że miłość trwa.

– Ludzie chcą w to wierzyć, ale mnie to nic nie mówi.

Gabrielle zamyśliła się. Straciła ochotę na dalszą rozmowę na ten temat. W milczeniu wpatrywała się w błyszczący w ciemnościach koniuszek cygara ojca. Wiatr był wciąż łagodny i fale uderzające o piasek tak samo słodko śpiewały.

– Chciałbym ci coś dać... – Archibald zaczął grzebać w kieszeniach swojej skórzanej torby, którą przewiesił sobie przez pierś.
– To jest list...

– List?

– Tak, list. Za pomocą takiego listu ludzie porozumiewali się, zanim wymyślono pocztę elektroniczną...

– Przecież wiem, co to jest list! Ja też dostaję listy, co ty myślisz...

– Ach, tak, od tego twojego Martina...

– Przestań!

– Krótko mówiąc, chciałem ci dać ten list, żebyś miała jakąś pamiątkę z tamtych czasów.

Archibald wręczył córce zniszczoną przez czas bładoniebieską kopertę.

– Ten list dostałem od twojej mamy na samym początku naszego związku. Chciała mi dać do zrozumienia, że pragnie mieć

ze mną dziecko. Miałem ten list zawsze przy sobie. Wolałbym, żebyś go przeczytała, kiedy będziesz sama.

Gabrielle udawała, że nie słyszy.

Usiadła na piasku i otworzyła kopertę.

*

Rozciągnięty na piasku, podparty łokciami, Archibald obserwował horyzont.

Obok niego siedziała Gabrielle. Właśnie skończyła czytać list. Czuła się, jakby spadł z niej jeden z przygniatających ją ciężarów. Płakała tymi samymi łzami, co poprzedniego dnia, łzami wdzięczności. Była wdzięczna losowi, że wreszcie mogła poznać swoich rodziców i że mogła ich pokochać.

Archibald popykał cygarem, rozkoszując się delikatnymi smakami, które drażniły jego podniebienie. Trzeba żyć chwilą obecną... Starac się przedłużyć jak tylko się da ten krótki czas, który mu jeszcze pozostał...

– Mam raka trzustki, Gabrielle.

Słowa jakby same mu się wymknęły, zbyt długo je hamował.

– Co?

Popatrzył z czułością na jej twarz zalaną łzami.

– To faza terminalna. Niedługo umrę.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Umrzesz?

– Za kilka tygodni. Najpóźniej za trzy miesiące.

– Jesteś tego pewien? Zrobiłeś wszystkie badania?

– Tak, sytuacja jest beznadziejna, kochanie.

Wstrząśnięta Gabrielle zakryła twarz rękami i spytała zduszonym głosem:

– Od jak dawna o tym wiesz? Teraz słowa uwięzły jej w gardle.

– Od kiedy mam pewność? Od dwóch dni...

Gabrielle wytarła oczy i wykrzyknęła ze złością:

– Więc dlaczego wróciłeś do mnie? Odnalazłam ojca zaledwie kilka godzin temu i już muszę się z nim rozstać? Dlaczego narażasz mnie na coś takiego?

– Bo chciałem, żebyś wiedziała, że cię nie zostawiłem. Przez te wszystkie lata byłem obok ciebie, w cieniu.

– Jak to w cieniu?

Żeby ją uspokoić, położył dłoń na jej ramieniu. I opowiedział, jak od prawie dwudziestu lat wciąż starał się z nią nawiązać kontakt, żeby poznała prawdę o przeszłości. Zwierzył się ze wstydu, jaki odczuwał, z poczucia winy, ze smutku, jaki wywoływała w nim własna niemoc. Opowiedział również o wszystkich sztuczках, jakich się chwycił, żeby incognito spędzić z nią rokrocznie dzień 23 grudnia.

Zakłopotana Gabrielle przypominała sobie powoli to wszystko. Spotkania, które ją naznaczyły w jakiś sposób, mimo że nie zdawała sobie z tego sprawy, i które obecnie zaczynały wyglądać zupełnie inaczej.

Ten akwizytor sprzętu komputerowego, który za półdarmo zostawił jej ostatni model najlepszego laptopa dokładnie wtedy, gdy jej własny laptop się zepsuł.

To był on!

Ten kłown filozof, którego spektakl uliczny tak ją wzruszył, bo miała wrażenie, że zwracał się specjalnie do niej.

To był on!

Ten ogrodnik, który przycinał róże w Japanese Tea Garden i który rozśmieszył ją do łez, jakby odgadując, że tamtego dnia wszystko jej szło nie tak...

Znów on!

Tyle ukradkowych spotkań, których teraz tak żałowała... Gdyby wiedziała...

Żał jednak mieszał się z uczuciem irytacji, kiedy Archibald wspomniiał o detektywie, którego zatrudniiał od lat i który wszędzie za nią chodził.

– Jak śmiałeś tak ingerować w moje życie bez mojego pozwolenia? – spytała oburzona.

– Chciałem ci pomóc... – usprawiedliwił się Archibald.

– Pomóc?

– Nie jesteś szczęśliwa, Gabrielle.

– Co ty o tym możesz wiedzieć?

Otworzył stojącą obok skórzaną torbę i wyjął kilka „dowodów rzeczowych”: fotokopię pamiętnika córki, zdjęcia z wieczorów za każdym razem kończonych w towarzystwie innego mężczyzny. Na temat niektórych Archibald zebrał informacje: byli to faceci o złych charakterach, egocentrycy, czasem brutalni, czasem okrutni do tego stopnia, że jednym z nich musiał on sam się „zająć”.

– Dlaczego tak postępujesz, kochanie?

Popatrzyła na niego pełnymi od łez oczami. Była zawstydzona, że musi się usprawiedliwiać przed własnym ojcem z czegoś, czego sama właściwie nie rozumiała.

– No widzisz, sam to mówiłeś przed chwilą: czasem chcesz się ukarać, choć sam nie wiesz za co...

*

Gabrielle milczała, a Archibald zagłębił się we wspomnieniach.

Myślał o pierwszej wiosennej nocy, którą spędził tutaj z Valentine, byli sami na świecie pośród irysów i maków.

Teraz, o zmierzchu swego życia, mógł z czystym sumieniem stwierdzić, że nie znał nic silniejszego od tego uczucia, które ci mówi, że stanowisz jedno z kimś drugim. Od tego rzadko spotykanego uczucia, że już nie jesteś sam.

Popatrzył na córkę i spytał ją prosto z mostu:

– Ten Martin... Naprawdę go kochasz?

Zawahała się i po chwili odrzekła:

– Tak, kocham go od dawna. On jest zupełnie inny.

– A on cię kocha?

– Myślę, że tak, ale po tym, co zrobiłeś, będzie mi go trudno odzyskać...

– Ja niczego nie zrobiłem – odpowiedział Archibald, uśmiechając się kącikiem ust. – To ty zamknęłaś go nagusieńkiego w spiżarni! To mu się na pewno nie spodobało. Będziesz musiała odpokutować, żeby ci wybaczył!

– Wygląda, jakby ci to sprawiało przyjemność!

Archibald wzruszył ramionami i pyknął cygarem.

– Jeśli on cię naprawdę kocha, wróci do ciebie. To nawet mu dobrze zrobi, kiedy zobaczy, że nic nie jest mu z góry dane. Ja starałem się przez pięć lat, żeby zdobyć twoją mamę!

- Ale on czeka na mnie już trzynaście lat!
 - Czekać to nie znaczy starać się! – uciął Archibald.
- Gabrielle potrząsnęła głową. Archibald zaczął ją wypytywać:
- Dlaczego tak długo zwlekałaś? Kochasz go?
- Gabrielle oznajmiła ojcu to, co było dla niej rzeczą oczywistą.
- Zwlekałam, bo się bałam.
 - Czego?
 - Wszystkiego.
 - Wszystkiego?
 - Bałam się, że się nie sprawdzę, że nie będę umiała go kochać, że obudzę się któregoś ranka i stwierdzę, że już go nie kocham, bałam się, że nie będę mogła dać mu dzieci, których on tak pragnie...

Archibalda ogarnęło niezadowolenie. Słowa córki zbyt przypominały mu słowa Valentine. Nie lubił ich słuchać, bo dla niego nic nie znaczyły.

- A tobie Martin się podoba? – odważyła się spytać Gabrielle.
 - Pomijając to, że chciał mnie dwa razy zastrzelić?
 - Tak – uśmiechnęła się.
- Archibald się skrzywił.
- No, nie wiem, czy on będzie umiał...
 - Co?
 - Czy będzie umiał cię ochronić.
 - Ale ja nie jestem dzieckiem! – zdenerwowała się Gabrielle.
- Nie potrzebuję, żeby mnie jakiś mężczyzna chronił...

- Głupstwa! Kobieta tego potrzebuje...
 - Przestań pleść, nie bądź taki staroświecki! – przerwała mu Gabrielle. – A zresztą Martin jest silniejszy, niż ci się wydaje.
 - Akurat! Nie umiał cię ochronić nawet przede mną! Nawet tobie udało się go zamknąć goluteńskiego w spizarni!
 - Myślisz, że jestem z tego dumna?
- Ale Archibald ani myślał skończyć z zarzutami.
- Uważam, że jest zbyt miękki, zbyt wrażliwy, zbyt uczuciowy...
 - Ty też byłeś uczuciowy, kiedy miałeś jego lata – zauważyła Gabrielle.
 - Właśnie. Uczucia spowodowały, że straciłem zimną krew, nie potrafiłem właściwie ocenić sytuacji. Sprawily, że nie umiałem ochronić twojej matki...
 - Co chcesz przez to powiedzieć?
 - Nigdy nie powinienem zawozić jej do tego szpitala! Nie wolno mi było strzelić do tego lekarza! W ten sposób zniszczyłem swoje życie i twoje... Nigdy nie powinienem...
- Głos mu zadrżał i szloch nie pozwolił mówić dalej. Nagle zerwał się chłodny wiatr, którego powiew głucho zaszeleścił gałęziami drzew.

I po raz pierwszy od trzydziestu trzech lat ojciec i córka przytulili się do siebie.

22.

List Valentine

*Nasze życie nie jest jedną z prób kochania.
Jest jedyną próbą.*

PASCAL QUIGNARD

San Francisco, 13 kwietnia 1973

*Archie, moja miłości,
Najpierw noc,
Najpierw najgorsze.
Wszystko to, co nas krzywdzi,
To, co nas zabija,
Nasze strachy, duchy naszej przeszłości...*

Wszystkie są tutaj. Patrzymy im prosto w twarz. Twoja pierwsza miłość. Moja pierwsza miłość. Zawrót głowy nad przepaścią. Piosenkarz uwodziciel, który zniszczył moje ciało i moje serce, a za którym poszłabym do piekła, Twoja pierwsza żona: ten jasnowłosy anioł, który tak Cię wzruszył swoją dobrocią.

Ważne jest, żeby móc spojrzeć tym duchom w twarz i nie ulec

ich władzy, ważne jest, żeby wiedzieć, że one nie porzucą nas tak łatwo, że przyjdzie dzień, w którym piosenkarz zadzwoni do mnie i powie, że wciąż o mnie myśli i że tym razem naprawdę jest wolny, że napisał dla mnie piosenkę, żeby wyznać mi miłość, i że jeśli, widząc mnie ostatnim razem, uderzył mnie w twarz i nazwał kurwą, to nie był on, a zresztą zrobił to, bo mnie kocha...

Może przez kilka sekund będę mu wierzyć...

Może przyjdzie też dzień, kiedy Ty spotkasz znów na swojej drodze jasnowłosą pielęgniarkę? I kiedy przypomnisz sobie, że zdarzały się przecież piękne poranki, i przez kilka sekund znów będziesz miał ochotę chronić tę, która Cię kochała, bo byłeś „inny niż wszyscy”...

Ważne jest również, by wiedzieć, że trudno nagle utracić urok osobisty. Zawsze znajdują się mężczyźni, którzy będą szukali mojego spojrzenia, a także kobiety, których słabość Ciebie wzruszy.

Oto więc wszystkie groźby, które nad nami wiszą: te minione i te przyszłe; duchy, pozorne atrakcje i łatwe zdobycze nie wytrzymują próby czasu, ale choć ich obraz słabnie, walczą, łączą się i zawisają nad nami jak groźna mgła. Nagle ziemia drży, piorun uderza w drzwi i okna, wpuszczając do środka wiatr. Jego podmuch jest tak silny, że wypycha groźną mgłę, ale nas – nas tylko łagodnie pieści.

Potem wiatr opada, i oto jesteśmy sami we dwoje w naszym małym mieszkanku na wodzie. Promienie słoneczne zalewają parkiet. Trzymamy się za ręce. Uśmiechamy do siebie. Strach spadł na nas, ale nas nie dosięgł.

W lustrze widzimy własne odbicia: para młodych ludzi mających życie przed sobą.

Najpiękniejsze jeszcze przed nami. Najpiękniejsze są nadchodzące lata, dziesiątki lat, które na nas czekają.

Jesteśmy młodzi, ale wystarczająco doświadczeni, żeby znać cenę szczęścia.

Jesteśmy młodzi, ale wiemy już, że w wielkiej grze życia najniezszczęśliwszy jest ten, który nie zaryzykował, by być szczęśliwym.

Nie chcę nim być.

Dawniej, żeby zatrzymać swoich mężczyzn przy sobie, kobiety przyjmowały od nich obrączkę i rodziły im dzieci.

Dziś to już nie działa.

Jaki mamy sposób na zatrzymanie przy sobie ukochanego?

Nie wiem.

Jedno, co mogę Ci obiecać, to, że zawsze będę przy Tobie, niezależnie od tego, co się wydarzy.

W radości i w bólu.

W bogactwie i w biedzie.

Tak długo, jak mnie będziesz chciał.

Będę z Tobą.

Uśmiecham się do Ciebie, a Ty uśmiechasz się do mnie. Wszędzie jest jasno. Co za piękne światło...

W naszym domu mamy magiczne okno, okno, przez które czasem można zobaczyć przyszłość.

Najpierw nie chcemy przez nie wyjść. Tak nam dobrze tu i teraz. Czujemy się bezpiecznie, wtuleni jedno w drugie, z wargami złączonymi w pocałunku.

Dlaczego ryzykować i chcieć poznać przyszłość?

– Chodź, Archie, popatrzmy!

Trzymając się za ręce, podchodzimy do magicznego okna i wyglądamy przez nie.

Widzimy siebie oboje w szpitalnym pokoju.

To jest szpital, ale my nie jesteśmy chorzy. Pokój jest przytulny, łagodnie oświetlony i pełen kwiatów. Stoi w nim kołyska, a w kołysce leży noworodek.

Błyszczącym wzrokiem patrzymy na siebie. To jest nasze dziecko.

Dziewczynka. Otwiera oczka. Ona też na nas patrzy i nagle nasza trójka tworzy jedność.

Jesteśmy rodziną.

Archie, kochany mój, kiedy jesteś ze mną, niczego się nie boję.

Archie, najdroższy,

Kocham Cię.

Valentine

23.

Halfway to hell*

* W połowie drogi do piekła.

*Przeznaczenie czai się zawsze za rogiem.
Niczym chuligan, kurwa czy sprzedawca
biletów na loterię, zresztą są to ulubione
role przeznaczenia. Ale przeznaczenie
nie nagabuje nas w domu. Musimy wyjść
na jego spotkanie.*

CARLOS RUIZ ZAFÓN

24 grudnia, 05.00

Dzień jeszcze nie wstał, kiedy Gabrielle wróciła do domu w środku pływającej wioski w Sausalito. Ze wszystkich sił pragnęła, żeby okazało się, że Martin na nią czeka i że będą mogli spokojnie porozmawiać. Nie chciała już walczyć, pragnęła wzajemnego zaufania i zrozumienia. Za wszelką cenę musi wytłumaczyć mu swoje zachowanie, otworzyć się przed nim i zwierzyć z tego, czego dowiedziała się od Archibalda.

Drzwi od spiżarni zostały wyłamane. Na podłodze wałało się potłuczone szkło, na ścianach widniały plamy z wina, a szafa

chłodząca na wino wraz z butelkami leżała wywrócona na podłodze. Gabrielle domyśliła się, że Martin posłużył się nią, żeby wyłamać drzwi.

Udało mu się wyjść ze spiżarni i oczywiście nie czekał na jej powrót.

Bez specjalnej nadziei zadzwoniła do jego hotelu oraz zostawiła kilka wiadomości na jego komórce. Potem wsiadła do samochodu i zaczęła objeżdżać miejsca, do których kiedyś wspólnie chodzili.

Tym razem nie znalazła Martina.

Człowiek zawsze myśli, że niektóre związki są tak silne, że mogą oprzeć się wszystkiemu, ale to nieprawda. Brak zaufania, znużenie, złe wybory, miraż flirtoń, uwodzicielskie głosy kretyńców, długie nogi idiotek, niesprawiedliwość losu – wszystko to zabija miłość. W tej nierównej walce szanse na zwycięstwo są słabe i są bardziej wyjątkiem niż regułą.

Dojechawszy do małej plaży obok przystani jachtowej, Gabrielle usiadła na piasku i popatrzyła na horyzont. Była zmęczona. Wysznięte oczy piekły ją i paliły. Wciąż ten sam ból, ta sama samotność, ten sam płaszcz zarzucony na ramiona.

Niektórzy mówią, że wielką miłość poznaje się po tym, że jedyną osobą, która mogłaby was pocieszyć, jest ten człowiek, przez którego cierpicie. Jej wielką miłością musiał być Martin.

A teraz go straciła.

*

06.00

Na Alamo Square, w małym publicznym ogrodzie eleganckiej dzielnicy Western Addition powoli wstawał dzień. Ogród znajdował się na wzniesieniu i był z niego przepiękny widok na Bay Bridge i na kopułę ratusza.

Wokół ogrodu stał szereg reprezentacyjnych wiktoriańskich domów. Były to słynne Painted Ladies nazwane tak z powodu ich pastelowych kolorów: lawendowego błękitu, wodnej zieleni, słomianej żółci...

Archibald doskonale znał te typowe dla San Francisco rezydencje, ale nigdy nie przypuszczał, że kiedyś będzie się wkradał do jednej z nich.

Dom należał do Stephen'a Browninga, największego akcjonariusza grupy Kurtline, która wystawiała brylant na sprzedaż. Po wejściu do środka Archibald łatwo wyłączył alarm i system ochrony wideo i skierował się do ukrytych schodów. O kradzieży „Klucza do rajy” przemyślał już od wielu lat, ale zawsze opierał się tej pokusie. Myśl, że uczyni to dziś, właściwie po amatorsku i w stromodny sposób, podczas gdy dziesiątki frajerów czekało, że wpadnie w ich prymitywną pułapkę, sprawiała mu wyjątkową przyjemność. Znalazł się w szerokim pełnym zakrętów korytarzu, który doprowadził go do zabezpieczonego pomieszczenia: oto *panic room*! Najmodniejsza obecnie fantasmagoria bogatych ludzi: urządźć w domu absolutnie bezpieczny azyl, żeby mieć się gdzie schronić w razie ataku z zewnątrz.

Wzmocnione zawiasy, opancerzone drzwi – stalowe

pomieszczenie wyglądało jak schron przeciwatomowy. Korzystając z zapotrzebowania na podobne urządzenia w latach prezydentury Busha, firmy architektoniczne obiecywały bogatym ludziom zbudowanie niemożliwej do zdobycia cytadeli. Mimo że Archibald wiedział, iż kombinacja szyfrowa nie oprze się dłużej niż parę sekund jego elektronicznemu kluczowi, dziś nie miał zamiaru się spieszyć. Chciał, aby przyjemność trwała jak najdłużej. To był przecież jego ostatni napad, wykona go po staremu. Postawił na ziemi skrzynkę z narzędziami i wyjął cały arsenał przyrządów oraz stary odbiornik radiowy K7. Przy dźwiękach *Sonaty na wiolonczelę* Bacha zabrał się do roboty, tak jak w dawnych dobrych czasach.

*

Drzwi metalicznie szczęknęły i puściły.

Zabłyły neony, wypełniając pomieszczenie jaskrawym światłem.

Archibald zmarszczył brwi. Pośrodku pomieszczenia zobaczył zwróconą do siebie plecami, związaną i zakneblowaną parę. Mężczyzna miał na sobie rozchylony szlafrok ukazujący jego obwisły brzuch, a kobieta, seksowna jak bohaterka japońskiego komiksu, jedwabną bieliznę z turkusowej koronki. Był to stary Stephen Browning i piękna panna Ho.

– Tego pan szuka?

Archibald podskoczył i odwrócił się gwałtownie.

Oparty o ścianę korytarza Martin bawił się brylantem. „Klucz do rajów” mienił się niczym kamień księżycowy.

Na twarzy Archibalda ukazał się najpierw wyraz niedowierzania i złości, który stopniowo zmienił się w podziw.

Trzydzieści lat zajmował się kradzieżą i nie zdarzyło się jeszcze, żeby ktoś go w ten sposób ubiegł. Jednak nie był zaskoczony. W końcu to on sam sprowokował ten pojedynek. Sam wybrał godnego siebie przeciwnika, świadomy zagrożenia, które to ze sobą niosło.

– Piękny, prawda? – spytał Martin, obserwując Archibalda przez pryzmat szlifu kamienia.

– Krąży legenda, że ten brylant przynosi nieszczęście temu, kto wejdzie w jego posiadanie nieuczciwą drogą – uśmiechnął się Archibald. – Nie boisz się, synku?

– Nie! – odrzekł Martin. – Tak czy inaczej nie mam nic do stracenia.

Archibald potrząsnął głową. Nie lubił takich ostatecznych stwierdzeń.

Martin odsłonił poły marynarki, żeby pokazać Archibaldowi, że nie ma broni i że nie zamierza go aresztować. Oczywiście miał zaczerwienione i półprzytomne z niewyspania, pragnął zemsty za doznane od Archibalda upokorzenia.

Panna Ho i jej stary przyjaciel, związani w *panic room*, wydawali z siebie nieartykułowane jęki zagłuszone taśmą izolującą, ale żaden z uczestników „pojedyunku” nie zwracał na nich uwagi.

– Co teraz? – spytał Archibald.

Martin jedną ręką rzucił brylant w powietrze, jak monetę przy grze w orła i reszkę, drugą ręką złapał go, jakby chcąc podrażnić się z Archibaldem.

– Jeśli pan chce, proszę, niech go pan sobie weźmie.

Po czym odwrócił się i wbiegł na wąskie, strome schody prowadzące na parter.

Archibald westchnął. Nie rozumiał, o co chodzi Martinowi. Może jest pijany albo naćpał się czegoś? Kiedy stali naprzeciw siebie, przez chwilę wydawało się Archibaldowi, że ubranie Martina śmierdzi alkoholem. Co tam robił w tej spiżarni, w której zamknęła go Gabrielle? Jedno jest pewne, że chłopak chwilowo stracił rozum. Wykończony, z obolałymi plecami, dręczony mdłościami, ze stawami kruchymi jak kryształ Archibald czuł, że jedno, co mu pozostało, to przyjąć wyzwanie Martina i pobiec za nim. Musiał to zrobić dla Gabrielle, musiał spróbować o ile to możliwe zmniejszyć szkody, za które w dużej mierze był odpowiedzialny. A poza tym i tak należało opuścić ten dom.

*

Od samego rana San Francisco tonęło we mgle. Gęsta, groźna masa wisiała nad miastem i pogrążała go w atmosferze filmu grozy.

Martin „pożyczył” malinowego lexusa panny Ho i jechał teraz Divisadero Street w kierunku oceanu. Za nim motocykl Archibalda rozcinał nieprzezroczystą ścianę gęstego powietrza, jakby zagłębiał się w chmurach.

Po raz pierwszy Archibald zrozumiał, że posunął się za daleko. Jego starcie z Martinem doszło do takiego punktu, że przestało być jasne, kto na kogo poluje. Archibald zawsze chciał mieć wszystko pod kontrolą z daleka, żeby chronić Gabrielle i żeby zapewnić

jej szczęśliwe życie. Potem zachciało mu się sprawdzić Martina, bo był on pierwszą i wielką miłością jego córki. Ale nie można grać na uczuciach ludzkich, tak jak nie można uszczęśliwiać ludzi na siłę. Przez niego Martin zrezygnował z pracy w policji i wielokrotnie przekroczył granicę, której nie powinien był przekraczać. Teraz on musi mu wyznać całą prawdę, uratować to, co jeszcze jest do uratowania. I zrobi to dla Gabrielle.

Na Lombard Street postanowił przejąć inicjatywę, przyspieszył i podjechał do Martina. Przez kilkadziesiąt metrów oba pojazdy jechały obok siebie, dotykając się prawie, i żaden nie chciał ustąpić drugiemu.

W zapamiętaniu obydwu mężczyzn było coś fizycznego, wywołane testosteronem dążenie jednego drapieżnika do zdominowania rywala. Ale jednocześnie walka ta była czymś innym – pojedynkiem z samym sobą, z własną samotnością, strachem i myślami o śmierci.

Jeden walczący szukał ojca z pragnieniem zabicia go za brak miłości rodzicielskiej.

Drugiego gonila choroba i śmierć, a on sam nie wiedział, jak pozbyć się drążącego go od ponad trzydziestu lat poczucia winy.

Obydwaj znaleźli się w impasie.

Kabriolet wjechał na pełnym gazie na drogę numer 101 wytyczoną przez zalesione tereny Presidio.

Nigdy może, tak jak tego poranka, miasto nie zasługiwało na to, aby mówiono o nim *fog city*. W świetle reflektorów Archibald widział tańczącą przed nim białawą mgłę, która opadała na pojazdy

i zasłaniała chodniki oraz znaki drogowe.

Zwolnił, żeby uplasować się tuż za Martinem. Nie miał pojęcia, o co chodzi młodemu człowiekowi ani dokąd on go prowadzi.

Widoczność była prawie zerowa. Kiedy lexus wyjechał z parku na drogę prowadzącą na Golden Gate, mgła tak zgęstniała, że nie było widać mostu. Symbol i duma San Francisco Golden Gate był kompletnie niewidoczny, nie prześwitywał nawet jego piękny czerwony kolor. Błada wata mgły owijała się wokół metalowej struktury i lepiła do tysięcy podtrzymujących go kabli.

Na środku mostu Martin zwolnił i zatrzymał się na prawym pasie.

Archibald zawahał się, po czym stanął tuż za nim, świadom ogromnego ryzyka, na jakie się narażał. Prawie natychmiast rozległ się koncert napominających ich ostro klaksonów. W tym miejscu był całkowity zakaz zatrzymywania się i za kilka chwil można było spodziewać się policji.

Mimo porannej pory w wigilię Bożego Narodzenia Golden Gate był pełen pojazdów. Na zatłoczonych sześciu pasach samochodu wyprzedzały się, prawie że dotykały zderzakami, wymijały, i to wszystko w głuchym hałasie klaksonów, inwektyw rzucanych sobie wzajemnie przez kierowców i pisków opon.

Martin trzasnął drzwiami samochodu i przeszedł przez ogrodzenie oddzielające ścieżkę dla rowerzystów. Tak jak to Archibald zrobił pół roku wcześniej z portretem van Gogha, tak teraz Martin

wyciągnął przed siebie rękę z brylantem. Miał groźne spojrzenie, tak jakby zamierzał wrzucić kamień do oceanu.

– Jest pan gotów pójść za tym kamieniem do piekła?! – wykrzyknął egzaltowanym głosem.

Ale Golden Gate to nie było to samo co Pont Neuf.

Na tym gigantycznym moście człowiek wyglądał jak mrówka. Kable podtrzymujące płytę przeszła nad rozszalałą morską wodą przymocowane były do pylonów o wysokości dwustu metrów.

Teraz Archibald wszedł na ścieżkę dla rowerzystów.

– Wracaj, synku, nie wygłupiaj się! – ryknął, żeby przekrzyć wiatr.

Barierka bezpieczeństwa była dość wysoka, ale niewystarczająco, żeby odwieść dziesiątki osób, które co roku popełniały tutaj samobójstwo, rzucając się w wodną przepaść.

– Idzie pan czy nie? – zniecierpliwił się Martin.

„Klucz do raju” błyszczał w jego dłoni płomieniem tak intensywnym, że kamień otoczyła hipnotyzująca świetlna aureola widoczna nawet mimo gęstej mgły.

Młody człowiek schował brylant do kieszeni i zaczął wspinać się na balustradę.

– Mam w nosie ten brylant! – krzyknął Archibald.

Instynktownie wychylił się i spojrzał w dół. Był to przepiękny spektakl przyprawiający o zawrót głowy. Można było sobie wyobrazić niewidoczne fale rozbijające się o wielkie pylony wbite w dno zatoki San Francisco. Archibald wiedział, że czas nagli. Most był wyposażony w kamery i za chwilę usłyszą syreny radiowozu

albo patrolu z Transportation District.

– Nie wygłupiaj się, synku, nie psuj wszystkiego, musimy się stąd jak najszybciej zwijać!

Podszedł bliżej i spróbował pociągnąć Martina za połą marynarki, ale chłopakowi udało się go odepchnąć. W momencie kiedy Archibald powtórnie wyciągnął ku niemu rękę, Martin wymierzył mu silny cios pięścią. Chcąc uniknąć tego ciosu, Archibald uchwycił się ciała przeciwnika i obaj mężczyźni zwarli się w morderczym uścisku, aż w pewnej chwili Martin przechylił się niebezpiecznie w tył. Archibald chciał go przytrzymać, Martin zaczął się wyrwać i w rezultacie bezwiednie pociągnął za sobą Archibalda w lodowatą otchłań.

*

Skok w siedemdziesięciometrową przepaść.

Ponad czterosiekundowy lot.

Cztery sekundy to długo, zwłaszcza gdy wiecie, że są to ostatnie chwile waszego życia.

Po czterech sekundach wasze ciało uderzy w taflę wody z prędkością ponad stu kilometrów na godzinę. Efekt taki, jakbyście wylądowali na betonie.

Przez te cztery sekundy nie migają wam przed oczyma żadne wspomnienia.

Przez te cztery sekundy po prostu się boicie.

No i żal wam tego, co się stało.

Nawet jeśli rzuciliście się w przepaść z własnej woli, zawsze

przyjdzie moment w trakcie tego ostatniego lotu, w którym dalibyście wszystko za to, aby cofnąć czas.

Tak już jest.

Tak jest zawsze.

Spadając, Archibald pomyślał, że starał się postępować jak najlepiej, ale że mu się nie udało. Na pewno skrzywdził wszystkich wokół. Chciał naprawić błędy, a popełnił jeszcze gorsze. Tak więc w ostatniej próbie, żeby nie umrzeć zgorzkniały i rozżalony, z całych sił objął Martina.

Martin myślał o Gabrielle. Była jego zagadką, miłością i raną. Na zawsze. Z niektórych bowiem cierpień nie da się wyleczyć.

W momencie śmierci przypomniał sobie list, który napisał do niej w naiwności idealizmu swoich dwudziestu lat. Słowa brzmiały mniej więcej tak:

Kiedy zamykam oczy i wyobrażam sobie nas za dziesięć lat, ukazują mi się obrazy szczęścia: słońce, śmiejące się dzieci, porozumiewawcze spojrzenia, jakie rzucają sobie wciąż zakochani małżonkowie...

Akurat! Nigdy nie widział słońca, najwyżej kilka razy przejaśnienie, intensywne, ale zawsze krótkotrwałe. Było tylko cierpienie, ciemności, strach i...

Część trzecia

W towarzystwie aniołów

24.

Wielka ucieczka

*Aby wyżej wzlecieć, aby lżejszym być,
Mieć srebrne źrenice i rozwiany włos,
Przed potopem, zanim sanki
Zjadą z drogi,
I nic
To koniec.*

CLARIKA, *Escape Lane*

**Nob Hill District,
24 grudnia, 08.00**

Na wyjących syrenach ambulans wjechał na parking izby przyjęć szpitala Lenox.

Lekarze, którzy przyjmowali rannych, podzielili się na dwie grupy.

– Kogo tu mamy?
– Mężczyzna, trzydzieści cztery lata, nieprzytomny ciężkie obrażenia ciała.

– A kogo tu mamy?
– Mężczyzna sześćdziesiąt lat, ciężkie obrażenia ciała.

Ranni na wózkach szpitalnych, pchani przez pielęgniarzy, zdawali się ścigać po korytarzach szpitala, który pierwszy znajdzie się na oddziale chirurgii urazowej, któremu najpierw zostanie zrobiona tomografia, który będzie operowany przez najlepszego chirurga... Wyglądało to trochę tak, jakby pojedynek między Martinem a Archibaldem ciągnął się jeszcze u wrót śmierci.

– Rzucił się z Golden Gate
pół godziny temu...

...spadł z wysokości siedem-
dziesięciu metrów, z mostu.

– Wyłowiony przez straż
przybrzeżną...

– ...niecałe trzy minuty po
uderzeniu w taflę wody...

– Liczne złamania...

– ...liczne obrażenia we-
wnętrzne.

Obydwu rannych jeszcze na miejscu wypadku poddano narkozie, obydwu również zaintubowano. Mieli unieruchomione szyje i każdy z nich za pomocą katetera podłączony był do pięciu kroplówek.

Te kroplówki utrzymywały ich przy życiu, ale jak długo jeszcze?

*

Traf chciał, że tego ranka Elliott Cooper, jeden z najstarszych chirurgów w szpitalu Lenox, przechodził przez parking szpitalny po długim, nocnym dyżurze dokładnie w momencie, kiedy na miejsce dojeżdżała karetka z wyłowionymi w zatoce San Francisco mężczyznami.

Trzydzieści dwa lata wcześniej Ilena, kobieta, którą kochał, rzucała się z tego przekłętego mostu i zginęła. Od tego czasu Golden Gate, symbol San Francisco, zawsze w nim budził tragiczne wspomnienia, a on sam zaczął aktywnie działać, aby doprowadzić do zainstalowania ponad balustradą specjalnej barierki uniemożliwiającej skok w wodną otchłań. Niestety, jak dotąd nie zrobiono tego.

Elliott odruchowo popatrzył w kierunku rannych i dwóch zajętych nimi ekip medycznych. Pierwszym poszkodowanym był młody Francuz Martin Beaumont, drugim – anonimowy mężczyzna w wieku doktora.

Jakiś szósty zmysł kazał mu podejść do karetki i pomóc ekipie dyżurnej. Jako zarządzający szpitalem wiedział, że w wigilię Bożego Narodzenia wiele osób z personelu medycznego ma wolne. Ale poza tym chciał sprawdzić jeszcze coś: ten człowiek na noszach... ten orli nos, te siwe włosy... Nie znano jego nazwiska. Czy to możliwe, że...

Pochylił się nad noszami i wtedy zobaczył, że leży na nich jego stary przyjaciel Archie Blackwell. Natychmiast wpisał się na listę lekarzy dyżurnych. Z powrotem się przebrał i tuż przed wyłączeniem komórki zadzwonił do Gabrielle.

*

Prawdziwa rzeźnia, ja to mam szczęście... Claire Giuliani, jedna z dyżurnych lekarzy stażystów, z przerażeniem patrzyła na rany pacjenta, niewiele starszego od niej Francuza. Popękane kręgi i

żebra, złamane nogi i stopa, zgruchotany obojczyk, wgnieciona klatka piersiowa, biodro i prawe ramię przemieszczone... Nie mówiąc już o wewnętrznych obrażeniach, którymi trzeba było zająć się natychmiast: pęknięta śledziona i jelita...

*

Elliott był załamany: siła uderzenia niemal zabiła Archibalda, który upadł płasko na plecy, tak jakby starał się ochronić Martina.

Miednicę i kręgi miał strzaskane, stłuczone nerki, pękniętą śledzionę i uszkodzony pęcherz moczowy, cierpiał na odmę mózgową i liczne obrażenia wewnętrzne. Nie trzeba było mieć dyplomu lekarskiego, żeby zrozumieć, że w tym stanie pacjent ma niewielkie szanse na przeżycie i że nawet gdyby nastąpił cud, to uszkodzenia kręgosłupa i szpiku przykułyby go do wózka inwalidzkiego.

*

Południe

W korytarzu na bloku operacyjnym czekała Gabrielle. Dostała specjalne pozwolenie na przebywanie w tym miejscu. Przez drzwi z matowego szkła gorączkowo obserwowała gesty chirurgów, którzy próbowali ratować życie jej dwóch ukochanych mężczyzn.

Nawet jeśli dokładnie nie wiedziała, w jaki sposób doszło do ich „śmiertelnego skoku” z mostu, podejrzewała, że było to logiczne

zakończenie ich bezlitosnego pojedynku.

Nie chciała wybierać między nimi, chciała obu zachować przy sobie, chciała, aby się zaprzyjaźnili, chciała kochać obydwu, ale najwyraźniej są pojedynki, dla których jedynym zakończeniem jest śmierć.

*

20.00

Kiedy Claire Giuliani wyszła z sali operacyjnej, dawno już zapadła noc. Claire miała podkrążone oczy i zmęczoną twarz. W ponurym nastroju wrzuciła do kosza lateksowe rękawiczki i fartuch, a następnie zdjęła czepek, który przytrzymywał spocone włosy. Kasztanowo-różowy kosmyk spadł jej na oczy, ale nawet nie miała siły, żeby go odgarnąć. Napiła się kawy z automatu stojącego na korytarzu i wyszła na parking. Wieczór był chłodniejszy niż poprzedni, co przypadło jej do gustu. Była w San Francisco dopiero od kilku tygodni, ale już brakowało jej Manhattanu. Miała dość tej atmosfery niby luzu, tych grzecznych i uśmiechniętych ludzi, ogólnego pozytywnego nastawienia. Denerwowało ją to. Ona sama nie była ani na luzie, ani uśmiechnięta, ani pozytywna. Prześladowała ją permanentna chandra, bardziej pasująca do nowojorskiej zimy niż do łagodnego klimatu Kalifornii. Claire zdusiła ziewnięcie. Oczy ją bolały. Była zmęczona po całym dniu wypełnionym operacjami i zdenerwowana, że efekty jej pracy są niewielkie. Młody przystojniak był nieźle poturbowany i bardzo źle rokował.

Uszkodzona twarzoczaszka, stłuczone płuco... Poza tym było prawie pewne, że w nocy w mózgu powstanie krwiak. W tej sytuacji trzeba go będzie znów operować, a w stanie, w jakim się znajduje, może tej operacji nie przeżyć. A nawet gdyby wybudził się ze śpiączki, jak przewidzieć, czy tak mocne uderzenie nie spowodowało uszkodzeń kręgosłupa i czy chłopak nie zostanie sparaliżowany od pasa w dół?

Mocno zirytowana zerwała plaster nikotynowy z ramienia, po czym zaczęła grzebać w schowku na rękawiczki w samochodzie, żeby znaleźć starą paczkę papierosów.

Oparta o maskę swojego starego garbusa przemalowanego sprayem na okropny fioletowy kolor zapaliła pierwszego papierosa od dwóch miesięcy. Poczuła żal, że skapitulowała, ale jednocześnie ogarnął ją wojowniczy nastrój.

No, dalej, przeklęta nikotyno, szkodź mi, szkodź!

Papieros w prawej ręce, telefon w lewej – wszystkie możliwe nałogi. Cały dzień Claire spoglądała na swoją komórkę, rozpaczliwie pragnąc zauważyć migające czerwone światełko, które wskazywałoby na to, że otrzymała e-mail lub SMS. Czekala na sygnał od pewnego mężczyzny. Mężczyzny, od którego uciekła, wyjeżdżając z Nowego Jorku. Mężczyzny, który ją kochał, ale któremu ona nigdy nie wyznała miłości. Mężczyzny, którego bardzo źle potraktowała. Zdradziła go, zawiodła, zraniła. Tylko po to, żeby sprawdzić, czy mimo wszystko będzie wciąż ją kochał. Tylko po to,

żeby sprawdzić, czy jest zdolny znieść najgorsze. Bo nie umiała inaczej kochać. Może któregoś dnia, jeśli mężczyzna ten będzie wystarczająco uparty i cierpliwy, by czekać, uda jej się otworzyć przed nim serce i uczynić wyznanie, które zmieniąby wszystko.

Zaczęła obracać telefon w rękę. Od tygodnia już ów facet nie dzwonił. Może on również odpuścił, tak jak jego poprzednicy. Spróbowała przestać o nim myśleć i machinalnie połączyła się z wewnętrznym serwerem szpitala. Zaczęła klikać po tytułach i wpadła na pracę Elliotta Coopera poświęconą samobójcom z Golden Gate. Z pracy tej dowiedziała się, że od czasu otwarcia mostu, w roku 1937, rzuciło się z niego do oceanu tysiąc dwieście dziewiętnaście osób, czyli mniej więcej około dwudziestu osób rocznie popełniało w ten sposób samobójstwo. Na tysiąc dwieście dziewiętnaście osób tylko dwadzieścia siedem przeżyło.

Zaledwie dwa procent! – pomyślała ze smutkiem.

Wiedziała z doświadczenia, że tego typu statystyki raczej nie kłamią.

*

20.15

Wysoki sygnał sonaru łodzi podwodnej. Zimny pokój skąpany w niebieskawym świetle: oddział intensywnej terapii szpitala Lenox. Dwa metalowe łóżka stojące o kilka metrów od siebie.

Między łózkami siedzi na krześle przygarbiona kobieta, twarz ma ukrytą w dłoniach, jest wyczerpana od płaczu. Kobieta czuwa przy chorych. Na obu łózkach leżą nieprzytomni mężczyźni. Obaj walczyli ze sobą, zamiast szukać porozumienia. Każdy z nich na swój sposób kochał tę samą kobietę. Albo raczej nie wiedział, jak ją kochać.

*

20.30

Claire Giuliani zdusiła ostatniego papierosa i zapięła guziki swego płaszcza w stylu militarnym z kołnierzem ozdobionym wielkimi srebrnymi agrafkami. Teoretycznie skończyła dyżur. Był to wieczór wigilii Bożego Narodzenia. Claire właśnie skończyła trzydzieści lat. Jeśli byłaby normalną kobietą, siedziałaby teraz przy wigilijnym stole z rodziną albo z przyjacielem, albo nawet w dyżurce świątecznie udekorowanej przez młodych stażystów. Ale Claire była po prostu do tego niezdolna. Lubiła tylko bolesną wyłączność życia w parze, a z braku takowej zadawała się samotnością, tak częstą w jej zawodzie. Stała bliskość śmierci stopniowo ją wyniszczała, umożliwiając jednak nawiązanie niewidocznych nici porozumienia z niektórymi pacjentami. Te nici podtrzymywały jej zaangażowanie w pracę i w takie jak ten wieczory były jej łącznikiem z resztą ludzkości.

Pozornie osiągnęła w życiu to, co chciała. Była chirurgiem. Niewielkim wysiłkiem mogłaby być ładną lekarką w typie

bohaterki serialu *Chirurdzy*: namiętne ciało i seksowny mózg. Ale to nie było w jej stylu...

Znów popatrzyła na ekran telefonu. Żadnej nowej wiadomości.

A gdyby ona zadzwoniła do niego?

Gdyby zaryzykowała i odsłoniła się przed mężczyzną? Zrobiła to raz, bardzo dawno temu, i wyszła z tego poraniona, zdruzgotana, wypalona jak ugór. Obiecała sobie nigdy więcej nie narazić się na coś podobnego. Jednak lata mijały i rozumiała, że nawet jeśli można ułożyć się z wyrzutami sumienia, trudno zawrzeć pokój z goryczą.

Przewinęła listę kontaktów na ekranie komórki i zatrzymała się przy enigmatycznym „On”.

Przytknęła drżący palec do guzika „połącz”, chwilę się zastanawiała, po czym serce wzięło górę nad rozsądkiem i zdecydowała się nacisnąć, gdy nagle...

Sygnał nadjeżdżającej karetki. Samochód zatrzymał się z piśkiem opon dokładnie przed automatycznymi drzwiami do izby przyjęć i wyniesiono z niego leżącą na noszach bardzo młodą dziewczynę. Dziewczyna leżała bez ruchu, na twarzy miała rozmazany tusz do rzęs.

Claire podeszła do noszy. Dlaczego w pobliżu nie ma żadnego lekarza?

Odruchowo nachyliła się nad leżącą. Dziewczyna miała na sobie dzinsy z obniżoną talią (zbyt obniżoną), różowy obcisły T-shirt (zbyt obcisły) ozdobiony dwuznaczną sentencją: „Ani święta, ani niedotykańska”.

– Co się stało? – spytała jednego z pielęgniarzy.

– Czternastolatka, próba samobójcza, zatrucie chloranem sodu, glifosatem i pentachlorofenolem.

„Claire, halo, Claire?” – dotarło do niej z odłożonego telefonu. Popatrzyła na aparat. To był jego głos. Jego głos. Claire znów się zawahała, po czym szybko wyłączyła komórkę, by zająć się „swoją” pacjentką.

Próba samobójcza w wieku lat czternastu...

No cóż, widocznie dziś wieczorem przeszłość postanowiła wrócić do niej inną drogą.

25.

Strefa odlotów

*Nie myśl o rzeczach, których nie masz,
tak jakbyś już je miał. Raczej zrób listę
najcenniejszych rzeczy, które masz,
i pomyśl, jak bardzo chciałbyś je zdobyć,
gdybyś ich nie miał.*

MAREK AURELIUSZ

Czarno.

Czarno.

Czarno.

Szept:

...najdroższy...

Czarno.

Brzęczenie.

Miarowy, wysoki sygnał sonaru łodzi podwodnej.

Mocny, rytmiczny powiew niczym mechaniczny oddech.

Światło, chyba światło...

Martin z trudnością otworzył oczy. Był zlany potem, głowa mu ciążyła i nie mógł złapać tchu. Powieki sklejały mu oczy, pełne

lepkiego, mazistego płynu. Twarz go paliła. Wytał oczy rękawem i rozejrzał się. Znajdował się na lotnisku, siedział rozparty na metalowym fotelu w sali odlotów. Wyprostował się i skoczył na równe nogi.

Rzucił okiem na zegarek: 25 grudnia, 8.10.

Obok niego siedziała jakaś nastolatka z wyblakłymi jasnymi włosami, najwyraźniej śniąca taki sam koszmar jak on. Zauważył na jej twarzy wyraz trwogi i rozmazany tusz do rzęs. Miała na sobie bladoróżowy T-shirt z napisem: „Ani święta, ani niedotykalska”.

Gdzie właściwie się znalazł?

Podszedł do dużego okna. Port lotniczy był oświetloną przestrzenią – futurystyczną katedrą ze szkła i stali, przezroczystą kopułą w formie elipsy, której brzeg wchodził w morze niczym ogromny statek. Na pasach startowych stały jeden za drugim srebrzyste samoloty, czekając na swoją kolejkę. Budynek, skąpany w ciepłym, złotym świetle, przypominał kryształową kulę stojącą nad morzem. Miało się wrażenie, że nie dochodzą tu żadne dźwięki z zewnątrz.

Raj? Piekło? Czyściec? Nie, nawet jako dziecko, kiedy chodził na lekcje religii, Martin nigdy nie wierzył w dogmaty Kościoła ani w ich obrazy.

A więc co? Sen?

Nie, wszystko wokół było przedstawione zbyt dokładnie, zbyt precyzyjnie. To musiało dziać się naprawdę.

Pomasował sobie kciukami skronie i szyję. Dobrze pamiętał wszystko, co ostatnio robił: pamiętał zdradę Gabrielle, kradzież brylantu, starcie z Archibaldem na moście i to, jak spadli obydwa

z wysokości siedemdziesięciu metrów do wody. To nie był sen. A przecież nie mógł wyjść z tego żywy.

Martin spróbował przełknąć ślinę, ale gardło miał suche. Wytarł spoconą twarz.

Za szeregiem drzwi prowadzących do samolotów zauważył kafejkę, której stoliki ustawione były obok przeszklonej ściany z widokiem na pasy startowe. Kafejka nazywała się Golden Gate Café.

Nomen omen – pomyślał, podchodząc do lady, za którą stała śliczna Metyska o jasnych oczach, w króciutkich szortach i z głębokim dekoltem.

- Czym mogę panu służyć?
- Uch... Mogę dostać trochę wody?
- Z gazem czy bez gazu?
- Ma pani wodę Evian?

Metyska poprawiła swoją płomienną fryzurę, rzucając mu lekceważące spojrzenie:

- Oczywiście.
- A coca-colę?
- Skąd pan się wziął?!

Martin zapłacił dziesięć dolarów (!) za butelkę wody i puszkę coli. Wrócił na metalowe krzesło. Młoda dziewczyna w T-shircie z prowokującym napisem wciąż tam siedziała. Miała dreszcze i szczykała zębami. Martin wręczył jej wodę. Widział, że umiera z pragnienia.

- Jak się nazywasz?
- Lizzie – odpowiedziała, wypijając jednym haustem połowę butelki.

- Dobrze się czujesz?
- Gdzie my jesteśmy? – spytała Lizzie, płacząc.

Martin zignorował jej pytanie. Dziewczyna była złana potem i drżała. Była taka wycieńczona, przypominała mu Camille, tę dziewczynkę, którą opiekował się przez parę lat. Zostawił Lizzie puszkę z colą i poszedł coś kupić do sklepu z pamiątkami.

Wrócił i rzucił jej na kolana bluzę z kapturem w barwach Uniwersytetu Kalifornijskiego.

- Włóż to, bo się przeziębisz.

Dziewczyna włożyła bluzę, nieśmiało kiwnąwszy głową, co najwidoczniej było podziękowaniem w języku zagubionych nastolatek.

- Ile masz lat? – spytał, siadając obok.
- Czternaście.
- Gdzie mieszkasz?
- Tutaj, w San Francisco, niedaleko Pacific Heights.
- Przypominasz sobie, co robiłaś, zanim się tu znalazłaś?

Lizzie wytarła łzy spływające jej po policzkach.

- Nie wiem... Byłam w domu. Płakałam... Coś tam połknęłam... chciałam umrzeć.
- Co połknęłaś? Lekarstwa?
- Nie, mama zamknęła apteczkę na kłódkę.
- Więc co połknęłaś?
- Poszłam do altanki w ogrodzie i wzięłam wszystko, co znalazłam: środek do tępienia szczurów i jakiś herbicyd.

Martin się przeraził.

- Dlaczego to zrobiłaś?
- Przez Camerona.
- Kto to jest? Twój chłopak?

Kiwnęła głową.

- Już mnie nie kocha. A tak dobrze było nam ze sobą...

Martin popatrzył na nią ze smutkiem. Czy się miało lat piętnaście, dwadzieścia, czterdzieści czy siedemdziesiąt pięć, cholerny zawód miłosny był chorobą niszczącą wszystkich, których napotkała na swojej drodze. Krótkie momenty szczęścia mają niewyobrażalnie wysoką cenę! Spróbował jednak zażartować.

– Jeśli w wieku lat czternastu targasz się na życie z powodu faceta, co to będzie później!

Ale Lizzie czuła, że coś tu nie gra.

- Gdzie my jesteśmy?! – spytała po raz drugi z niepokojem.
- Nie wiem, ale zrywamy się stąd! – powiedział, wstając.

Biegł.

Za nim biegła czternastolatka.

Nieważne, czy miejsce było realne, czy nie. Na pewno to nie był ani raj, ani piekło, bo w niebie nie sprzedają dietetycznej coli po pięć dolców za puszkę. To musiało być coś innego.

Tak czy inaczej trzeba było stąd uciekać.

Zdecydował się zaufać znakom informacyjnym i ruszyli w kierunku napisu „Wyjście – Taksówki – Autobusy”.

Napisy te zaprowadziły ich do strefy *duty free* w bardzo długim korytarzu, w którym znajdowały się same luksusowe butiki, od Hermesa po Gucciego. Potem znaleźli się w strefie restauracji i barów, gdzie wokół centralnie umieszczonego atrium różne bary oferowały szeroki wachlarz specjalności: hamburgery, sałatki, sushi, pizzę, kuskus, szaszłyki, owoce morza...

Martin co chwila odwracał się, żeby pospieszyć Lizzie.

Wskoczyli do windy, potem pobiegli ruchomym chodnikiem, tak długim jak na Gare Montparnasse w Paryżu, tylko działającym.

Długi budynek, przez który biegli, miał solidną konstrukcję, był czysty i jasny. Przy wielkich oknach ekipy sprzątające pucowały szyby migoczące jak tafla wody w zmieniającym się złotym świetle.

Wszędzie był tłok i panowała atmosfera wyjazdów na ferie świąteczne. Ludzie mieli na głowach czapki, owinięci byli szalami, niektórym ciekło z nosa, niektórzy trzymali w rękach prezenty: całe grupy szykowały się do świąt Bożego Narodzenia. Inni znów ubrani byli jak w lecie w jasne kolorowe bermudy i byli opaleni jak surferzy.

Martin wziął Lizzie za rękę i przyspieszyli kroku, rozpychając mijanych pasażerów: eleganckich dyrektorów udających biznesmenów, nastolatków z głowami w chmurach ze słuchawkami iPodów na uszach...

Wszędzie na ścianach wisały zegary, które przypominały o mijającym czasie.

Patrząc w górę na tablice informacyjne, Martin biegł, mając

wrażenie, że z jakiegoś powodu muszą się spieszyć. Wyjście znajdowało się tuż-tuż. Pociągnął Lizzie, żeby przyspieszyć jeszcze bardziej.

No i znaleźli się w wielkim terminalu odlotów. Po raz pierwszy Martin usłyszał odgłosy z zewnątrz: hałas przejeżdżających samochodów, ruch uliczny... Wyczuł istnienie normalnego świata, świata mniej aseptycznego, szorstkiego, po prostu poczuł puls – życia...

W chwili kiedy wreszcie przekraczali rozsuwane drzwi wychodzące na pokrytą asfaltem jezdnię, gwałtowny powiew rozdarł im bębunki w uszach i zamącił wzrok.

Kiedy Martin otworzył oczy, zobaczył, że stoi w rzędzie tych samych metalowych krzesel, przy których stał, kiedy się obudził. Za nim znajdował się ten sam sklep z pamiątkami, ta sama Golden Gate Café, z tą samą kelnerką Metyską o płomiennej fryzurze...

Popatrzył na Lizzie ze smutkiem w oczach: wrócili do miejsca, z którego wyruszyli!

*

– Nie ma co szukać wyjścia, synku. Jesteśmy tutaj uwięzieni. Martin odwrócił głowę.

Z nieprzeniknionym wyrazem twarzy Archibald wydmuchiwał dym ze swojego hawańskiego cygara. Najwyraźniej lotnisko nie było strefą dla niepalących. A więc to prawda, „Bóg był sam palaczem hawańskich cygar”... *. A może jeśli się już umarło, rak był nie tak ciężką chorobą jak za życia...

* Aluzja do piosenki Serge'a Gainsbourga *Dieu est un fumeur de havane*.

– To wszystko pana wina! – rzucił Martin, oskarżycielsko mierząc w Archibalda palcem.

– Moja tak samo jak twoja – poprawił go Archibald. – Gdybyś się nie wygłupiał, bylibyśmy jeszcze na świecie.

Archibald czuł się świetnie. Zmęczenie, ból i mdłości związane z chorobą znikły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

– Zabił pan nas obu! – oburzył się Martin. – Wszystko przez to, że jest pan tak chorobliwie zarozumiały!

– Jeśli chodzi o dumę, ty też nie masz sobie nic do zarzucenia, synku!

– Niech pan przestanie mówić do mnie „synku”!

– Masz rację, przepraszam cię, synku. Natomiast nie masz racji, kiedy mówisz, że umarliśmy.

– Niech się pan zastanowi: spadliśmy z co najmniej siedemdziesięciu metrów do lodowatej wody. Łatwo sobie wyobrazić, co się z nami stało...

– To prawda – zgodził się Archibald, krzywiąc się. – Ale nie jesteśmy martwi. Jeszcze nie.

– No dobrze, to w takim razie, co to jest?

– Właśnie, co to jest za miejsce? – powtórzyła za nim Lizzie.

Archibald uśmiechnął się do nastolatki, po czym ruchem ręki zachęcił ich oboje, żeby poszli za nim.

– Musicie kogoś spotkać! – powiedział.

– Nie! – zaprotestował Martin. – Najpierw chcę wiedzieć, gdzie jesteśmy.

Archie wzruszył ramionami.

– Jesteśmy w stanie utraty przytomności – stwierdził, jakby to było oczywiste.

*

Wszyscy troje pchnęli drzwi do „strefy modlitwy” lotniska. Miejsce składało się z recepcji i kilku oddzielnych sal poświęconych każda innemu wyznaniu: była kaplica chrześcijańska, synagoga, meczet, świątynia buddyjska i szintoistyczna.

„Strefą modlitwy” zarządzał ojciec Shake Powell, kapelan lotniska. Był to wielki Murzyn, zbudowany masywnie jak zapaśnik w stylu wolnej amerykanki. Nosił adidas Nike Air, luźne spodnie, bluzę od dresu z kapturem i T-shirt z napisem *Yes we can* i z podobizną Obamy.

Shake Powell przyjął gości w swoim gabinecie, wygodnym, prawie pustym pomieszczeniu, którego okna wychodziły na pasy startowe. Mimo że bardzo zajęty, chętnie udzielił odpowiedzi nowo przybyłym. Poczęstował ich kawą i zaczął opowiadać swoje dzieje.

Shake Powell pochodził z Nowego Jorku i był z wizytą u swego brata w San Francisco, kiedy dostał nożem w plecy, dziesięć miesięcy wcześniej, usiłując pogodzić dwóch bijących się włóczęgów. W pierwszym okresie pracy w strefie odlotów szkolił go dawny kapelan lotniska, który obecnie już nie żył.

Praca w kaplicy lotniska go pasjonowała. Uważał, że Bóg jest

tutaj wszędzie: że jego obecność przebija przez architekturę obiektu, przez świetliste szklane sklepienie otwarte na niebo. Czasem nawet dawał tutaj śluby i chrzczył.

Strefa odlotów była miejscem granicznym, *no man's land*, zachęcającym do modlitwy i refleksji. Podróżni często uświadamiali tu sobie trapiące ich intymne lęki. W momencie odlotu odczuwali potrzebę spowiedzi. Ojciec Powell nie pragnął ich sądzić, tylko zrozumieć. Niektórzy bali się nieznanego, lękali się wyrzutów sumienia, czuli żal. Dla innych tego typu odosobnienie było cenną i nieoczekiwaną okazją do tego, żeby stać się kimś lepszym lub żeby pogodzić się z samym sobą.

– W strefie odlotów spotkałem się z każdym rodzajem duszy ludzkiej, widziałem jej wielkość, ale i nędzę – powiedział kapelan, kończąc pić kawę.

Martin nie przerywał Shake'owi Powellowi. Doszedł do wniosku, że wszyscy podróżni na tym tajemniczym lotnisku są ludźmi, którzy stracili przytomność wskutek wypadku lub samobójstwa. Ale miał jedno pytanie.

- Cały czas ojciec mówi o strefie odlotów... – zaczął.
- Tak, zgadza się.
- Ale odlotów dokąd?

Powell uważnie przyjrzał się Martinowi i Lizzie, po czym potrząsnął głową.

– Popatrzcie na samoloty – powiedział, odwracając się w stronę okna.

Martin spojrzął na płytę lotniska. Wyraźnie było widać dwa równoległe pasy i dwie kolejki wielkich odrzutowców błyszczących

w słońcu, które czekały na sygnał z wieży kontrolnej, aby wzlecieć w przeciwnych kierunkach.

- Są tylko dwa kierunki – oznajmił Shake Powell, zapinając kurtkę do joggingu, spod której wyzierały jego imponujące mięśnie.
- Powrót do życia albo podróż w zaświaty – zakończył smutno Martin.
- Trafiłeś w dziesiątkę, synku! – przytaknął mu Archibald.

*

Lizzie patrzyła zamyślona na wielkie dłonie kapelana, który wytatuował sobie na palcach litery „L.I.F.E.” i „D.E.A.T.H.”, życie i śmierć.

Drżąc, zapytała:

- Ale jak możemy poznać, dokąd my lecimy?
- To jest napisane na biletach.
- Na jakich biletach? – spytał Martin.
- Tych, które otrzymuje każdy podróżny wchodzący do strefy odlotów – wyjaśnił Powell.
- To jest bilet! – Archibald położył na stole swoją kartę pokładową.

Wyglądała ona, jak następuje:

| Wylot: | Miejsce przylotu: | Data: | Godzina: | Miejsce: |
|----------------|--------------------------|-----------------|-----------------|-----------------|
| Strefa odlotów | <u>Życie</u> | 26 grudnia 2008 | 07.05 | 32F |

Martin zmarszczył brwi. Miał na sobie to samo ubranie co w momencie wypadku: garnitur szyty na miarę, prezent od panny Ho,

i zmiętą koszulę, która wystawała mu ze spodni. Pogrzebał w kieszeniach marynarki, znalazł portfel, komórkę i kartonową kartkę, którą położył na stole.

| Wylot: | Miejsce przylotu: | Data: | Godzina: | Miejsce: |
|----------------|--------------------------|-----------------|-----------------|-----------------|
| Strefa odlotów | <u>Śmierć</u> | 26 grudnia 2008 | 09.00 | 6A |

– Pech, synku! – skrzywił się Archibald.

Potem obaj mężczyźni popatrzyli na Lizzie z pytaniem w oczach.

Dziewczyna siedziała w za dużej bluzie od dresu, sztywna ze strachu. Niezgrabnie wywróciła kieszenie dżinsów i w końcu znalazła kartę pokładową złożoną we czworo. Rozłożyła ją drżącymi rękami. Nowina była ponura.

| Wylot: | Miejsce przylotu: | Data: | Godzina: | Miejsce: |
|----------------|--------------------------|-----------------|-----------------|-----------------|
| Strefa odlotów | <u>Śmierć</u> | 26 grudnia 2008 | 09.00 | 6B |

26.

Piękne rzeczy rodem z nieba*

* Tytuł powieści Dinaw Mengestu zainspirowany wersem Dantego (w oryg.: *The Beautiful Things that Heaven Bears*).

*I po raz ostatni zobaczyłem Ziemię:
kula błyszcząca błękitem, unosząca się
w ogromnej przestrzeni eteru.
I ja, krucha szczypta kurzu obdarzona
duszą, leciałem cicho w pustce od tego
zimnego błękitu w kierunku nieznanym.*

WILLIAM HOPE HODGSON

Strefa odlotów, 23.46

Sklepienie Niebieskie było najbardziej luksusową restauracją strefy odlotów.

Około trzydziestu okrągłych stolików przykrytych kremowymi obrusami harmonijnie rozstawiono w pięknej, nowocześnie urządzonej, eleganckiej sali. Na ścianie zadziwiająca błyszcząca zasłona, utkana z setek światłowodów, pogrążyła pomieszczenie w łagodnym świetle, tworząc ciepłą, miłą atmosferę.

Nowoczesny kominek pośrodku dodawał całości szczypty wyrafinowanego komfortu.

Nawet tutaj, u bram nieba, klienci byli tacy sami jak w każdym luksusowym hotelu. Nowobogacy Rosjanie i Chińczycy, magnaci naftowi z Bliskiego Wschodu, elita światowa nieruszająca się bez walizek firmy Vuitton.

Między nimi wszystkimi, przy stoliku stojącym przy wielkich, przeszklonych oknach, w których odbijały się światła pasów startowych, siedzieli Martin i Archibald. Mimo później pory samoloty bez przerwy startowały.

– Nie wyglądasz najlepiej, synku – zauważył Archibald, nakładając sobie dużą porcję smażonej grasicy i domowego makaronu z grzybami.

Martin ledwo uszczknął kęs jagnięciny z Aveyron.

– Łatwo się napychać, kiedy się wie, że człowiek ujdzie z życiem! Przypominam panu, że ja mam umrzeć.

– Wszyscy kiedyś umrzemy – stwierdził Archibald.

– Tak, ale ja umrę jutro rano!

– Masz rację, to niesprawiedliwe – zgodził się Archibald. – Jestem od ciebie dwa razy starszy, i to ja, przynajmniej, wciągnąłem cię w to wszystko...

Nalał sobie kolejny kieliszek wina i postawił butelkę na stojącym obok małym stoliczku. Mouton-Rothschild 1945, romanée-conti 1985 – jak się okazało, był to również wieczór najprzedniejszych win.

– Jesteś pewien, że nie chcesz spróbować burgunda? – zaczął go namawiać Archibald. – Szkoda by było umrzeć, nie znając tej doskonałości.

– Odpierdol się pan z tym swoim burgundem! – odpowiedział Martin twardo. Był zmęczony.

Lizzie, z głową opartą o jego ramię, zasnęła na ławce. Przed nią stały resztki hamburgera Royal z podwójną porcją koziego sera i bekonu.

Archibald wyciągnął z kieszeni pudełko z zapawkami i podręcznym nożem przygotował sobie wykałaczkę. Stary zwyczaj, który nie pasował do tego eleganckiego miejsca.

– Zastanawiam się, czy przed deserem nie skosztować jeszcze pieczonego luzowanego gołębia z pasztetem z gęsich wątróbek... – powiedział, przerzucając strony menu. – Co o tym sądzisz?

Tym razem Martin postanowił nie reagować na zaczepkę.

Popatrzył przez okno na rozgwieżdżone niebo. Zafascynowało go bardzo jasne ciało niebieskie, które najpierw wziął za Księżyc, ale być może była to Ziemia. Niebieska planeta, zawieszona gdzieś daleko w przestrzeni, ze swoimi mieszkańcami, którzy się kochali, zabijali i metodycznie wzajemnie niszczyli.

Ta planeta, na której zawsze czuł się samotny, ale której nie miał chęci opuszczać.

– Musimy porozmawiać, synku...

Martin podniósł głowę. Spojrzenie Archibalda świeciło jak płomień ponad kryształowymi kieliszkami. Udręczona twarz jakby stwardniała. Wyglądało na to, że żarty się skończyły.

– O czym mianowicie?

– O Gabrielle.

Martin westchnął.

- Chce pan znać moje zamiary?
- Właśnie.
- Moje intencje były uczciwe, ale tak czy inaczej teraz nie ma to żadnego znaczenia.

Postanowił nalać sobie kieliszek wina.

- A poza tym, wie pan co? Pańska córka jest niebezpieczna. Tak samo niebezpieczna jak pan! To prawdziwa wariatka, której celem jest zniszczyć szczęście, jak tylko się ono pojawi!

Podszedł kelner i zaczął sprzątać talerze. Archibald zrezygnował z deseru i zamówił dwie kawy.

- Dziś wieczorem mam dla ciebie dwie nowiny, synku. Jedną złą, drugą dobrą.

Martin westchnął.

- W mojej sytuacji niech pan zacznie od dobrej.
- Dobra to ta, że jesteś jedyną osobą, którą moja córka kiedykolwiek kochała.
- Co pan o tym wie? Przez trzydzieści lat w ogóle się pan nią nie zajmował. Pan jej nie zna.
- Tak myślisz. Ale coś ci powiem...
- Proszę, słucham...
- Nawet jeśli pozory są przeciwko mnie, znam Gabrielle lepiej niż wszyscy.
- Lepiej niż ja?
- To na pewno, bo o to nietrudno.

Widząc złość w oczach Martina, Archie podniósł rękę na znak pokoju.

- Gabrielle jest fantastyczną kobietą. Najwyraźniej zauważyłeś

to mimo twojego młodego wieku, co liczy ci się zdecydowanie na plus...

Wiedząc, że Archibald nie jest skory do komplementów, Martin przyjął to stwierdzenie z satysfakcją.

– Gabrielle angażuje się we wszystko całkowicie, jest szczerą, szlachetną – ciągnął Archie. – Może jest trochę skomplikowana, ale takie już są kobiety...

Martin przytaknął. W tym wszyscy mężczyźni się zgodzili.

– Gabrielle jest kobietą jednego życia, klejnotem jeszcze rzadszym od brylantu, który zamierzałem ukraść.

Na stół wjechały dwie filiżanki espresso i taca ze słodyczami. Archie wziął z niej owocową galaretkę o smaku figi.

– Gabrielle ma charakter, ma osobowość, ale jeśli człowiek zdecyduje się sięgnąć głębiej, zauważy, że ona leczy rany przeszłości. Wydaje mi się zresztą, że z tego również zdałeś sobie sprawę.

– Do czego pan zmierza?! – zirytował się Martin, połykając jednym haustem gorącą kawę.

– Do czego zmierzam, synku? Nie można powiedzieć, że grzeszysz inteligencją. Gabrielle nie potrzebuje przy sobie jakiegoś niedojrzałego maminsynka, niemogącego sobie poradzić z przeszłością. Nie potrzebuje jeszcze jednego faceta, przez którego będzie cierpieć może więcej niż przez innych. Potrzebuje mężczyzny, który byłby dla niej wszystkim: przyjacielem, kochankiem, powiernikiem, ukochanym, a nawet czasami wrogiem... Rozumiesz, co to znaczy?

– Ja byłem takim mężczyzną, kretynie jeden, i byłbym nim nadal, gdybyś się nie wtrącił!

Znużony i zirytowany Martin wstał od stolika i...

*

Szpital Lenox, 01.09

– Pani doktor, proszę się obudzić!

Pielęgniarka zapaliła neonowe światła małego pokoju, w którym odpoczywali lekarze dyżurni. Claire otworzyła oczy. Nie spała. Zresztą już od lat właściwie nie sypiała. Drzemała tylko i co chwila się budziła. Ten brak snu powodował, że wciąż czuła się zmęczona i zbyt wcześnie dorobiła się trwałych cieni pod oczyma.

– Proszę, to są wyniki skanera Martina Beaumonta. Odma śródczaszkowa!

Claire włożyła okulary i spojrzała na zdjęcie pod światło. Wynik drugiej tomografii komputerowej czaszki Martina był przerażający: między mózgiem a oponą twardą zebrała się krew, tworząc wylew niepokojącej wielkości. Dużo wypustek tętnicznych musiało pęknąć w tym samym momencie, żeby utworzyć taki potężny krwotok, który uciskał mózg, i jeśli się temu od razu nie przeciwdziała, pozostałe naczynia krwionośne również się zatkają i pozbawią komórki mózgowe dopływu tlenu, wywołując nieodwracalne skutki.

Trzeba natychmiast operować, spróbować odprowadzić tę krew, ale organizm Martina był już tak osłabiony, że Claire wątpiła, czy to przetrzyma.

– Proszę uprzedzić anestezjologa i przewieźć pacjenta na blok operacyjny.

*

Strefa odlotów, 01.12

Archibald pchnął drzwi prowadzące do Harry's Bar.

Panująca tutaj przytulna, ciepła atmosfera przypominała nastrój londyńskich klubów, z mahoniowymi boazeriami, fotelami chesterfield ze starej skóry i kanapami pokrytymi bordowym aksamitem.

Przeszedł przez palarnię i dołączył do Martina, który siedział przy barze, sącząc mojito.

Na widok tego koktajlu Archibald podniósł brwi.

– Widzę, że pijesz damskie drinki! – rzucił zaczepnie.

Martin postanowił nie reagować.

Archibald z miną konesera przyjrzał się robiącemu duże wrażenie rzędowi butelek whisky ustawionych w barze niczym stare książki w bibliotece. Wzrok jego zaświecił się na widok prawdziwego skarbu: stała tam butelka Glenfiddich Rare Collection z 1937 roku, najstarsza szkocka whisky świata.

Zamówił szklaneczkę tego cennego nektaru, którego bursztynowy odcień kontemplował teraz z przyjemnością.

– Proszę zostawić butelkę na barze! – rozkazał barmanowi.

Martin obserwował go kątem oka. Archie wdychał zapach trunku z nieukrywaną przyjemnością, delektując się mieszaną wonią

karmelu, czekolady, brzoskwini i cynamonu. Potem wziął łyk *single malt** i długo rozkoszował się jego subtelnym smakiem.

* *Single malt* – typ wysokogatunkowej whisky, w całości pochodzącej z tylko jednego rodzaju słoju i destylowanej w jednej destylarni.

Nalał trochę whisky do szklanki i podsunął ją Martinowi.

– Spróbuj, synku! Zobaczysz, to co innego niż ten napój dla dziewczynek...

Martin westchnął, ale Archibald połechtął jego ciekawość. Wypił więc łyk whisky i chociaż nie był koneserem, zachwycił się złożonym zapachem mocnego trunku.

– No, co?

– Mocna rzecz! – zgodził się Martin, częstując się następną kolejką.

– Zaczynasz mi się podobać! Chodź, usiądziemy w kącie, będziemy mieli spokój!

Archibald wstał i wziął z baru butelkę Glenfiddich.

Martin zawahał się. Miał do Archibalda okropny żal, ale nie chciał w samotności spędzić ostatnich swoich godzin na ziemi. A poza tym towarzystwo jego odwiecznego wroga sprawiało mu przyjemność przynajmniej w takim samym stopniu, w jakim napa- wało go nienawiścią.

Usiedli na skórzanych kanapach wokół niskiego, lakierowanego stolika z drewna akacji i z drewna mangowego.

Dzięki luksusowemu wystrojowi wewnątrz miało charakter klubu dla dżentelmenów, miejsca ze starych dobrych czasów, gdzie

mężczyźni spotykali się, żeby wypalić razem najlepsze cygaro, napić się kieliszek koniaku i zagrać w brydża, słuchając piosenek Sinatry.

– Cygaro? – zaproponował Archie Martinowi.

Martin odmówił.

– Zdaje pan sobie sprawę, że w życiu są jeszcze inne przyjemności poza pićciem, paleniem i kradzieżą obrazów?

– Dobra, dobra, oszczędź sobie pouczania mnie, ty, z tymi swoimi tanimi papierosami i dietetyczną colą! Jeśli myślisz, że to jest zdrowsze...

Martin zmarszczył brwi. Archie się uśmiechnął.

– A tak, ja również wiem o tobie co nieco, Martinie Beaumont!

– Ach, tak? A co takiego pan o mnie wie?

– Wiem, że jesteś odważny i szczerzy. Wiem, że jesteś idealistą, że można ci ufać i że właściwie masz dobre serce.

– Ale...

– Ale co?

– Jeśli ktoś zaczyna prawić litanię komplementów, to kończy się zawsze wyrzutami, prawda?

Archie wytrzeszczył oczy.

– Wyrzutami? Jeśli chcesz wiedzieć, mam ci niejedno do zarzucenia.

Martin przyjął wyzwanie.

– Dobra, zrób pan sobie przyjemność moim kosztem!

– Po pierwsze, nie rozumiesz kobiet.

– Ja nie rozumiem kobiet!

– Nie rozumiesz ich. To znaczy, umiesz zauważyć w nich to, czego nikt inny nie zauważył, ale nie rozumiesz, co do ciebie mówią, jeśli zaczynają z tobą rozmawiać. Nie rozumiesz ich języka.

– Ach tak? A pan mi go wyjaśni?

Archibald zmrużył oczy, starając się znaleźć jakiś konkretny przykład.

– Jeśli kobieta mówi ci „nie”, to często znaczy: „chyba tak, ale się boję!”.

– No...

– Kiedy mówi „być może”, często oznacza to „nie”.

– A kiedy mówi „tak”?

– Kiedy mówi „tak”, to znaczy: „być może tak”.

– A co mówi, żeby powiedzieć po prostu „tak”? Archie wzruszył ramionami.

– Po prostu „tak” nie istnieje w języku kobiet. Martin popatrzył na niego z powątpiewaniem.

– Według mnie jest pan lepszym złodziejem niż psychologiem.

– No, może ostatnio faktycznie trochę wypadłem z gry... – zgodził się Archibald.

– Może porozmawiamy o Gabrielle?

– Cały czas o niej rozmawiamy, myślałem, że zrozumiałeś, synku...

– Dlaczego starał się pan nas rozdzielić?

Archie wzniosł oczy do nieba.

– Wprost przeciwnie, ty durniu! To ja poszedłem po ciebie, to ja zrobiłem wszystko, żebyś zaczął mnie tropić, przyciągnąłem cię do San Francisco, żebyś ją odnalazł, bo wiedziałem, że ona o

tobie nie zapomniła! – podniósł głos Archie.

– No a potem?

– Potem, to prawda, przestraszyłem się i postanowiłem cię sprawdzić – zgodził się Archibald.

– Wszystko pan zepsuł!

– Nie, ponieważ gdyby nie ja, nigdy nie odważyłbyś się jej odszukać! Twoim słabym punktem, Martinie, jest strach!

Martin nie rozumiał. Archie mówił dalej:

– Znasz to zdanie Mandeli: „Bardziej boimy się światła, jakie pada od człowieka, aniżeli jego cienia”. Ty, synku, nie boisz się swoich słabości, boisz się swojej siły. To naprawdę robi wrażenie, kiedy się ma dużo atutów w rękawie, prawda? Człowiek pewnie się czuje, kiedy jest słaby, kiedy zrzuca na cały świat winę za swoje niepowodzenia...

– O co panu właściwie chodzi?

– Chcę ci dać radę: zapomnij na chwilę o tym, czego się boisz, i spróbuj być szczęśliwym.

Martin popatrzył na Archibalda. Nie zobaczył na jego twarzy ani groźby, ani wrogości. Archibald patrzył na niego z wyrozumiałością. Po raz drugi Martin poczuł, że łączy ich prawie braterska więź.

– Mówił pan, że ma pan dla mnie dwie nowiny, jedną dobrą i jedną złą.

– Właśnie do tego zmierzam.

– Jaka jest ta zła?

Archibald odczekał chwilę, po czym rzucił niespodzianie:

- Zła nowina jest taka, że tam wracasz, synku!
Położył przed Martinem kartę pokładową, na której było napisane:

| Wylot: | Miejsce przylotu: | Data: | Godzina: | Miejsce: |
|----------------|--------------------------|-----------------|-----------------|-----------------|
| Strefa odlotów | <u>Życie</u> | 26 grudnia 2008 | 07.05 | 32F |

- Nie rozumiem.
- Myślałeś, że dla ciebie to koniec z miłością, z problemami? Otóż nie, to nie jest takie proste. Wracasz zamiast mnie.
- Chce się pan zamienić?
- Tak. Karty pokładowe nie są imienne. Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy się nimi zamienili.
- Dlaczego pan to robi?
- Och, nie myśl, że to dla mnie duże poświęcenie. Tak czy inaczej nie mam już sił ani możliwości zrealizowania swoich marzeń.
- Jest pan chory?
- „Skazany” byłoby bardziej precyzyjnym określeniem. Mam obrzydliwego raka.

Martin potrząsnął głową i popatrzył ze smutkiem na Archibalda.

- A dlaczego... dlaczego ja?

Bar powoli opustoszał. Za kontuarem barman wycierał kieliszki.

- Bo tylko ty, synku, rozwiązałeś równanie. Kto miałby odwagę pójść za mną aż do końca... Okazałeś się mądrzejszy od facetów z FBI, od mafii rosyjskiej i od policji całego świata. Ty myślisz nie tylko głową, myślisz sercem. Dostałeś od życia po pysku, ale

wciąż utrzymujesz pion. W pewien sposób ty to ja, z tą różnicą, że tobie się uda tam, gdzie ja poniosłem klęskę: będziesz umiał kochać...

McLean nalał ostatnią porcję whisky, opróżniając butelkę. Uderzyli się szklankami i wymienili bilety.

Potem Archie popatrzył na zegarek i wstał.

– Przepraszam cię, ale nie mam przed sobą zbyt dużo czasu, a jeszcze muszę coś zrobić jutro rano.

Włożył płaszcz, zawahał się i dodał:

– A co do Gabrielle... Ona tylko wydaje się taka skomplikowana. W sumie łatwo ją przejrzeć. Nie pozwól, żeby cierpiała przez ciebie nawet przez chwilę.

– Obiecuję! – rzekł Martin.

– Dobrze... Nie jestem zbyt dobry w „pożegnaniach”...

– Powodzenia.

– Powodzenia, synku.

27.

Anywhere out of the world*

* *N'importe où hors du monde* (Gdziekolwiek poza światem) – cytata z wiersza Charles'a Baudelaire'a.

*Co mi zostało z tego, że cię kochałem?
Mój głos stracił echo,
Moje palce nie mają się czego przytrzymać,
Moja skóra szuka twoich dłoni
I głównie strach, że jeszcze cię Kocham,
Jutro prawie umarły.*

CHARLES AZNAVOUR

Szpital Lenox, 03.58

Po raz pierwszy od bardzo dawna szczerzy uśmiech rozświetlił twarz Claire Giuliani. Operacja miała prawidłowy przebieg. Claire otworzyła czaszkę Martina i usunęła zakrzep.

Zabieg dobiegał końca. Claire popatrzyła na monitor: stałe dane trzymały się na dobrym poziomie. Młody Francuz był naprawdę silny!

Claire była zadowolona. Z głośników podłączonych do jej iPod'a rozbrzmiewała piosenka Boba Marleya.

*

Strefa odlotów, 03.59

Na lotnisku płyta *No Woman No Cry* Boba Marleya nastawiona była na cały regulator. Martin szedł wzdłuż szklanej ściany, przez którą widać było oświetlone specjalnymi światłami pasy startowe. Ciągące się po horyzont parkingi wypełnione były dziesiątkami identycznych maszyn: dwupokładowych odrzutowców z czterema silnikami, których regularnymi przemieszczeniami kierowano z wysokiej wieży kontrolnej o niebieskawych ścianach.

Martinowi wróciła chęć do życia, a wraz z nią pewność siebie. Myślał o wszystkim, co zdarzyło się w ciągu ostatniego pół roku, od pierwszego starcia z Archibaldem na paryskim moście, aż do dzisiejszej dziwnej rozmowy w barze znajdującym się *out of the world*. Przez te pół roku, nie zdając sobie z tego sprawy, bardzo się zmienił, stał się prawdziwym mężczyzną. Ostatnia rozmowa wyzwoliła go ze strachu. Od tego momentu czuł się, jakby został pasowany na rycerza. Miał nowy cel w życiu.

W długim, oświetlonym korytarzu ścisnął w dłoni kartę pokładową, którą otrzymał od Archibalda. To był jego sezam, jego talon na powrót do życia i na odnalezienie swojej miłości.

W długim, oświetlonym korytarzu chciał biec i krzyczeć z radości.

W długim, oświetlonym korytarzu odżył.

*

Strefa odlotów, 04.21

Restauracja była pusta. Wygaszono żyrandole w wielkiej sali. Dyskretne punkty świetlne przy podłodze powodowały, że miejsce to wyglądało teraz jak dyskoteka opuszczona przez tańczących.

Zwinięta w kłębek na ławce, z kosmykami włosów przyklepionymi do spoconej twarzy Lizzie miała koszmarne sny.

Martin okrył ją swoją marynarką i usiadł naprzeciwko.

Miała czternaście lat. On wkrótce skończy trzydzieści pięć.

Mogłaby być jego córką.

Znał ją dopiero od kilku godzin, ale czuł się za nią odpowiedzialny.

Zapalił papierosa i zamknął oczy.

Dzieciństwo...

Jego dzieciństwo...

Napływały wspomnienia, ani dobre, ani złe. Były jak echo, którego nie chciał słyszeć, ale które wciąż rozbrzmiewało.

Przedmieścia, Évry...

Na podwórku szkolnym atmosfera czasem jak w więzieniu.

Żeby postępować według swoich zasad, często stawał w obronie słabszych, czasem ryzyko było wysokie: został odsunięty od grupy, brano na nim odwet, a ci, którym pomógł, nie byli mu wdzięczni.

Ale to przecież nic wyjątkowego.

Głęboko w sobie miał zakorzoną zasadę, którą uważał za coś oczywistego, że silniejszy musi chronić słabszego, a nie wykorzystywać go czy ignorować. To był dla niego ideał braterstwa ludzkiego.

Ideał, który zawsze mu przyświecał i pozwolił mu nawet w najcięższych chwilach pracy w policji patrzeć na swoje odbicie w lustrze bez wstrętu.

*

Strefa odlotów, 04.35

Archibald przyspieszył kroku. Podłoga była śliska, srebrna jak lustro.

Pokonał już wiele kilometrów, ale w którąkolwiek zwrócił się stronę, lotnisko jakby się wydłużało w nieskończoność. Przeszedł tak przez wiele terminali, wieloma ruchomymi chodnikami, minął wiele sklepów i wciąż nie mógł definitywnie oddalić się od wielkich i przezroczystych okien, które jakby łączyły budynek z niebem i morzem.

Lotnisko tak jak w Hongkongu wydawało się znajdować na sztucznej wyspie. Wszystko tu było bardzo proste, nowoczesne, zbyt nowe, wyglądało jak konstrukcja oczekująca dopiero na inaugurację.

Archie popatrzył na czas wyświetlający się na ekranach informacyjnych i zacisnął dłoń na karcie pokładowej. Do odlotu zostało mu już tylko kilka godzin, ale od chwili, gdy obudził się w tym miejscu poza światem, stanął wobec oczywistej prawdy. Może to z jego strony naiwność, może się mylił, ale musiał pójść do końca swego rozumowania. Za każdym razem, kiedy mijał jakiegoś pracownika lotniska, czy to był strażnik, czy kelner, czy sprzedawca, czy sprzątaczkę, zadawał im to samo pytanie. Na początku żadna odpowiedź go nie usatysfakcjonowała, ale w pewnym momencie sprzedawczyni ciasteczek beżowych w stoisku Ladurée naprowadziła go na ślad i przywróciła mu nadzieję.

Czuł, że zbliża się chwila prawdy, którą mógł odkupić wszystkie inne.

Bo przecież oprócz nieszczęść życie przynosiło również chwile łaski. Dlaczego śmierć miałaby być czymś innym?

*

Strefa odlotów, 06.06

Lizzie obudził zapach gorącej czekolady.

Kiedy otworzyła oczy, nad pasami startowymi wstawał dzień. Słońce za chwilę wystrzeli pierwszymi promieniami na niebie jeszcze różowoliliowym.

Mimo że przespała całą noc, Lizzie nie czuła się zbyt pewnie: ubranie miała zmięte, włosy potargane, a paznokcie obgryzione do krwi.

Przetarła powieki i dopiero po chwili uświadomiła sobie, gdzie się znajduje. Z lękiem spojrzała na ścienny zegar, a potem na szklany ekran informujący o odlotach.

Pogrzebała w kieszeniach i wyjęła swój bilet.

| Wylot: | Miejsce przylotu: | Data: | Godzina: | Miejsce: |
|----------------|--------------------------|-----------------|-----------------|-----------------|
| Strefa odlotów | <u>Śmierć</u> | 26 grudnia 2008 | 09.00 | 6B |

Już tylko trzy godziny dzieliły ją od podróży. Tylko trzy godziny, zanim...

– Jogurt grecki, świeże maliny, liczi, grzanki i dobra, gorąca czekolada! – rzucił Martin wesoło, stawiając na stoliku tacę ze śniadaniem.

Uśmiechnął się do niej i usiadł obok. Posmarował jej kanapkę masłem.

Lizzie wypłała łyk czekolady i ugryzła kawałek grzanki. Nie można było żyć tylko powietrzem, nawet w strefie odlotów.

– O, był listonosz! – zażartował Martin, wręczając jej kopertę.

Lizzie wzięła od niego list i patrzyła na niego z niezdecydowaniem. Nie ruszała się.

– No, otwórz!

Otworzyła kopertę i znalazła w niej nowy bilet.

| Wylot: | Miejsce przylotu: | Data: | Godzina: | Miejsce: |
|----------------|--------------------------|-----------------|-----------------|-----------------|
| Strefa odlotów | <u>Życie</u> | 26 grudnia 2008 | 07.05 | 32F |

– Godzina lotu jest wcześniejsza – wyjaśnił Martin – ale zmieniło się miejsce przylotu.

- To znaczy, że nie umrę? – spytała z nadzieją Lizzie.
 - Nie, Lizzie, nie umrzesz.
- Usta dziewczyny drżały i coś ścisnęło ją w gardle.
- Ale jak...
 - To dzięki Archibaldowi – powiedział Martin. – Temu panu, który tu z nami był wczoraj wieczorem. Zostawił swój bilet dla ciebie.
 - Dlaczego?
 - Bo on jest bardzo chory i niewiele życia mu zostało.
 - Nawet mu nie podziękowałam!
 - Ja to zrobiłem za ciebie – powiedział Martin.
- Do oczu Lizzie napłynęły łzy.
- A pan?
 - Nie martw się o mnie – odpowiedział Martin, starając się uśmiechnąć. – Ale mam do ciebie prośbę...
 - Prośbę? – powtórzyła Lizzie, wycierając oczy rękawem.
 - Mówiłaś mi, że mieszkasz na Pacific Heights...
 - Tak, tuż za Lafayette Park.
 - Więc jeśli naprawdę jesteśmy nieprzytomni, obudzisz się w szpitalu Lenox.
 - Do tego szpitala trafiłam, kiedy zraniłam sobie podbródek, grając w koszykówkę!
- Lizzie pokazała mu niewielką bliznę zaczynającą się w kącie ust.
- Och! – przeraził się Martin. – Nie bolało cię?
 - Nie, jestem twarda! – powiedziała Lizzie z dumą.
- Martin mrugnął wesoło i wyjaśnił, czego od niej oczekuje.

- Kiedy odzyskasz przytomność, poproś o spotkanie z kobietą, która ma na imię Gabrielle.
- Czy to jest lekarka?
- Nie, to kobieta... Kobieta, którą kocham.
- Lizzie nie mogła powstrzymać ciekawości.
- A ona kocha pana?
- Tak – odpowiedział Martin. – Ale to skomplikowana sprawa... Wiesz coś o tym, prawda?
- Dobrze wiem. Historie miłosne to skomplikowane sprawy nawet dla dorosłych, prawda?
- Martin kiwnął głową.
- Tak, to nigdy nie jest proste. Ale jeśli któregoś dnia trafi się na właściwą osobę, a ten dzień będzie właściwym momentem, to podobno wtedy wszystko staje się jasne i proste.
- Lizzie pokiwała głową.
- A ta Gabrielle jest tą właściwą osobą?
- Tak! – uśmiechnął się Martin. – I to jest właściwy moment.
- Co mam jej powiedzieć?

*

Szpital Lenox, 06.15

- Doktorze Elliott, mamy problem z tajemniczym pacjentem!
- Elliott wziął od pielęgniarki wynik tomografii wątroby. Archibald miał krwotok wewnętrzny. Lekarz włożył oku ary. Rana

była głęboka, tworzył się duży wylew za prawym płatem.

Jak to możliwe? Kiedy kilka godzin wcześniej robił mu operację, niczego takiego nie zauważył.

Trzeba było znów otwierać pacjenta, i to szybko, mimo że to groziło mu śmiercią.

Ach, cholera by to wzięła! – zaklął w duchu Elliott.

*

Strefa odlotów, 06.56

– Hej, Lizzie!

Przed wyjściem numer 6 stała zmniejszająca się wciąż kolejka pasażerów szczęśliwców, tych, którzy „wracali”.

Dziewczyna się odwróciła. Martin chciał jej jeszcze coś powiedzieć.

– Obiecujesz, żadnych głupstw?

Lizzie spuściła głowę.

– Żadnej trutki na szczury, żadnego płynu chwastobójczego, podcinania sobie żył, narkotyków... Obiecujesz?

– Obiecuję! – Lizzie uśmiechnęła się słabo.

Pierwszy uśmiech od dawna.

– A poza tym, nie przejmuj się: miłość jest fantastyczna, ale w życiu zdarza się wiele innych fantastycznych rzeczy.

– Wiele innych? – spytała Lizzie z poważną miną.

Nie, tylko to się liczy. Tylko to jest naprawdę ważne... – pomyślał Martin, ale postanowił dodać odwagi odjeżdżającej Lizzie.

– Rodzina, przyjaciele, podróże, książki, muzyka, filmy... To też jest fajne, prawda?

– No, tak... – zgodziła się Lizzie, ale bez entuzjazmu.

Już tylko ona została z całej kolejki.

– No, szczęśliwej podróży! – Martin klepnął ją delikatnie w ramię.

– Do zobaczenia, prawda? – spytała nieśmiało Lizzie Martina, wręczając stewardesie kartę pokładową.

Martin uśmiechnął się do niej i pomachał ręką. Po czym Lizzie znikła.

*

07.06

Claire Giuliani wychyliła się przez okno swego liliowego garbusa.

– No, rusz się, staruszkule! – krzyknęła w stronę kierowcy dużego samochodu, który jechał powoli przed nią.

Stali w korku.

– Cholera, siódma rano, Boże Narodzenie, i już korek! – zirytowała się Claire.

Do tego jeszcze lało, a jej stary samochód zdecydowanie nie lubił deszczu.

W środku było pełno dymu papierosowego i na cały głos rozbrzmiewała gitara Doorsów z pijackim bełkotem genialnego Jima Morrisona. Była to spiratowana wersja *L.A. Woman*.

Nagle w środku piosenki jeden z członków zespołu wpadł na dziwny pomysł zagrania na klawesynie kilku taktów z muzyki Mozarta.

Claire zdusiła papierosa i zmarszczyła brwi.

Nie, to nie była piosenka, to po prostu zadzwoniła jej komórka.

Z drugiej strony usłyszała głos tej miłej pielęgniarki, którą poprosiła, żeby ją zawiadomiła, gdyby zaszła jakaś poważna zmiana w stanie operowanych pacjentów.

Najwyraźniej stan Martina Beaumonta nagle się pogorszył. Tomografia pokazywała wylew w okolicy trzustki. Dziwne. Dziś w nocy rana nie wydawała się tak poważna...

Trzeba było znów operować, ale czy organizm pacjenta to wszystko wytrzyma?

*

Szpital Lenox

Poczekalnia w izbie przyjęć, 07.32

Gabrielle wsunęła dwie monety do automatu z kawą.

Od dwóch dni nie zmrużyła oka.

W uszach jej szumiąło, nogi miała jak z waty, ciało przebiegały dreszcze, nie wiedziała, czy jest dzień, czy noc, południe czy północ.

Rozmawiała długo z Elliottem, którego znała od dawna, i z tą młodą chirurg, która operowała Martina. Oboje lekarze zostawili jej niewiele nadziei.

– Czy pani nazywa się Gabrielle?

Odwróciła się i zamglonymi oczami popatrzyła na mężczyznę mniej więcej w jej wieku, w podobnie wygniecionym ubraniu, z podobnie zmęczoną twarzą i zaczerwienionymi oczami. Jednak w spojrzeniu mężczyzny widać było ulgę.

– Moja córka Lizzie właśnie odzyskała przytomność. Zatrula się – wyjaśnił. – Pierwsze, o co poprosiła, to możliwość zobaczenia się z panią.

– Co pan mówi, bo nie rozumiałam?

– Lizzie ma dla pani jakąś wiadomość.

– To na pewno pomyłka, ja nie znam żadnej Lizzie – odpowiedziała Gabrielle zobojętniała na wszystko z wyjątkiem własnego cierpienia.

Mężczyzna pociągnął ją za rękaw, mówiąc błagalnym tonem:

– Przez trzy ostatnie lata, od kiedy rozszedłem się z żoną, nie zauważyłem nawet, jak moja córka urosła. Żałuję, że nie rozmawiałem z nią wystarczająco często, czy też raczej nie zwracałem uwagi na to, co ona do mnie mówi. Myślę, że teraz oboje jesteśmy gotowi to zmienić, porozumieć się i bardziej sobie zaufać. Kazała mi obiecać, że zrobię wszystko, aby panią do niej przyprowadzić, będę więc uparty: proszę mi poświęcić tych kilka minut.

Gabrielle nadludzkim wysiłkiem otrząsnęła się z apatii.

– Mówi pan, że ona ma dla mnie wiadomość?

– Tak, od jakiegoś Martina.

*

Szpital Lenox

Blok operacyjny numer 1 i 2, 07.36

Elliott otworzył brzuch Archibalda długim cięciem sięgającym mostka.

Claire nacięła brzuch Martina.

Pokaż mi, co masz tam w środku, przystojniaku!

– pomyślała.

Elliott ujął wątrobę Archibalda w dłonie, dokładnie oglądając każdą ranę i starając się zatrzymać krwotok.

Wszędzie krew! – pomyślała Claire. Tampony, hemostaza, drenaż: Claire zrobiła wszystko, co możliwe, żeby zahamować krwotok.

Rana była głęboka i bardzo krwawiła. Elliott rozsunął jej brzegi, żeby się jej przyjrzeć dokładniej i naprawić to, co było możliwe do naprawienia, po czym zaczął zakładać potrójny szew, mając nadzieję, że będzie mógł zszyć przerwane tkanki rozpuszczalną nicią.

Claire patrzyła przez chirurgiczne okulary na ranę, starając się ocenić jej wielkość. Niepokoiło ją to, co widziała. Podejrzewała uszkodzenie przewodu Wirsunga i dwunastnicy. Nie masz szczęścia, przystojniaku! – pomyślała. Na razie nie mogła wiele zrobić. Kiedy stan pacjenta się ustabilizuje, trzeba będzie operować trzeci

raz i spróbować bardziej inwazyjnego zabiegu. Ale czy pacjent w ogóle przeżyje do tego czasu?

Elliott pracował bardzo szybko, ale czuł, że Archibald nie wygra swojej ostatniej walki. Wiele razy robiono mu transfuzję i wytrzymał już i tak dużo więcej, niż można było oczekiwać. Wiek, choroba, liczne obrażenia, jeden po drugim organy wewnętrzne poddają się...

Kiedy granice wytrzymałości ciała zostaną osiągnięte, kiedy życie zacznie z niego uciekać, już nie można się temu przeciwstawić.

*

Szpital Lenox

Oddział intensywnej terapii, 07.40

– Twój ojciec mnie tutaj przysłał. Podobno chcesz ze mną rozmawiać.

– Tak.

Lizzie miała ściśnięte gardło i była przezroczysta. Patrzyła na Gabrielle z mieszaniną fascynacji i współczucia.

– Byłam tam z nimi... – zaczęła.

– Gdzie? Z kim? – spytała zimno Gabrielle.

– Z Martinem i z Archibaldem, tam, w stanie śpiączki.

– Byłaś w stanie śpiączki w tym samym czasie co oni – poprawiła ją Gabrielle.

– Nie! – zaprotestowała Lizzie słabym głosem. – Byłam z nimi.

Rozmawiałam z nimi i Martin poprosił mnie, żebym pani przekazała wiadomość.

Gabrielle podniosła rękę, żeby przeszkodzić Lizzie w mówieniu.

– Posłuchaj, jest mi przykro. Z pewnością jesteś wyczerpana i to, co się wydarzyło, pomieszało ci trochę w głowie. Ja nie wierzę w takie rzeczy.

– Wiem. Martin mnie uprzedził, że pani nie uwierzy.

– No więc?

– Kazał mi się nauczyć na pamięć całego zdania: „Droga Gabrielle, chcę Ci po prostu powiedzieć, że jutro wracam do Francji i że nic nigdy nie będzie się dla mnie tak liczyło jak te kilka chwil spędzonych z Tobą”.

Gabrielle zamknęła oczy. Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach. Pierwsze zdanie pierwszego listu, tego, od którego wszystko się zaczęło...

– Martin poprosił mnie, żebym pani powiedziała, że on się zmienił – ciągnęła Lizzie – że rozumiał pewne sprawy i że pani ojciec był przyzwoitym człowiekiem.

Mimo cierpienia Gabrielle nie była gotowa na przyjęcie tych informacji, ale musiała spojrzeć prawdzie w oczy: to, co mówiła dziewczyna, nie było wyssane z palca.

– Powiedział ci coś jeszcze? – Gabrielle przysiadła na brzegu łóżka.

Lizzie drżała, okryta cienką piżamą szpitalną. Przymknęła oczy, żeby się skoncentrować.

– On nie chce, żeby pani się o niego martwiła.

Matczynym gestem Gabrielle otuliła Lizzie prześcieradłem i odsunęła jej z czoła opadający kosmyk.

– Martin mówi, że znajdzie sposób, żeby wrócić...

Lizzie mówiła z coraz większą trudnością:

– Kiedy zamyka oczy i wyobraża sobie was oboje później, zawsze nawiedza go ten sam obraz: widzi słońce i słyszy dziecięcy śmiech...

Gabrielle usłyszała już wszystko, co chciała usłyszeć. Pieszczotliwym gestem otarła czoło Lizzie, dając jej do zrozumienia, że dziewczyna może już odpocząć.

Potem wstała i jak lunatyczka wyszła z pokoju chorej. Przeszła przez wiele korytarzy, wreszcie opadła na jakieś krzesło i zakryła twarz rękami.

Była kompletnie zagubiona, ale usłyszała jakiś głos. Bliski i daleki zarazem, głos z przeszłości, który czytał stary list, list sprzed trzynastu lat:

Jestem tu, Gabrielle, na drugim brzegu.

Czekam na Ciebie.

Rozdzielający nas most wygląda, jakby był w złym stanie, ale jest solidny, zbudowany z pni stuletnich drzew, które oparły się wielu burzom.

Rozumiem, że boisz się po nim przejść.

Wiem, że może nigdy się na to nie zdobędziesz.

Ale zostaw mi trochę nadziei.

Gabrielle zerwała się z krzesła. Strach ustąpił miejsca determinacji. Jeśli Lizzie mówiła prawdę, może ktoś będzie w stanie pomóc Martinowi i Archibaldowi.

Przywołała windę, żeby zjechać na podziemny parking, gdzie stał jej samochód. Poczekwała kilka sekund, aż wreszcie niecierpliwie zbiegła ze schodów. Serce waliło jej w piersiach.

Przekonasz się, Martinie Beaumont, jak ja boję się przejść przez most. Zobacysz, czy boję się pójść po ciebie... – pomyślała.

*

Strefa odlotów, 07.45

Archibald wciąż szedł przez strefę odlotów.

Coraz szybciej, coraz dalej.

Im dalej szedł, tym bardziej strefa pustoszała. Podłoga była coraz bardziej błyszcząca, szyby w wielkich oknach coraz cieńsze, coraz bardziej przezroczyste, korytarze coraz dłuższe, zalane światłem przyprawiającym o zawrót głowy.

Teraz wiedział, że nie jest to miejsce niebezpieczne, bo pokonał wszystkie napotymane trudności.

Strefa odlotów nie jest miejscem, w którym wszystko się kończy, ale miejscem, w którym wszystko się zaczyna.

Nie jest miejscem przypadków, ale miejscem zaplanowanych spotkań.

Miejscem, w którym łączy się przeszłość, teraźniejszość i przyszłość.

Miejscem, w którym wiara zastępuje status społeczny.

Miejscem, gdzie miłość zastępuje strach.

*

08.01

Uporczywie padający deszcz, błyskawice i grzmoty nękały miasto od wielu godzin.

Gabrielle podniosła dach swego kabrioletu, ale tak lało, że przednią szybę miała cały czas mokrą i wycieraczki starego forda mustanga nie nadążały z odprowadzaniem wody.

Młoda kobieta знаła drogę na pamięć, ale musiała się bardzo skupić, żeby nie przegapić zjazdu numer 33, który prowadził do mało urokliwej dzielnicy południowego przedmieścia, w której zgrupowano budynki administracyjne.

Zaparkowała samochód przed dziesięciopiętrowym szarym budynkiem: to była przychodnia Mount Sinery.

W holu sekretarka przywitała ją, mówiąc do niej po imieniu, i wręczyła jej identyfikator z napisem „Gość”. Gabrielle podziękowała i windą wjechała na ostatnie piętro, tam gdzie znajdowali się pacjenci, których stan wymagał długiego pobytu w szpitalu. Od prawie trzynastu lat gesty, które wykonywała raz w tygodniu, stały się prawie mechaniczne.

Ostatni pokój w ostatnim korytarzu nosił numer 996.

Gabrielle weszła do niego i zbliżyła się do okna. Podniosła story i wpuściła do pomieszczenia trochę szarówki z zewnątrz.

Potem spojrzała na łóżko i powiedziała:

– Dzień dobry, mamó.

28.

Będę wciąż cię kochał...

Orkiestra przestanie grać, aleja będę tańczył...

Samoloty przestaną latać, będę latał sam...

Czas się zatrzyma, aleja będę wciąż cię kochał.

Nie wiem gdzie, nie wiem jak,

Ale wciąż będę cię kochał...

Czas, który pozostał, piosenka napisana przez

JEAN-LOUP DABADIEGO

i wykonywana przez

SERGE'A REGGIANIEGO

Strefa odlotów, 08.15

– Dzień dobry, Valentine.

Valentine z sekatorem w jednej dłoni i konewką z błyszczącego metalu w drugiej szykowała się do otwarcia swego sklepu. Pośród szklanych ścian i niepokalanie białych murów lotniska jej wystawa zwracała uwagę swoją oryginalnością. Miała w sobie coś z urokliwej przeszłości i przypominała kwaciarnie paryskich przedmieść.

Valentine odwróciła się. Oczywiście postarzała się. Twarz jej nosiła stygmaty upływającego czasu, ale krótkie włosy, sportowy wygląd i siła spojrzenia przypominały młodą wspaniałą kobietę,

którą kiedyś była. Wciąż miała w sobie to magiczne „coś”, co w oczach Archibalda czyniło ją delikatniejszą od rzeźb Michała Anioła, bardziej harmonijną niż portrety Leonarda da Vinci, bardziej zmysłową niż modelka Modiglianiego.

Gardła się zacisnęły, spojrzenia pobiegły za sobą, oczy się zamgliły.

– Wiedziałam, że w końcu przyjdiesz... – powiedziała i przytuliła się do męża.

*

Przedmieście San Francisco Centrum Rehabilitacji Mount Sinery, 09.01

Gabrielle podeszła do łóżka i ujęła dłoń matki w swoją. Twarz Valentine wydawała się poważna, jej oddech był równy, ale oczy, mimo że szeroko otwarte, patrzyły desperacko w pustkę.

– Mamo, źle się czuję, nie mogę się pozbierać...

Valentine zapadła w śpiączkę w grudniu 1975 roku na skutek wylewu, którego doznała bezpośrednio po porodzie. Od trzydziestu trzech lat kroplówki i sonda pokarmowa utrzymywały ją sztucznie przy życiu, wspomagane troskliwą opieką pielęgniarek i fizykoterapeuty, który każdego dnia ją masował, żeby nie wytworzyły się odleżyny.

Gabrielle pogładziła delikatnie czoło matki, odsuwając z niego kosmyk włosów, tak jakby chciała ją uczesać.

– Mamo, wiem, że to nie twoja wina, ale tak bardzo było mi ciębie brak przez te wszystkie lata...

W pierwszych miesiącach po wypadku lekarze zdiagnozowali stan wegetatywny. Nie mieli wątpliwości: Valentine nie była świadoma i nie było żadnej nadziei na to, że któregoś dnia stan jej się polepszy.

– Od tak dawna czuję się samotna i porzucona – poskarżyła się Gabrielle.

Nawet jeśli czasem było głośno w prasie o tych cudownych przypadkach wybudzenia się ze śpiączki, lekarze byli zgodni co do tego, że jeśli pacjent nie daje żadnego znaku świadomości po upływie roku, szanse na to, że mózg zacznie z powrotem normalnie funkcjonować, są nikłe.

Ale jednak...

Jednak trudno było w to nie wierzyć.

Valentine przechodziła okresy półświadomości, przytomności i okresy snu. Oddychała samodzielnie, czasem jęczała, ruszała się, nawet gwałtownie, ale lekarze mówili, że chodzi o odruchy, a nie o świadome gesty.

– Bez kogoś bliskiego nie będę miała siły tego ciągnąć. Takie życie zabija mnie.

Gabrielle przeczytała dziesiątki książek, odwiedziła setki stron internetowych poświęconych temu problemowi. Szybko zrozumiała, że nawet dla specjalistów stan wegetatywny jest tajemnicą. Nikt tak naprawdę nie wie, co się dzieje w głowie chorych...

– Mamo, to wszystko na pewno ma jakiś sens. Przeżyłaś trzydzieści lat jak żywcem zamurowana. Jeśli twoje ciało wytrzymało, to chyba jest w tym jakiś cel?

Dziesięć lat po wypadku matka Valentine chciała zrezygnować z dalszego utrzymywania córki przy życiu. Po co było się upierać? Dlaczego odsuwać od siebie w nieskończoność okres przeżycia żałoby? Wiele razy prawie już dawała zgodę, żeby córkę odłączyć od tych rurek i niechby umarła w sposób naturalny, przez odwodnienie organizmu. Ale w końcu nigdy nie mogła się na to zdecydować. Zasadniczą rolę odegrał tu Elliott Cooper, który z poświęceniem zajmował się Valentine, każdego roku zlecając mnóstwo badań i ponawiając rezonans magnetyczny, licząc na to, że zadziałają nowe metody leczenia.

Analizując białą materię mózgu Valentine, Elliott nabrał przekonania, że przedłużenia neuronów, które zostały przerwane przez wylew, powoli się zregenerowały, ale nie na tyle, aby Valentine się obudziła.

Dla Elliotta mózg Valentine żył. Był w stanie czuwania po przejściu stadiów od kompletnej śpiączki do stadium półświadomości i ustabilizował się w stanie minimalnego kontaktu na bodźce zewnętrzne.

Gabrielle zbliżyła się do matki. Na dworze szalała burza z piorunami i deszcz uderzał w szyby, powodując drżenie starych, zespanych stor.

– Jeśli jest choć trochę prawdy w tym, co wokół słyszę... Jeśli mnie słyszysz, jeśli ty również jesteś tam, z nimi... musisz mi pomóc!

Gabrielle często miała wrażenie, że jej matka się uśmiecha, kiedy ona wchodzi do pokoju albo kiedy opowiada coś zabawnego. Lubiła myśleć, że jej oczy zachodzą łzami, kiedy zwierza się ze swoich kłopotów, albo że matka wodzi za nią wzrokiem, kiedy

ona krąży po pokoju. Ale czy tak było naprawdę, czy to były tylko jej wyobrażenia?

– Mamo, spraw, żeby zdarzył się cud! – błagała. – Znajdź sposób, żeby sprowadzić Martina do mnie. Pragnę tylko jego, tylko jego kocham i tylko dzięki niemu stanę się taka, jaką pragnę być...

*

Strefa odlotów, 08.23

Valentine i Archibald stali objęci pośród świeżych kwiatów: pośród lawendowych róż, malinowych, rajskich ptaków i perłowych storczyków i lili.

– Widzisz, dotrzymałem obietnicy – powiedział Archibald. – Mówiłem ci, że wszędzie cię znajdę i przyjdę po ciebie, jeśli kiedyś miałbym cię stracić.

Valentine spojrzała na niego czule.

– Nigdy mnie nie straciłeś, Archie.

– Ale nasze szczęście tak krótko trwało... Zaledwie kilka miesięcy...

– Lecz nigdy tak naprawdę się nie rozstaliśmy. Przez te wszystkie lata byłam przy Gabrielle i przy tobie, zawsze nad wami czuwałam.

Od Valentine bił spokój i zaufanie. Archibald, przeciwnie, był zestresowany, pełen wyrzutów sumienia i poczucia winy.

– Wyglądasz na szczęśliwą – stwierdził.

– To dzięki tobie, kochanie. Już ci mówiłam, to ty mnie

wyleczyłeś. Bez wspomnień o tobie nie miałabym odwagi czekać tak długo...

– A ja wszystko zepsułem, Valentine, wybac mi to. Nie umiałem wychować naszej córki, nie umiałem jej kochać ani jej pomóc. Dla mnie życie bez ciebie nie miało żadnego sensu.

Valentine pogładziła go po twarzy.

– Wiem, że robiłeś, co mogłeś, Archie. I nie myśl, że mam do ciebie żal.

Archibald popatrzył na niewielki zegar stojący obok kasy. Minuty mijały bardzo prędko. Ledwo odnalazł Valentine, już bał się, że znowu ją straci.

– Muszę iść – powiedział, wyjmując swój bilet.

Po jego twarzy spłynęła łza, która szybko znikła. Pierwsza łza od trzydziestu trzech lat.

– Tak ciężko tracić cię znów! – powiedział, schylając głowę.

Valentine otworzyła usta, żeby mu odpowiedzieć, ale nagle usłyszeli gwałtowny hałas. Odwrócili się oboje.

Zanim sobie to uświadomili, korytarz, którym Archibald się tu dostał, zamknął się. Teraz za nimi znajdowała się szklana ściana, o którą jakiś mężczyzna uderzał palcami, starając się do nich dotrzeć.

Przecież to Martin! – uświadomił sobie Archibald. Ruszył w kierunku szklanej ściany.

Martin nie odleciał... Oczywiście, że nie. Na pewno zostawił swój bilet tej dziewczynce... – myślał dalej Archibald, wcale niezdziwiony.

Martin uderzał teraz w szklaną ścianę ramieniem, a potem zaczął w nią kopać. Bez rezultatu.

Archibald chwycił metalowe krzesło stojące w drzwiach sklepi-ku Valentine i rzucił nim z całej siły w szklany mur. Krzesło po-wróciło do niego jak bumerang. Rzucił nim jeszcze raz. Nadal bez rezultatu.

Nie było rady.

Obaj mężczyźni patrzyli na siebie przez szybę, dzielili ich nie-całe trzy metry.

Tak daleko, tak blisko.

Czuli na sobie oddech śmierci.

Dlaczego strefa odlotów wystawiała ich na jeszcze jedną próbę?

Archibald popatrzył na Valentine, szukając u niej mądrości, któ-rej mu zabrakło.

Valentine podeszła do szyby. Wiedziała, że w centrum strefy od-lotów, tak jak w każdym z nas, wciąż walczą ze sobą przeciwstaw-ne siły.

Walka światła z ciemnością.

Walka anioła z diabłem.

Walka miłości ze strachem.

– Wszystko ma swoją logikę – powiedziała, spoglądając na Archibalda. – Wszystkie nasze czyny mają jakiś sens. Rozwiązanie znajdujemy zawsze w nas samych.

Martin usłyszał jej słowa.

Czuł, że szklana ściana wyobraża jego strach. Ten strach, które-go nigdy nie zwalczył.

Jeśli miłość była nań jedynym lekarstwem i jeżeli rozwiązanie wszystkich problemów znajdujemy w nas samych, to...

Brylant – pomyślał. – „Klucz do raju”.

Pogrzebał w kieszeni marynarki. Owalny kamień wciąż tam był, fascynując głębokim błękitem. Był symbolem czystości i szczęścia, jeśli nie znalazł się w rękach osoby chciwej czy próżnej.

Zbliżył kamień do szklanej ściany.

Miał całe mnóstwo wad, ale nie był ani chciwy, ani próżny.

Jeśli się dobrze zastanowić, to w posiadanie brylantu wszedł pod wpływem miłości do Gabrielle. Miłości niezdarnej, niedojrzałej, ale silnej i prawdziwej.

Przyłożył ostry czubek kamienia do szklanej ściany i silnie przyciskając go do szyby, narysował na niej łuk.

Dobry pomysł, synku! – pomyślał Archibald, chwytając krzesło i rzucając nim w szkło.

Tym razem szyba rozpadła się w tysiąc kawałków, uwalniając Martina.

– I co teraz? – spytał Archibald.

– Teraz pozwól mi mówić – powiedziała Valentine.

*

Strefa odlotów, 08.40

Promyk słońca uderzył w wyłożoną drewnem wystawę sklepiku i błysnął w boazeriach.

Valentine poprosiła Martina, żeby usiadł przy długim stole ustawionym przed sklepem. Widać na nim było wazony z pomysłowymi ułożonymi bukietami kwiatów. Dzikie irysy mieszały się z jaskrawymi makami, z ognisto-pomarańczowymi słonecznikami,

z różnobarwnymi tulipanami, z czerwonymi jak krew goździkami.

– Wiesz, że ja ciebie dobrze znam... – zaczęła Valentine.

Otworzyła termos w skórzanym futerale i naląła dwie filiżanki herbaty.

– Przez ostatnie lata Gabrielle tyle mi o tobie opowiadała: Martin to, Martin tamto...

Gesty Valentine były powolne i stateczne, jakby nie zdawała sobie sprawy z tego, że czas nagli.

– On również często mi o tobie opowiadał – powiedziała, wskazując na męża.

Archibald stał w pewnej odległości od nich, przy wyjściu prowadzącym do samolotu. Denerwował się, bo zaczęła się już procedura odprawy pasażerów. Gęsty, milczący tłum posłusznie spieszył do samolotu, w którym obydwaj mężczyźni mieli zarezerwowane miejsca.

– Nie było tygodnia, żeby mi o tobie nie mówił, synku – żartowała Valentine.

Martin patrzył na nią zafascynowany: taki sam głos jak córki, taka sama dumna postawa, tak samo intensywne spojrzenie.

– Wiesz, dlaczego Gabrielle nie przyjechała do Nowego Jorku na wasze spotkanie? – zaczęła Valentine.

Twarz Martina stwardniała i przez kilka sekund pytanie, które tyle lat go męczyło, zawisło boleśnie w powietrzu.

– Na jesieni tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku umierająca babka Gabrielle zostawiła jej list, w którym zawiadamiała ją o moim istnieniu. Rozumiesz, przez dwadzieścia lat

moja córka myślała, że ja umarłam, a tymczasem ja żyłam, tylko byłam w śpiączce.

A więc to było tak! – pomyślał Martin z ulgą. Odwrócił głowę i spojrzenie jego pobiegło do kolorowych kul bukietu, w którym kwiat zwany księżycowym* sprawiał wrażenie, jakby został zamieniony w lodową rzeźbę.

* *Epiphyllum oxypetalum* – roślina zwana w Polsce „kwiatem jednej nocy”, kwitnie raz w roku, zawsze wieczorem, i więdnie następnego dnia rano.

– Gabrielle dowiedziała się o tym w dzień Bożego Narodzenia – ciągnęła Valentine. – Już była spakowana, żeby jechać do ciebie, ale ta wiadomość ją załamała. Na początku całe dnie spędzała w szpitalu przy mnie, błagając, żebym się obudziła. Przez trzy lata przychodziła codziennie, wierząc, że to się wreszcie dzięki niej stanie.

Głośniki lotniska zaczęły wywoływać po nazwisku spóźnionych pasażerów, prosząc ich o podejście do stoiska odpraw.

Obojętna na to Valentine wypła łyk herbaty.

– Nie musisz się bać, Martinie. Gabrielle jest dokładnie taka, jak myślisz. Jest zakochana w tobie, jest wierna, dla niej miłość oznacza „wszystko dla drugiej osoby”. Jak długo będziesz jej oddany, tak długo ona będzie oddana tobie.

– Ale ja nie mogę wrócić – powiedział Martin, pokazując swój bilet.

– Ależ możesz! – powiedziała Valentine, wyjmując z kieszeni bolerka żółtawy kartonik spięty drucikiem do przytrzymywania kwiatów.

Martin przyjrzał się kartonikowi. Był to bardzo stary bilet i wyglądał dziwnie.

| Wylot: | Miejsce przylotu: | Data: | Godzina: | Miejsce: |
|----------------|--------------------------|--------------|-----------------|-----------------|
| Strefa odlotów | <u>Życie</u> | — | — | — |

- Dlaczego nie ma daty i godziny powrotu ani miejsca?
- Bo to jest bilet typu *open* – odpowiedziała Valentine. – Polecisz, kiedy będziesz chciał.

Martin zaniemówił. Nie był pewien, czy dobrze rozumie.

- Miała pani powrót otwarty przez trzydzieści trzy lata? Dlaczego pani nie wróciła?

Valentine podniosła ostrzegawczo dłoń.

- Kiedy znalazłam się w śpiączce, wszystko słyszałam. Zwłaszcza ponure prognozy lekarzy. Wróciłabym do życia, ale w jakim stanie? Po moim wylewie dostałam kompletnego nieodwracalnego paraliżu. Nie chciałam być ciężarem ani dla Archibalda, ani dla Gabrielle. Wybierając pozostanie tutaj, stałam się Śpiącą Królową. Rola dużo łatwiejsza niż rola rośliny ze świadomością w oczach. Rozumiesz?

Martin kiwnął głową.

- A teraz chciałabym, żebyś mi oddał przysługę, Martinie.
- Chciałaby pani, żebym przyjął pani bilet?

Valentine schyliła głowę. Lekkie promienie wschodzącego słońca pieściły lilie ustawione przed nią w ciemnoniebieskim wazonie z chińskiej porcelany.

- Przede wszystkim chcę, żebyś mi oddał swój...

29.

Eternally yours

*Pocałunek robi mniej hałasu niż strzał
armatni, ale echo jego trwa dłużej.*

OLIVER WENDELL HOLMES

Strefa odlotów

Pas numer 1, 09.00

Samolot przykołował na początek pasa i stanął.

– Odlot za minutę! – rozległ się kobiecy głos z kabiny pilota.

Maszyna miała wielkie okna, wygodne fotele, a przejścia między rzędami siedzeń były jasno oświetlone.

Valentine złapała Archibalda za rękę.

– Wiesz, pierwszy raz lecimy razem samolotem.

– Boisz się? – spytał.

– Z tobą nie boję się niczego.

Pochylił się i pocałował ją nieśmiało, jakby to był pierwszy raz.

Strefa odlotów

Pas numer 2, 09.00

Dotarłszy do krańca pasa wielki odrzutowiec stanął, czekając na zezwolenie startu. Cztery silniki cicho mruczały.

Siedząc przy oknie, Martin czuł, że oczy go pieką. Zmęczenie? Oślepiające słońce, które odbijało się od asfaltu? Presja ostatnich dni? A może pustka, którą czuł w trzewiach po tej podróży do własnej głębi, dręczącej, ale zbawiennej?

*

Oba samoloty stały naprzeciw siebie, na równoległych pasach, lecz skierowane dziobami w przeciwne strony.

W tej samej chwili ruszyły, rozpędziły się, aż zadrgał asfalt pod naciskiem ich kół.

W momencie kiedy się mijały, szarpnął nimi rodzaj dziwnej interferencji, przypominając pasażerom, że słowo *Ja mort* różni się od słowa *l'amour* tylko dwiema głoskami.

– Teraz jesteśmy już na zawsze razem! – stwierdziła Valentine.

Archibald kiwnął głową i jeszcze mocniej ścisnął dłoń żony. Od dnia, w którym ją zobaczył, nigdy już nie zapragnął nikogo innego na świecie.

Chciał być tylko z nią.

Na zawsze.

*

Kiedy skończył się pas startowy, obie srebrzyste maszyny z wdziękiem podniosły dzioby.

Oderwały się od ziemi.

W tym momencie Martin poczuł silny ból w całym ciele, miał wrażenie, że staje w płomieniach.

A potem wszystko stało się białe...

*

San Francisco

Szpital Lenox, 09.01

Doktor Elliott stał przy łóżku przyjaciela i wpatrywał się w ekran, na którym linia życia była rozpaczliwie płaska. Obok niego młody lekarz stażysta nie rozumiał, co powstrzymuje jego szefa od stwierdzenia zgonu.

– To już koniec, doktorze, prawda?

Elliott go nie usłyszał. Archibald miał tyle lat co on. Byli z tego samego pokolenia i znali się od ponad trzydziestu pięciu lat. Odejście przyjaciela było dla niego bardzo bolesne.

– Doktorze? To już koniec? – powtórzył młody lekarz.

Elliott popatrzył na twarz Archibalda. Zmarły wyglądał spokojnie, wręcz pogodnie. Tak chcę go zapamiętać – pomyślał Elliott.

– Godzina zgonu: 9.02 – oznajmił cicho, zamykając oczy przyjaciela.

*

**Przedmieście San Francisco
Centrum Rehabilitacji Mount Sinery, 09.01**

Gabrielle przywołała lekarza i pielęgniarkę.

Stan matki pogorszył się bez widocznego powodu. Serce jej zaczęło najpierw bić bardzo szybko, a teraz niebezpiecznie zwalniało.

– Dwieście dzuli! – nakazał lekarz, przykładając po raz drugi elektrody do piersi Valentine.

Pierwszy impuls defibrylujący nie pozwolił na synchronizację skurczów serca. Nie doprowadził do tego również drugi. Lekarz zaczął masaż ręczny, uciskając rytmicznie dłońią klatkę piersiową, ale szybko zrozumiał, że walka została przegrana.

Gabrielle siedziała przy matce i patrzyła na nią. Promienna twarz zmarłej emanowała spokojem. Gabrielle nagle opuścił smutek.

– Do zobaczenia, mamó – szepnęła, składając na jej policzku ostatni pocałunek.

*

**San Francisco
Szpital Lenox
Pokój lekarski, 09.02**

Claire Giuliani wsunęła dwie pięćdziesięciocentowe monety do

automatu z kawą i nacisnęła guzik z napisem „Cappuccino”. Z maszyny nie wyleciał kubeczek i śmietankowy płyn rozlał się najpierw na metalową kratkę, a potem spłynął na jej buty.

Takie coś zdarza się tylko mnie! – pomyślała zirytowana.

Zaczęła uderzać w automat w nadziei, że wyleci parę monet, i żeby wyładować swój zły humor.

Na dodatek usłyszała ostry pisk bipera. Pobiegła na oddział intensywnej terapii.

– Nie do wiary! – rzuciła w jej kierunku pielęgniarka. – Pani pacjent się obudził!

Co ty mi tu opowiadasz, kretyńko jedna? Jak może się obudzić człowiek po takiej dawce znieczulenia?! – pomyślała jeszcze bardziej zirytowana.

Nachyliła się nad Martinem. Leżał nieruchomo, oczy miał zamknięte, oddychał regularnie. Claire skorzystała z tego, żeby sprawdzić parametry na jego karcie. Były zadowalające.

Już miała wyjść z sali, kiedy Martin otworzył oczy.

Rozejrzał się powoli dokoła, a potem zdecydowanym gestem oderwał kroplówki, które podłączono mu do gardła, do nosa i do ramienia.

Wrócił.

Epilog

San Francisco **Pół roku później**

Stary czerwony kabriolet mustang podjechał w bladym świetle poranka pod Muzeum Sztuki Nowoczesnej na południu Financial District. Było to o kilka kroków od wiosennych ogrodów i fontann Yerba Buena Center. Świątynia sztuki współczesnej, nowoczesny budynek podobny był do szklanego cylindra, z którego niczym ze świetlnej studni wypływała sterta ceglanych klocków w kolorze pomarańczowym.

– Uważam, że Emma to ładne imię dla dziewczynki. Albo Leopoldine, jeśli chcesz być oryginalna... – powiedział Martin, który siedział na miejscu pasażera. Miał jeszcze na szyi kołnierz ortopedyczny jako rezultat obrażeń po wypadku. To był jego pierwszy spacer, odkąd odzyskał przytomność po półrocznym pobycie w szpitalu i po rehabilitacji.

– Leopoldine? Zwariowałaś? Przypominam ci, że najpierw dzieci muszą się urodzić, a potem wybiera się imię. I poza tym dziśszego ranka mamy co innego do roboty niż...

Gabrielle wyskoczyła z samochodu lekko i z wdziękiem. Była niedziela, chłodny i spokojny poranek, a na ulicy nie było jeszcze ani jednego przechodnia.

Martin z trudnością wydostał się na zewnątrz, podpierając się orzechową laską z rzeźbioną rączką.

Gabrielle nie mogła się powstrzymać, żeby się z nim nie przykomarzać.

– Ale jesteś seksowny, kochanie, wyglądasz jak doktor House!

Martin wzruszył ramionami i nachylił się nad tylnym siedzeniem kabrioletu, żeby odczepić sznur, który przytrzymywał trzy drewniane skrzynie związane razem.

– Pozwól, ja to zrobię! – Gabrielle chwyciła pierwsze pudło, z którego wystawał portret namalowany przez Picassa.

W skrzyniach były skarby skradzione przez Archibalda w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Były to jego ulubione obrazy, za które nigdy nie zażądał okupu – cenne płótna Ingres'a, Matisse'a, Klimta i Goi... które wkrótce miały znaleźć należne im miejsce w różnych muzeach świata.

Archibald zostawił córce w spadku sekretny adres miejsca, gdzie złożył skradzione łupy. Nastąpiło to po bolesnej i zbawiennej dyskusji, jaką odbyli w małej zatoczce San Simeon.

Gabrielle trzy razy wracała do samochodu po obrazy, by złożyć wszystkie skrzynki przed wejściem do słynnego muzeum.

Kiedy wsiadła do samochodu, zobaczyła, że zostało jeszcze jedno płótno schowane między siedzeniami: był to autoportret van Gogha, na którym jego twarz namalowana została na turkusowym tle, a malarz miał szalone spojrzenie i bardzo rudą brodę i włosy.

– Może ten zatrzymamy? – rzucił Martin.
– Chyba żartujesz!
– Zgódź się! Tylko ten jeden! Jako pamiątkę po twoim ojcu. Obraz naszego pierwszego spotkania na Pont Neuf!

– Nie ma mowy! Postanowiliśmy być uczciwi, więc bądźmy uczciwi do końca!

Ale Martin nie kapitulował.

– Zgódź się, przecież ten portret bardzo pasuje do naszego mieszkania! Dodałby klasy naszemu salonowi! Nie mam nic przeciwko twoim meblom z Ikei, ale...

– Moje meble są bardzo ładne!
– Nooo... To zależy od punktu widzenia.

Z żalem wyjął obraz zza oparcia kierowcy i, kulejąc, poszedł w kierunku muzeum, pod którego drzwiami złożył wizerunek *Mężczyzny z obciążonym uchem*.

Po czym wrócił do samochodu i oboje szybko odjechali.

*

Ford mustang zjechał w dół Van Ness Avenue i skręcił w Lombard Street.

Wstające słońce zabarwiło miasto na kolor intensywno-różowy, który zmieniał odcień z minuty na minutę. Wiatr od morza przynosił na południe wakacyjny zapach plaży.

W oddali za bladą mgłą widać było znajome kontury ogromnego

mostu Golden Gate. Witał go nieprzerwany koncert syren przeciwmgielnych promów i jachtów.

Gabrielle zjechała na drogę prowadzącą do mostu i zatrzymała się na prawym pasie, dokładnie w miejscu, gdzie Martin stoczył z jej ojcem ostami pojedynkę.

– Twoja kolej! – powiedziała z naciskiem.

Tak jak pół roku wcześniej Martin wysiadł z samochodu, trzasnął drzwiczkami i pokonał balustradę oddzielającą pas dla samochodów od pasa dla rowerów.

Wychylił się z niechęcią i zobaczył spienione fale uderzające w słupy mostu, solidnie wbite w dno. Z twarzą owianą wiatrem Martin uświadomił sobie, jak wielkie miał szczęście, że przeżył.

Trzymał rękę w kieszeni, dotykając palcami oszlifowany faset brylantu.

– Pomyśl sobie jakieś życzenie! – zawołała Gabrielle.

Wyjął rękę z kieszeni i otworzył dłoń na wiatr. „Klucz do rajów” świecił miliardem słońc.

Na widok tego cudu nikt by nie uwierzył, że ten kamień przyniósł pecha większości swoich posiadaczy.

Zatrzymanie go przy sobie nie wchodziło w rachubę. Zwrócenie go firmie właścicielce, która zresztą wcale o niego nie walczyła – wykluczone.

Martin popatrzył ostatni raz na klejnot i z całej siły rzucił go do zatoki San Francisco.

Od „synka” – pomyślał z czułością o Archibaldzie.

Antibes, 6 czerwca 2008 – Montrouge, 16 marca 2009

Między nami

Każdego ranka mijamy się w metrze i w autobusach paryskich.

Mijamy się popołudniami na tarasach kafejek i na ławkach w parkach.

Mijamy się w weekendy i kiedy wyjeżdżamy na wakacje w wagonach pociągów TGV czy na wąskich siedzeniach samolotów.

Mijamy się i czasami mam szczęście widzieć, jak czytacie moje książki, i słyszeć dyskusje na ich temat.

Mijamy się w tysiącach waszych listów, w których mnie chwalcie i które czytam wszystkie bez wyjątku.

Mijamy się w księgarniach podczas podpisywania książek... Kilka słów, uśmiech, spojrzenie... nie potrzeba więcej. Rozumiemy się.

Mijamy się i wtedy czuję się dobrze.

Ponieważ to wywołuje we mnie chęć kontynuacji, chcę nadal opowiadać wam historie.

Żeby trwał ten związek dziwny, piękny, stworzony przez książki.

Żeby trwał ten związek, którego charakteru nie są w stanie oddać artykuły w prasie ani programy w telewizji.

Ale to nie jest najważniejsze.

Najważniejsze dla mnie jest powiedzieć wam: „Dziękuję!”.

Dziękuję, że czekacie na moje historie.

Dziękuję, że wlewacie w nie życie.

Dziękuję, że się nimi dzielicie z innymi.

Do zobaczenia...

Guillaume, 24 marca 2009

Spis treści

| | |
|---|------------|
| 1. Tamtego lata | 11 |
| CZĘŚĆ PIERWSZA – POD NIEBEM PARYŻA | 35 |
| 2. Najwięksi złodzieje | 37 |
| 3. Samotny tak jak ja | 44 |
| 4. Dwaj ludzie z miasta | 56 |
| 5. Kochankowie z Pont Neuf | 68 |
| 6. Paryż się budzi | 83 |
| 7. Pojedynek | 94 |
| 8. „Klucz do raj” | 111 |
| 9. Panna Ho | 127 |
| 10. Karuzela życia | 139 |
| 11. Dzień, kiedy odejdiesz | 143 |
| 12. Pozwól mi zapłakać | 154 |
| 13. Brakująca połowa | 163 |
| CZĘŚĆ DRUGA – ULICE SAN FRANCISCO | 169 |
| 14. Valentine | 171 |
| 15. Alter ego | 185 |
| 16. California here I come | 195 |
| 17. Tak cię pragnę! | 206 |
| 18. Wspomnienia i żale | 218 |
| 19. Widzisz, nie zapomniałem | 228 |

| | |
|--|-----|
| 20. Two lovers | 244 |
| 21. A tak się kochaliśmy | 252 |
| 22. List Valentine | 266 |
| 23. Halfway to hell | 270 |
| | |
| CZEŚĆ TRZECIA – W TOWARZYSTWIE ANIOŁÓW ... | 281 |
| 24. Wielka ucieczka | 283 |
| 25. Strefa odlotów | 293 |
| 26. Piękne rzeczy rodem z nieba | 305 |
| 27. Anywhere out of the word | 318 |
| 28. Będę wciąż cię kochał | 336 |
| 29. Eternally yours | 347 |
| | |
| Epilog | 352 |
| | |
| Między nami | 356 |